

# Baum Vicki

**Mężczyźni nigdy nie wiedzą**



## I. WTOREK: ON

Wśród tańca Franciszek spojrział na zegarek:

- Jeszcze dwadzieścia minut.

Poczuł jak jej lekkie ciało zaciążyło mu nieco bardziej na ramieniu, lecz tylko na chwilę, a potem znowu odzyskało swą lekkość.

- Doprawdy? - zapytała w chwilę później. Spojrział ku niej z góry z uśmiechem. Była o wiele niższa od niego. Kobiety były zawsze niższe od niego; tak było zawsze od czasu, kiedy przerósł o głowę swą matkę.

Włosy Eweliny musnęły go koło ust; jasne włosy, o matowym odcieniu blond z połyskiem, jak ma cyna, nie błyszczącym, ale naturalnym. Nie było w niej nic sztucznego; nie była ani specjalnie dobrze ubrana, ani specjalnie dobrze umalowana. Franciszek poczuł pewne wzruszenie, gdy wdychał zapach tych matowoblond włosów. Nie mógł widzieć jej twarzy; trzymała głowę spuszczoną i tańczyła z powagą, starając się dostosować każde poruszenie swych nóg do jego.

Słyszał, że coś powiedziała, ale nie mógł tego zrozumieć, gdyż w tej samej chwili w małej orkiestrze zadźwięczał z wielką namiętnością saksofon. Powtórzyła swoje słowa.

- Jeszcze dwadzieścia minut, a potem pojedziesz i nigdy więcej cię nie zobaczę.

Jakie sentymentalne są te Niemki - pomyślał Franciszek. Ale był zakochany w Ewelinie i podobało mu się nawet, że była sentymentalna. Nie odpowiedział nic, przycisnął ją tylko mocniej do siebie. Mały kawałek nagiej skóry pod jego prawą dłoń, spoczywającą na jej głęboko wydekoltowanych plecach, był chłodny w dotknięciu. Jej prawa dłoń, którą trzymał w lewej ręce, była gorąca. Noc była gorąca; mała sala do tańca - białozłota o powierzchniowej elegancji sal klubowych - była gorąca. Był to jeden z tych podniecających parnych wieczorów majowych; upał pełnej wiosny, gdy jabłonie kwitną jeszcze dokoła Berlina.

Gdy Franciszek przycisnął ją mocniej do siebie, podniosła głowę i spojrzała ku niemu w górę. Poczul świeży zachwyt na widok rozmarzonej bezradności, malującej się na jej twarzy. - Darling - powiedział - Darling...

- Darling - odpowiedziała szeptem. - Franciszek nie mówił po niemiecku, ale ona mówiła po angielsku poprawnym, bardzo brytyjskim językiem angielskim, którego prawdopodobnie nauczyła się w jakimś internacie. Franciszka ogarnęło nagle gwałtowne niezadowolenie z siebie samego. Zepsułem całą sprawę - pomyślał z wściekłością. - Byłem zbyt powolny, zbyt ostrożny, zbyt... och, już nie wiem co! - Usiłował znaleźć słowa dla określenia tej dziwnej ostrożności, z jaką zbliżył się do Eweliny, ale nie mógł znaleźć. Mogło by być coś z tego, a nie było nic. Przeszło i skończyło się. Z dwudziestu minut minęło już pięć. Parę pocałunków w taksówce, łza w oczach Eweliny... tak, naprawdę łza. A o godzinie dziesiątej minut czterdzieści pięć pociąg odjeżdża do Paryża. Ali right - może dla niej tak lepiej...

- Jesteś jak jedna z tych paczuszek, na których u góry, u dołu i ze wszystkich czterech boków umieszczono napis: „Szkło - ostrożnie - łatwe do stłuczenia” - rzekł w końcu.

Taniec skończył się i Ewelina spoczęła jeszcze na jego ramieniu chwilę zanim się rozdzielili. Strzepnął odrobinę

podu z kłapy swego wieczorowego ubrania. Był to zwykły automatyczny gest. Około dwudziestu par tańczyło - zbyt wiele, jak na rozmiary tej sali. Franciszek zirytowany był obecnością innych ludzi. Wsunął rękę pod ramię Eweliny i poprowadził ją na taras.

Na dworze pachniało małe jeziorko, nad którym stał klub - był to na wpół słodki, na wpół gorzki zapach sitowia w stojącej wodzie.

- Tak jak w zachodniej Wirginii - rzekł gdy doszli do bariery.

- Co? - zapytała zdziwiona.

- Nic... zapach. Czy lubisz polować na kaczki?

- Nie - odpowiedziała uśmiechając się. Usta jej były otwarte, jakby w najwyższym zdziwieniu. Na tarasie także byli ludzie - i światła pod abażurami o wesołych barwach. Kobiety wachlowały się papierowymi serwetkami.

- Halo, Franek - rzekł chudy młodzieniec amerykański mistrz w tenisie, który grał w berlińskich zawodach.

- Halo, Jerzy.

- Naprawdę jedziesz dziś wieczór do Paryża?

- Niestety. Najwyższy już czas.

- A nie mógłbyś przyjechać w przyszłym tygodniu do Antibes? Będą tam Pascalowie i Sutherlandowie... Moglibyśmy potem wrócić do domu na „Ile de France”.

- Kiedy?

- Siedemnastego z Cherbourga.

- O wiele za późno. Będę musiał pojechać na „Berengarii” w sobotę.

- Jaka szkoda... A będziesz w czerwcu w Nowym Jorku? Koniecznie przyjedź do Newport... No, wszystkiego dobrego.

- Nawzajem - rzekł Franek i poprowadził Ewelinę nieco dalej. Stała z uśmiechem na twarzy, z taką miną, jak gdyby każdej chwili miała stracić przytomność. Franciszek rzucił pośpiesznie okiem na zegarek.

- Ile jeszcze? - zapytała Ewelina.

Nie odpowiedział. Zamiast tego wziął ją pod rękę i uśmiechnął się.

- Może rzucimy jeszcze raz wzrokiem na nasz kort tenisowy? - zapytał.

Uniosła suknię, gdy schodzili po schodach, i posłusznie poszła za nim oddalając się od ludzi.

Korty leżały na dole, bieląc się w świetle latarni, ale nikt już teraz nie grał. „Nasz kort tenisowy” znaczyło kort, na którym Franciszek poznał Ewelinę przed ośmiu dniami.

Jerzy ściągnął go do klubu przed tygodniem zachętą, że dziewczęta berlińskie mają lepsze figury niż przypuszcza się na ogół, i że wszystkie mówią lepiej po angielsku, aniżeli nowojorskie „dzidziusie”. Oba twierdzenia okazały się usprawiedliwione do pewnego stopnia.

Niemiecka mistrzyni tenisa była to wspaniale zbudowana, piękna kobieta, promieniejąca zdrowiem i humorem. Franciszek ocenił ją jednym spojrzeniem - i ona również oceniła go jednym spojrzeniem. Potem roześmieli się jak para spiskowców. Następnie przedstawiono go innej kobiecie, która miała głęboki głos i wspaniałe gołe nogi, koloru brązowego jedwabiu i nazywała się Marianna.

Franciszek nie lubił grać z ludźmi, którzy grali znacznie lepiej od niego: to psuło mu humor. Marianna pożyczyła mu jedną ze swoich rakiet, która była dla niego za lekka, i zorganizowała mu pojedynczą partię z przyjaciółką swą Eweliną. Ewelina grała bardzo nierównomiernie i usprawiedliwiała się zdenerwowaniem.

- Co panią zdenerwowało? - zapytał i posłał jej łatwą piłkę, ale nie było odpowiedzi. Starał się dać jej wygrać, ale ona, zrozumiawszy o co mu chodzi, nie chwyciła jego piłek. Twarz jej zobaczył Franciszek dopiero po grze, gdy zdjęła znad oczu białą pikową umbrelkę. Twarz ta wydała mu się niezwykle żywa, tak że przez chwilę wpatrywał się w nią w

milczeniu. Przyszło mu nagle do głowy, że twarze większości kobiet, które znał zrobione były z porcelany, a twarz Eweliny z jakiejś substancji znacznie żywszej.

Zaczął się więc od ciekawości, tak jak zaczyna się zawsze każda męska przygoda. Od pytania: j aka jest ta kobieta; j aka jest kiedy się ją całuje, kiedy jest naga, kiedy się oddaje? Nie był to rodzaj kobiety, która nasuwa mężczyźnie od razu myśl o łóżku, to przyszło dopiero później po pierwszym pocałunku. Ewelina miała pełne usta, niemalowane, o barwie bladego koralu.

- Gdyby się zaryzykowało panią pocałować, człowiek nie miałby potem na twarzy czerwonej farby - wywnętrzał się Franciszek niedługo po poznaniu jej. Ewelina spojrzała na niego jak gdyby nie rozumiała po angielsku. Miała długie, bardzo długie rzęsy, tak samo koloru matowego srebra, jak włosy. Te jasne rzęsy nadawały jej twarzy senny wyraz. Gdy Franciszek pocałował ją po raz pierwszy, zdumiała go gwałtowność jej reakcji. Zdumiało go to dlatego, ponieważ ta siła namiętności szła w parze z dziwną niewinnością, z niezręcznością. Było tak, jak gdyby jej mocno zaciśnięte, blade i drżące usta nie rozumiały, czego się chce od nich; nie otwierały się, nie poddawały. Ona sama nie poddawała się także. Zamknięte oczy, zamknięte usta, zaciśnięte piąstki, spazmatyczny milczący dreszcz - wszystko to było czymś nowym. I Franciszek postanowił, że się zakocha.

Stało się to przed pięciu dniami w taksówce. Potem było to małe popołudniowe przyjęcie u Marianny, gdzieś na wsi, w jej zdumiewająco małym, kolorowym domku. Czerwone drzwi, niebieskie ramy okien, meble z aluminium, słabe i trochę za ciepłe koktaile - i Ewelina w niebieskiej płóciennej sukience, która miała tendencję do zsuwania się z ramion. Franciszek zrewanżował się zaproszeniem na koktajl do hotelu Adlon. Na tym przyjęciu zjawił się po raz pierwszy mąż Eweliny. Franciszek polubił go od razu. Mąż Eweliny był to człowiek mniej więcej trzydziestopięcioletni o smukłej

elastycznej figurze i miłym, choć trochę roztargnionym wyrazie głęboko osadzonych oczu. Jasne było na pierwszy rzut oka, że ten Droste był gentlemanem, jakkolwiek nie mówił po angielsku, co uniemożliwiało bliższe porozumienie się z nim. Obecność tego sympatycznego, przemiłego męża spowodowała, że Franciszek nie mógł okazywać Ewelinie więcej uwagi, niż innym kobietom. Następnego ranka przed dziewiątą Ewelina zatelefonowała do niego, pytając, czy jest na nią zły.

- Zły? Co przez to rozumiesz? - odpowiedział śmiejąc się ze zdziwieniem. Odłożyła słuchawkę, nie odpowiedziawszy nic.

A teraz był ostatni wieczór i on miał jeszcze dwanaście minut, gdyż trzy minęły tymczasem, i stali na korcie tenisowym w ostrym świetle latarni, koło której krążyły ćmy, uderzając o siebie pierzastymi główkami.

- Mam nadzieję, że będziesz miał dobrą podróż - rzekła Ewelina uprzejmie.

- Zapewne. Napiszę do ciebie z Paryża. - Kobiety pasjami lubią otrzymywać listy; o tym wiedział.

- Nie proszę, nie pisz.

- Nie pisać? Dlaczego?

- Dlatego, że chcę mieć spokój - rzekła Ewelina.

To zabrzmiało niezbyt grzecznie, ale być może nie myślała w ten sposób. Czasem było jej trudno wypowiadać swoje myśli w obcym języku.

Spojrzała na niego wyczekująco.

- Czy wszyscy Amerykanie są tacy, jak ty? - zapytała.

- Pod jakim względem?

- Tak piękni, jak ty.

Powiedziała „beautiful” zamiast „handsome” - i to go pobudziło do śmiechu.

- No, oczywiście jestem najpiękniejszym mężczyzną w całej Ameryce - odpowiedział bardzo poważnym tonem, a potem wybuchnął śmiechem. - Zresztą twój własny mąż jest bardzo przystojny - dodał uprzejmie.

- Tak - odpowiedziała Ewelina.

Gdy Franciszek położył znowu rękę na jej ramieniu, aby wyprowadzić ją z kortu, zapytywał sam siebie z pewnym zniecierpliwieniem, co takiego właściwie spodobało mu się tak bardzo w tej kobiecie - i nie znalazł zadowolającej odpowiedzi. Zeszli w milczeniu z oświetlonej przestrzeni i szli wysypanymi żwirem ścieżkami, między starannie utrzymanymi trawnikami w dół ku jezioru. W jeziorze przy brzegu skrzeczały majowe żaby. Było zupełnie ciemno i tylko wąska wysypana żwirem ścieżka, prowadząca ku łąkom, stanowiła jaśniejszy pas. W domach na przeciwległym brzegu paliły się światła. Znad jeziora dochodziły słabe dźwięki: uderzenie wiosła, przytłumiony śmiech, szmer wody.

- Tam pływają w ciemności - rzekła Ewelina. Nagle Franciszek zdał sobie sprawę, że towarzyszka jego drży; przedtem nie zauważył tego.

- Zimno?

- Nie.

Teraz byli już pod wierzbami, nad wodą. Sięgnął w ciemności i w milczeniu wziął ją w ramiona. Raz jeszcze oszołomiła go trochę gwałtowność, z jaką oddała mu pocałunek. Amerykańskie kobiety nie są takie; Francuzki także nie. Zakreśliło mu się trochę w głowie, gdy usta jej na koniec otworzyły się pod jego ustami. Puścił ją i rozejrzał się, nie lubił całować się stojąc. Oczy jego przyzwyczały się już do ciemności i mógł odróżnić zarysy małej kabiny kąpielowej; pachniała świeżą farbą, smołą i wodą. Pociągnął Ewelinę za sobą i nacisnął klamkę. Poddała się z trzaskiem rzeczy zardzewiałej. Wewnątrz było gorąco i zupełnie ciemno. Franciszek poprowadził Ewelinę ku wąskiej ławce. Zaczął całować ją nieprzytomnie. Słyszał uderzenia swego serca i dziwił się sam sobie. Ręka Eweliny wsunęła się ukradkiem pod jego marynarkę i spoczęła na jego bijącym sercu. Tak jak Lidia - pomyślał jak we śnie.



Lidia była jego pierwszą przygodą; była to pokojówka w domu jego dziadków w Nowym Orleanie, dziewczyna o oliwkowej cerze i czarnych szorstkich włosach. W żadnej ze swoich licznych przygód miłosnych nie odnalazł już potem równie prymitywnego czaru tego pierwszego grzesznego, zakazanego uścisku. Teraz w namiętnej bezradności Eweliny było coś z tego.

Zrobił nieopanowany ruch - i ręka Eweliny zniknęła z jego szaleńczo bijącego serca.

- Teraz musisz już iść - powiedziała Ewelina z pewnej odległości w ciemnościach.

- Niepodobieństwo, jakże mógłbym odejść teraz od ciebie - powiedział bez tchu. Czekał, ale Ewelina milczała i nie wróciła już do niego. Słyszał teraz regularne kapanie kropel wody. Prawdopodobnie - pomyślał zupełnie rozsądnie - na ścianie wiszą mokre kostiumy kąpielowe. Ewelina szukała ręką klamki.

- Słuchaj - rzekł bez tchu - jedź ze raną do Paryża. Dobrze? Proszę... musisz pojechać.

- To jest zupełnie niemożliwe.

- Dlaczego? To tylko skok stąd... Możesz polecieć samolotem.

Ewelina otworzyła już drzwi. Białe światło wiosennego nieba wypełniło przestrzeń. Twarz Eweliny wyglądała jak biała plama.

Leb' wohl - powiedziała po niemiecku.

Wygładził włosy i mechanicznym ruchem strzepnął puder z kłapy.

Wzburzona krew uspokoiła się, wielkimi, powolnymi uderzeniami odpływała teraz z jego serca. Popatrzył na świecąca tarczę zegarka na ręce. Wyjął papierosa i w świetle zapalki wyraźniej zobaczył godzinę. - Wielki Boże - mruknął i poszedł za Ewelina.

- Idź pierwszy - rzekła zamykając za nim drzwi. Pogładził ją po włosach z uczuciem litości. Żał mu jej było - w tej prostej białej sukience, gdy się tak uśmiechała. Chciał wziąć

ją znowu w ramiona, ale óna oswobodziła się i popchnęła go naprzód po wąskiej, wysypanej żwirem ścieżce. U góry w klubie muzyka grała znowu do tańca.

Gdy przechodzili przez małą salkę, tańczyło tylko kilka par. Franciszek skinął głową na pożegnanie paru ludziom, których poznał. Usiłował przejrzeć się w jednym z luster na ścianie; nie był zupełnie pewny, czy ma włosy w porządku. Ewelina wyglądała zziębnięta i senna i nic w jej wyglądzie nie zdradzało tamtej drobnej sceny w kabinie.

Franciszek zauważył po raz pierwszy, że miała kilka piegów. Była bledsza, niż zwykle. Usta jej wydawały się większe, a oczy ciemniejsze.

- Pan Davis chce się z tobą pożegnać - rzekła zatrzymując się za krzesłem męża, w sali do kart. Droste odłożył karty i wstał, szukając w głowie odpowiednich słów angielskich.

- Auf Wiedersehen - powiedział Franciszek wypowiadając dwa spośród pięciu słów niemieckich, które znał, i potrząsnął mu rękę. Jeden z czwórki brydżowej wydawał się bardzo zdenerwowany przerwą w grze i Franciszek współczuł mu; był to starszy jegomość z siwą spiczastą bródką...

- Kto odwiezie Davisa na stację? - zapytała Marianna stojąc w rogu pokoju ze szklanką oranżady.

- Wezmę taksówkę do Charlottenburga.

- Nonsens. Odwiozę pana - rzekła Marianna.

- Ale nie ma czasu do stracenia.

- Pronto, pronto... Chodźmy. Czy pojedziesz z nami dziecko?

- Nie wiem - szepnęła Ewelina i spojrzała na męża. Ręka jej spoczywała na poręczu jego krzesła, a on zatopiony był w kartach.

- Pan radca nie ma nic przeciwko temu. Gościa choćby nie wiem jak uciążliwego trzeba uczcić, mówi Piotr Panter. Chodźmy, panie Davis. Jedziemy...

Samochód Marianny stał na wysypanej żwirem ścieżce przed klubem. Była to mała, gniewnie sapiąca bestia. Wcis-

nęli się do niego we troje; Franciszek między dwiema kobietami:

Marianna miała mocne, ostre perfumy. Franciszek wdychał je ostrożnie.

- Ta mała ma zmęczony wygląd - rzekła Marianna swym głębokim, zdecydowanym tonem. Samochód przejeżdżał koło lamp Grunewaldu. - Przemęczył pan Ewelinę. Amerykańskie tempo jest dla niej za szybkie.

- Nonsens, Marianno - odezwała się Ewelina ze swego kącika.

- Prawdopodobnie Ewelina zataiła przed panem, że trzeba się z nią obchodzić bardzo ostrożnie. Poród ostatniego potomka zanadto ją zmęczył. Od tego czasu nie wróciła jeszcze do siebie i pan radca Sądu Krajowego martwi się tym bardzo...

- Pani ma dziecko? - zapytał zdumiony Franciszek. Ewelina tylko skinęła głową, a Marianna odpowiedziała

za nią: - Dwoje... dwoje szalonych, krzykliwych, o wiele za grubych i o wiele za głośnych dzieciaków, które po prostu ubóstwiam.

- Odnosiłem się do pani Droste z wielką troskliwością, czy nieprawda? - powiedział Franciszek. Ręka jego była wyciągnięta za plecami Eweliny, aby zajmować mniej miejsca w małym samochodzie. Myśli jego pomknęły do dzieci Eweliny, do jej męża.

- Cóż to za cudowny tytuł, który dała pani panu Droste? - zapytał.

- Radca Sądu Krajowego, mój panie! W naszym kraju oznacza to wyższy rodzaj sędziego. Droste jest chyba najmłodszym wśród nich. To wschodzące słońce, będzie miał wspaniałą karierę.

Franciszek nie miał na to nic do powiedzenia. Teraz ręka Eweliny ukradkiem wsunęła się w jego rękę.

- Jaka szkoda, że musi pan jechać tak prędko - rzekła Marianna - cóż pan ma takiego nagłego do roboty w Paryżu?

- Och, zwykła rzecz... interesy.

- Jakież to interesy, jeżeli można zapytać? Może pan jest jednym z tych sławnych magnatów przemysłowych, o których czyta się takie cuda w gazetach?

Franciszek nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Daleko do tego. Sprzedaję pomarańcze. Ale nie lubię mówić o interesach z kobietami - powiedział trzymając ukradkiem rękę Eweliny.

- Interesy to jedyna rzecz frapująca w mężczyźnie -oznajmiła Marianna. Ona sama zajmowała się architekturą i pogrążona była po uszy w swoim zawodzie. Zatrzymała samochód tak nagle, że Franciszek omal nie spadł z siedzenia. Ewelina puściła jego rękę. Nie powiedziała ani jednego słowa. On rzucił szybko wzrokiem na zegar na małym budynku stacyjnym: miał jeszcze sześć minut. Ewelina wygramoliła się z samochodu, a Franciszek za nią. Policjant dał znak, aby jechali dalej, rozległ się sygnał posuwającej się za nimi taksówki. Marianna wciągnęła Ewelinę z powrotem do samochodu.

- Za chwilę będzie awantura, jeżeli nie pojedę. Do widzenia, panie Davis. Niech się pan dobrze bawi w Paryżu i powodzenia w interesach - zawołała Marianna. - Nie możemy odprowadzić pana do pociągu. Spowodowałybyśmy zbyt wielką sensację naszymi sukniami wieczorowymi. Zamknij drzwiczki, Ewelino.

Franciszek wyciągnął rękę do samochodu, drzwiczki były jeszcze otwarte; szofer w taksówce za nimi zaczął się awanturować, mężczyzna o urzędowym wyglądzie wmieszał się. Ostatnie wrażenie Franciszka związane z Eweliną to jej ręka zimna jak lód, która nie oddała mu uścisku. Mały samochód zakasłał i ruszył z miejsca.

Franciszek wyciągnął bilet i poszedł szybko na peron. Rzeczy jego wstawiono do przedziału na głównej stacji, a on wsiadał na przedmieściu dlatego, że stacyjka ta znajdowała

się bliżej klubu i dzięki temu mógł pozostać z Ewelina pół godziny dłużej. Teraz i to minęło także. . Wewnątrz paliło się żółtawe światło, które wszystkim dworcom kolejowym świata nadaje rozdzierająco smutny wygląd. Franciszkowi wskazano właściwe schody. Ludzie czekający na peronie wyglądali blado. Patrzyli na Franciszka z takimi minami, jak gdyby nigdy jeszcze nie widziano na dworcu kolejowym człowieka w wieczorowym garniturze. Pachniało mokrą trawą i ziemią - i Franciszkowi zdawało się, że tylko niemiecki dworzec może mieć taki zapach. Wysoki nasyp zarosły był trawą i po obu jego stronach ciągnął się mały park. Franciszek chodził tam i z powrotem z uczuciem zniecierpliwienia i niezadowolenia. Dopiero teraz uświadomił sobie, że jest zmęczony. Ziewnął otwierając usta szeroko. I naraz nadjechał pociąg. Franciszek odnalazł swój przedział i rozejrzał się z uśmiechem. Rzeczy jego były już umieszczone, portier hotelowy zrobił, co do niego należało; łóżko miał posłane.

Teraz szybko spać - pomyślał. Należał do tych szczęśliwców, którzy mogą spać doskonale w pociągu. Wypakował to czego potrzebował na noc; wszystko pachniało lawendą; prawdopodobnie zapomniał, jak zwykle, przykręcić dobrze korek od flakonu. W wagonie była mała umywalnia, która wprost tonęła w wodzie, gdy Franciszek skończył toaletę. Mimo tak upragnionej zimnej wody, ciągle jeszcze odczuwał to samo niezadowolenie, nie wiedząc właściwie dlaczego. Biorąc wszystko pod uwagę, zadowolony był, że wyjeżdża z Berlina. Tutaj był obcy, podczas gdy w Paryżu czuł się jak u siebie w domu. W ustach miał rozkosznie świeży smak płynu do zębów, ale to nie wpłynęło na jego samopoczucie. Spróbował poprawić humor papierosem. Nie, to było bezcelowe! Z trudem przesunął zasłonę na bok i wyjrzał oknem. Pociąg przejeżdżał przez sosnowy las. Daleko w tyle nad światłami Berlina jaśniało czyste niebo. Franciszek położył się do wąskiego łóżka, manipulował przy

kontakcie elektrycznym i wsunął pod głowę swą małą, skórzaną poduszkę. Kiedy ułożył się wygodnie, sięgnął po teczkę i wyjął z niej papiery. Wywiad z Farrerem o godzinie drugiej. Pewny był Farrere'a; Francuzi umieją rachować, nie powodują się reklamą, lecz cyframi. Gobin z Chambre Syndicale des Importeurs de Fruits był trudniejszy. Franciszek zamknął oczy i zaczął dokładnie przeliczać. Gdyby mógł ubiec Hiszpanów o dwa centy na skrzyni, interes doszedłby do skutku. Wyjął z dna teczki wieczne pióro i zaczął kreślić na brzegu kartki imponująco wysokie cyfry. Musi zastanowić się, jak pokryć francuskie cła i ubiec swych konkurentów. Liczył półgłosem. Pociąg zatrzymał się z wstrząsem; poczekał chwilę i znowu z wstrząsem ruszył z miejsca. Franciszek uświadomił sobie, że jest zbyt śpiący, aby móc orientować się w cyfrach. Odłożył papiery i przekreślił kontakt.

Na korytarzu z zewnątrz brzmiały bez przerwy dwa głosy, mówiące coś monotonicznie po niemiecku. No... - pomyślał Franciszek sennie - więc to jest Berlin. Pod zamkniętymi powiekami ukazały się cyfry, kółka, wyliczenia. Ewelina -pomyślał - i znowu to kłujące uczucie niezadowolenia... Wszystkie nerwy miał napięte do tego stopnia, że czuł jak skóra się na nim kurczy. Wstrzymał oddech i usiłował przedstawić sobie twarz Eweliny. Pod zamkniętymi powiekami widział wszystkie możliwe twarze, twarze wszystkich ludzi, których poznał w czasie swego krótkotrwałego pobytu w Berlinie: Mariannę, adwokata Związku Hurtowników Owoców, portiera w hotelu Adlon, policjanta stojącego przed dworcem. Twarze, głosy, postacie, dźwięki - wszystko pomieszane z sobą w jeden kalejdoskop obcego miasta. Ale Eweliny wśród nich nie było. Wymykała się z jego pamięci. Jakże gorąco było w kabinie kąpielowej!

Mięśnie jego wyprężyły się na chwilę i zaraz wróciły do normalnego stanu. Mam nadzieję, że Marion nie popędzi mnie zaraz jutro do jednego z tych strasznych francuskich teatrów - pomyślał, a potem natychmiast zasnął.

## II. WTOREK: ONA

Wśród tańca Franciszek spojrział na zegarek:

- Jeszcze dwadzieścia minut - rzekł.

Przez chwilę Ewelina nie mogła nic widzieć. Pokój zakłużył się przed jej oczami. To tak, jakby się umierało - pomyślała tępo. Od trzech dni czekała na tę chwilę, kiedy Franciszek od niej odjedzie, jak na moment egzekucji. Nie odważyła się jeszcze pomyśleć, jak to będzie po tym, gdy Franciszek odjedzie i wszystko się skończy.

Jeszcze dwadzieścia minut, a potem pojedziesz i nie zobaczę cię już nigdy - pomyślała. Nachylił się ku niej i gdy oddech jego musnął jej włosy, uświadomiła sobie, że powiedziała to po niemiecku.

- Jeszcze dwadzieścia minut, a potem pojedziesz i nie zobaczę cię już nigdy - powtórzyła po angielsku. Orkiestra na małej estradzie pochwyliła te słowa i uczyniła z nich rozdzierający serce refren na saksofonie... i nie zobaczę cię już nigdy... nigdy cię nie zobaczę... nigdy więcej. Ewelinie kręciło się w głowie podczas tańca i doktor ostrzegał ją przed tym. Od dłuższego czasu nie czuła pod stopami stałego gruntu. Przyciskała się silnie do Franciszka; czuła go wszędzie, w każdym centymetrze skóry. Przez chwilę złożyła głowę na jego ramieniu. Jak swojski stał się dla niej ten zapach lawendy i papierosów, który przenikał wszystko,

cokolwiek do Franka należało. Nawet jej własne usta przepojone były tym zapachem. Czemu płacze, kiedy czuję się tak szczęśliwa? - pomyślała. Zatrzepotała szybko powiekami, aby otrząsnąć z oczu łzy i móc go widzieć.

- Darling - rzekł z uśmiechem - Darling!

Nie wiesz, że umrę, gdy tylko się to skończy - pomyślała. Była nawet nieco wzruszona... Dla niego wszystko było łatwe, wszystko było przyjemne, nie wiedział nic i nie rozumiał nic z tego, co jest trudne... ta wysoka ukochana istota... Nigdy już z tobą nie tańczyć ... nigdy cię już nie zobaczyć. Gardło ją bolało od niewypłakanych łez. Franciszek wsunął jej rękę pod ramię i wyprowadził z sali. Starła się iść wyprostowana, aby nie zauważył, jak bardzo kręci się jej w głowie. Nigdy jeszcze w życiu nie czuła nad sobą takiej opieki jak przy tym małym ruchu, którym Franciszek torował jej drogę. Powiedziała mu to raz, a on śmiał się z niej. Oświadczył, że w Ameryce każdy chłopiec uczy się tego.

Na chłodnym tarasie Ewelina poczuła się mniej słaba i bardziej pewna siebie. Franciszek mówił o zachodniej Wirginii i o polowaniu na kaczki. Brzmiało to zadziwiająco obco i awanturniczo. Ze zdumieniem i zachwytem uświadomiła sobie, z jakiej oddali człowiek ten przyszedł do niej, aby owładnąć całym jej życiem; wypełnić je burzą szczęścia, a potem znowu porzucić.

Przyłączyli się do nich jacyś ludzie, podczas gdy ona liczyła biegnące chwile, coraz bardziej zbliżające ją do momentu, gdy Franciszka już przy niej nie będzie. Rozmowa ich pełna była nazw obcych miast, miejscowości, okrętów. Mieścił się w niej cały wielki świat, a Franciczek obracał się w tym świecie niedbale, jak u siebie w domu. Stała przy jego boku i liczyła sekundy.

- Chodź ze mną na kort tenisowy - rzekł.

- Kiedy odjeżdża twój pociąg? - zapytała. A potem: - Mam nadzieję, że będziesz miał przyjemną podróż. - Nie mogła przecież powiedzieć: „Kocham cię”. Niestety, żyła



w wieku, w którym się takich rzeczy wprost me mówi. Kort tenisowy był jasny i pusty i stali tam jak gdyby na scenie, na oczach wszystkich ludzi na tarasie. Czuła palące pragnienie znalezienia się sam na sam z Frankiem, gdzieś w ciszy i w ciemności. On zdawał się wyczuwać to pragnienie, gdyż poprowadził ją w dół na wybrzeże jeziora. Było tam zupełnie ciemno; w wodzie znajdowali się zapóźnieni pływacy. Ewelina wiedziała, że Franek będzie ją całował i pełna była oczekiwania, a jednocześnie lęku. Zrobił to już przed tym dwa razy - raz w taksówce, a raz u Marianny, w jej willi podmiejskiej - i za każdym razem było to wstrząsające nerwami przeżycie. Działo na nią jak bolesny wstrząs: robiło z niej istotę dziką, bezbronną i inną - prawie tak jak poród. Ewelina nie wiedziała zbyt dużo o tym, co nazywa się miłością. Właściwie nie wierzyła nigdy w to, aby istniała naprawdę ta miłość tak bardzo sławiona. Czytała w gazecie

**O** tragediach z namiętności; wiedziała, że mąż jej wydawał wyroki na ludzi, którzy z miłości popełniali morderstwa. Książki, sztuki teatralne, opery pełne były miłości. Z na wpół pogardliwym, na wpół zdziwionym uśmiechem Ewelina doszła do wniosku, że miłość istniała tylko w wyobraźni; że była jedynie fikcją. Pewna była, że kocha swego męża i że mąż ją kocha. Ale między nimi nie było nic z tych idiotycznych, przesadnych, gwałtownych historii, o których czytało i słyszało się zawsze, gdy chodziło o miłość. Czasami -gdy Ewelina patrzyła na swych przyjaciół - na ich łzy, sceny, rozstania - wydawało jej się, że cały świat prowadzi jakąś grę, której zasady są jej zupełnie nieznane. Jakąś bezsensowną grę, której w żadnym razie nie należy brać poważnie i w której stawki mają jedynie wartość sztonów.

Tak było, póki nie zjawił się Franciszek Davis, a wówczas wszystko, co wydawało jej się fantastyczne, stało się rzeczywiste i zabłysło, zajaśniało, zakwitło nowym sensem. Od razu, bez wahania Ewelina rzuciła się w to uczucie z gwałtownością, która miała w sobie coś desperackiego.

- Jak długo zostaje pan w Berlinie?

- Sześć dni, może tydzień.

A więc tydzień. Nowo narodzona miłość, która przyszła na świat razem z wyrokiem śmierci na siebie. Tydzień miłości na jakiejś wyspie na południowych morzach mógłby być wiecznością, ale tydzień miłości w Berlinie, ustawicznie wśród ludzi, tenisa, koktajlów, brydża i gwaru klubu, gdzie dni płyną w pustce, gdzie powstaje pragnienie, aby móc być razem we dwoje - i mówić sobie wszystko i czuć wszystko - powoduje ból, który wzrasta i staje się niemożliwy do zniesienia. Pocałunek w taksówce, słowo przez telefon, taniec -to były dla Eweliny jedynie drobne ukojenia. Ale to wielkie ukojenie pozostawało poza nią. Och, gdyby raz tylko mogła usnąć na ramieniu Franka zamiast Kurta, raz tylko... raz jeden.

Gdy Franciszek wciągnął ją do kabiny kąpielowej, ocknęła się na chwilę z oszołomienia, w którym spędziła ten ostatni wieczór. Coś bronilo się w niej. Przypominały się jej pokojówki, które spotykała, jak ścisnęły się ze swymi kochankami w bramach; zapach mokrych kostiumów kąpielowych, wilgotnych mat słomianych i przepalonego słońcem drzewa. Ławka, na którą ją pociągnął, była mokra i woda przesiąkała przez cienką suknię Eweliny. Przeraziła się, gdy zrozumiała, czego chce Franek. To było wstrętne i niesmaczne i pozbawione godności.

- Nie, nie tak... nie tak... - szeptała błagalnie po niemiecku. Gwałtownie opanowała się i wysunęła z jego rąk. Nie, to nie było to, za czym tęskniła - nie to i nie tak... Fosforyzująca tarcza jego zegarka wisiała w ciemności, jak okrągła twarzyczka przekornego ducha.

- Musisz już iść - rzekła i wstała. Próbowała po omacku znaleźć drzwi. Skrzek żab, dochodzący od jeziora, wskazywał jej kierunek. Przed sobą słyszała w ciemności ciężki oddech mężczyzny.

„Słuchaj, jedź ze mną do Paryża” - usłyszała nagle jego

słowa, Brzmiały zupełnie po wariacku, wyszeptane w ten sposób w ciemności. Należały do tych bezsensownych, cudownych i szablonowych, bezmyślnych rzeczy, z których składała się miłość. Ewelina musiała się uśmiechnąć. Odszukała klamkę - kawałek zardzewiałego opornego metalu - i pchnęła drzwi. Gdy tylko wyszła na powietrze, zakręciło jej się w głowie - zaczęło się dzwonienie w uszach i paraliżujący bezwład - wstęp do omdleń, na które cierpiała od czasu urodzenia drugiego dziecka. Z wysiłkiem starała się zachować przytomność - oparła się o drzwi i podniosła twarz w niebo, jak gdyby szukając tam ratunku. Niebo w górze przesłonięte było dziwaczną, jasną zasłoną chmur, spoza której świecił księżyc. Teraz już po wszystkim - pomyślała Ewelina. Odczuwała tę chwilę z jakąś ogromną wyrazistością i boleścią. Nappełniła ją takim niesłychanym bólem, że Ewelina była nieomal dumna z rozmiarów cierpienia, które weszło w jej ciche, zacienione życie. Znowu doznała tego dziwnego uczucia, znanego jej z porodu: czegoś, co przewyższa siły i czego nie można znieść.

- Leb' wohl - rzekła.

Teraz Franciszek wyszedł już także - puściła go mimo siebie. Wygładził sobie włosy i uśmiechnął się - przystojny, elegancki, światowiec bez zarzutu. Ewelina nie chciała, aby zobaczył jej twarz; nie panowała nad swymi oczami ani nad kącikami ust.

- Idź naprzód - rzekła. Był tu jeszcze ciągle bliski; jego ramiona tuż przed jej oczyma. Żwir skrzypiał lekko pod jej stopami. Zatrzymał się, aby zapalić papierosa. Było to jeszcze ciągle szczęście: twarz jego w świetle blasku zapalki. Leb' wohl, twarzy ukochana... nigdy już, ukochana, ukochana twarzy!... Dym z jego papierosa... Żaden papieros w Berlinie nie miał tego rodzaju zapachu... było w nim wszystko: powiew z dalekiego świata, przygoda, mężczyzna, który przybył z daleka i znowu tam znika. Gdy Ewelina szła, bardzo sztywna i wyprostowana,

poprzez salę do tańca, zdawało jej się, że żadna z tańczących par nie może nie widzieć, co się z nią dzieje. Do pokoju, gdzie grano w brydża, doszła w stanie zupełnego rozbicia, idąc za wyglądającym bez zarzutu, opanowanym Franciszkiem, który grzecznie otworzył przed nią drzwi, puszczając ją przed sobą.

Pierwszą rzeczą, którą Ewelina zobaczyła, były oczy Marianny, pytające i utkwione w nią nieco szyderczo. Marianna stała w rogu pokoju w swej płomiennoczerwonej sukni i piła oranżadę. Marianna miała pasję do żywych kolorów. Zimne nowoczesne domy z cementu i aluminium, które budowała dla berlińskich snobów, zawsze miały na jakimś rogu orgię barw. Gdy Ewelina patrzyła na tę suknię, wydała jej się nagle czarna. W uszach jej zaczęło dzwonić i szumieć. Zemdleję - pomyślała przerażona. Postąpiła parę kroków w stronę męża i poszukała ręką jakiegoś oparcia. Nie, nie chwyciła się Franka; chwyciła się ramienia Kurta i trzymała go mocno. Dopiero gdy znalazła się w tej znanej bezpiecznej przystani, ciemność przed jej oczami zaczęła ustępować przerzedzając się z wolna i odsłaniając jej znowu widok sali do kart. Kurtowi szła karta i z trudnością oderwał oczy od damy treflowej, którą Ewelina widziała przez mgłę. Ale odwrócił się, poczuwszy rękę Eweliny na swym ramieniu i spojrzał ku niej pytająco.

- Pan Davis chce się pożegnać z tobą - Ewelina usłyszała swój własny głos. Brzmiał on jakoś nieprawdopodobnie i niesamowicie.

Uściski rąk, uśmiechy, ukłony, wiele słów po niemiecku, po angielsku. Ktoś żegnał się - jakiś cudzoziemiec, Amerykanin. Jak to się stało, że ten obcy człowiek stał się jej tak nieprawdopodobnie bliski jak nikt przedtem w jej życiu? Czy to możliwe, że on teraz jedzie i zabiera ze sobą wszystko, co ma w sobie jakikolwiek sens i blask?

Ewelina uświadomiła sobie, że Marianna pyta ją o coś.

Nie zrozumiała z początku. Potem przedostało się to do jej świadomości z radosnym wstrząsem.

Nie wiem - rzekła bezradnie i spojrzała na męża. Nie, oczywiście było, że Droste nie ma nic przeciwko temu, aby pojechała z nimi na stację.

Przyjęła z bladym uśmiechem ten niespodziewany dar drogocennych minut. Marianna popędzała ich już poprzez ogród klubowy ku swemu samochodowi. Marianna mówiła... mówiła dużo i wesoło. Nie wyglądało na to, aby Frankowi i jej dane było zamienić z sobą chociaż jedno jeszcze słowo. Zresztą, nie było nic do powiedzenia. Słowa mówią zawsze rzeczy fałszywe, to co nie jest prawdą. Człowiek maskuje się słowami, a rzeczywistość leży poza nimi. Marianna mówiła wciąż nietaktownie, ale Ewelina wiedziała aż nadto dobrze, że Marianna nie jest nietaktowna.

Prawdopodobnie robiła to z rozmysłem. Opowiadała o słabym zdrowiu Eweliny, o jej dzieciach, o ciężkim porodzie Barchen - a teraz samochód przejeżdżał już przez most Halensee. W dole leżały rozgałęziające się tory kolejowe, dalej mrugała wieża radiowa, upstrzona girlandą świateł. Na kilka sekund myśli Eweliny pomknęły od Franka ku dzieciom.

Barchen, małe chłopię, zbyt głośnie, zbyt silne, zbyt hałaśliwe; Barchen w swym wózeczku i Barchen zatopiony w oglądaniu swych maleńkich różowych paluszków u nóg; Barchen uśmiechający się z przejęciem na widok butelki z mlekiem.

Marianna miała brutalny zwyczaj szybkiej jazdy na zakrętach i za każdym razem, gdy zakręcali na rogach, Ewelinę rzucało na Franka.

Upływały ostatnie chwile.

Jeszcze minuta i będziemy na miejscu - rzekła uspokajająco Marianna.

Franek spojrzał niespokojnie na zegarek na ręce. Nagle Ewelina uświadomiła sobie, że ten zegarek stał się czymś ogromnie ważnym w jej życiu, czymś absolutnie niezapomnianym. Był to niezwykle zegarek z ciemnej stali, płaski i wykonany prześlicznie. Franek nosił go z cyferblatem na wewnętrznej stronie ręki - tak jak nikt nie nosił

w Berlinie. W ciemnej kabinie kąpielowej widziała te maleńkie cyfry, krążące w powietrzu, jak duchy, gdy Franek wyciągnął po nią rękę. Poszukała ręki Franka i wsunęła w nią swoją. Już jest dworzec... Jak prędko wszystko się skończyło.

Dziwne, że to ostateczne, decydujące pożegnanie zatopione zostało w chaosie banalności. Tragarze, policjanci, szoferzy - wszystko w ponurym świetle dwóch lamp na froncie małego dworca. Młoda zieleń drzew rzucała cień na twarz Franciszka - to było ostatnie wrażenie, jakie zostało w świadomości Eweliny. Kiedy odwróciła głowę, aby spojrzeć przez okienko w tyle samochodu, stał przed dworcem z ręką uniesioną nieco do pożegnalnego znaku; uśmiechnięty niepewnie, z cieniem na twarzy. Stał jeszcze w tym samym miejscu, gdy Marianna gwałtownie wykręciła samochód i wjechała pod most.

- Miły chłopak - zauważyła Marianna po chwili.

- Tak.

- Typowy Amerykanin.

- Nie wiem. Mnie nie wydał się taki... przeciętny.

- Och, tak. Nasi mężczyźni są o wiele inteligentniejsi, ale mają mniej pewności siebie, jeżeli to masz na myśli. Tam wszyscy są tacy jak Davis. Masowa produkcja w pięknych opakowaniach. - Marianna była raz w Ameryce, aby wybudować dla bogatego Niemca-Amerykanina kopię domu jego niemieckich przodków w Lörrach, w Badenie.

Co ty wiesz o tym? - pomyślała Ewelina samotna i dumna. Miała uczucie, jak gdyby dzieliła z Frankiem olbrzymią, niezgłębioną tajemnicę; jak gdyby żadna istota na świecie nie <sup>v</sup> znała go tak, jak ona go znała.

- Tak? Co mówisz? - zapytała, gdyż nie uchwyciła ostatniego pytania Marianny.

- Kurt robi na mnie wrażenie trochę zdenerwowanego - rzekła Marianna z pewną niecierpliwością.

- Tak, może... - Ewelina odpowiedziała niepewnie, z nie-

czystym sumieniem. Od wielu dni straciła z oczu świat, do którego należał Kurt. - Prawdopodobnie proces nie idzie tak, jak on by chciał - dodała.

- Ależ ta Ruppowa przyznała się do wszystkiego. Cała sprawa idzie gładko i nudnie i ma przy tym taki kwaśny zapaszek nędzy. Wczoraj byłam w sądzie przez godzinę -ciągnęła Marianna, podczas gdy Ewelina patrzyła na nią ze zdumieniem.

Marianna miała psychologicznego bzika. Uwielbiała sądy i uwielbiała Kurta. Oboje mogli siedzieć godzinami; dyskutując o skomplikowanych problemach psychologicznych. Jak mówiła Ewelina, Kurt wniósł z sobą Mariannę do ich małżeństwa. Ale po upływie pewnego czasu Marianna pozostawiła sędziego jak gdyby na uboczu i swoją gwałtowną, troskliwą przyjaźń poświęciła Ewelinie. Wrażliwość i miękkość Eweliny przemawiały do męskiej siły Marianny.

Jechały teraz przez Kurfurstendam; z teatrów wychodzili ludzie i samochody tłoczyły się pod drzewami. Marianna trzymała obie ręce na kierownicy.

- Zapal mi papierosa... o tu, w bocznej kieszeni - rzekła wskazując brodą. Na słowo „papieros” coś w Ewelinie zaczęło boleć i palić, jak gdyby spała od chwili odjazdu Franka, a teraz dopiero zbudziła się i zaczęła na nowo cierpieć.

Franek odjechał; nie zobaczą go już nigdy - pomyślała. Sięgnąwszy do bocznej kieszeni, znalazła paczkę papierosów; amerykańskich papierosów Franciszka, które tam zostawił. Siedziała przez chwilę bez ruchu z niezapalonym papierosem w ustach, jak gdyby nasłuchując czegoś. Most Halensee. W dole były te same szyny kolejowe, a w oddali tak samo jak przedtem mrugała wieża radiowa, tylko Franciszka już nie było. Wracały tą samą drogą i wszystko było takie, jak przedtem, ale Franciszka już nie było. Ewelina podniosła zapalniczkę, a potem wchłonęła w siebie dym z papierosa: był jak grzeszna, zakazana pieszczota.

Marianna, która z niecierpliwością nałogowej palaczki czekała, aż między jej wargi włożony zostanie zapalony papieros - był to już stary zwyczaj między nimi - zobaczyła nagle kącikiem oka, że papieros upadł na podłogę, zapalniczka wróciła na swoje miejsce na gumowej taśmie a Ewelina obsunęła się ciężko na ramię Marianny. Stało się -pomyślała Marianna.

W ostatnich kilku miesiącach od czasu urodzenia się Barchen, zdarzało się dość często, że Ewelina popadała w omdlenie. Bez jakiegokolwiek widocznego powodu traciła nagle przytomność i dopiero po długim czasie i z wielkim trudem udawało się przywrócić ją do przytomności. W atakach tych było coś tajemniczego i nieco niesamowitego. Upływały godziny, zanim odzyskiwała przytomność i nie miała potem pojęcia, jak długo była nieobecna i przebywała bezprzytomnie w nieznanym rejonach.

Doktor miał różne nazwy dla tego zjawiska: osłabienie, przemęczenie, skutki ciężkiego porodu. Zalecał oszczędzanie się, spokój i unikanie wszelkiego podniecenia. Ale takie właśnie było zawsze życie Eweliny: spokojne, bez wysiłku, pozbawione wstrząsów. Sędzia zapytał doktora, czy jest jakikolwiek powód do niepokoju lub jakakolwiek groźba niebezpieczeństwa^ Doktor oświadczył „nie” tonem, który miał w sobie wszystko, prócz uspokojenia.

Marianna nacisnęła nogą hamulec i samochód stanął ze zgrzytem. Ciało Eweliny opadło niżej na siedzenia, ale wstrząs nie ocucił jej. Marianna podniosła papierosa i zapaliła światło, a jednocześnie drugą ręką podtrzymywała Ewelinę i usadowiła ją w wygodniejszej pozycji. Klęła przy tym półgłosem, gdyż nie znosiła tych nienormalnych stanów psychicznych z ich rozklejaniem się, co w oczach Marianny zwało się tylko histerią. Potrząsnęła Eweliną i pogładziła jej czoło, ale bez rezultatu - Ładna historia! To może trwać teraz całe godziny - mruknęła strokana. W bocznej kieszeni znalazła flakonik z wodą kolońską i podsunęła szklany



korek tuż pod nozdrza Eweliny. Nic z tego! Zaciągając się mocno papierosem, Marianna znowu uruchomiła samochód, a jednocześnie podtrzymywała prawym ramieniem ciało Eweliny. Nie mogę zabrać jej z powrotem do Kurta w takim stanie - pomyślała zaniepokojona. Znowu zatrzymała samochód. Zastanawiała się.

Upłynęło już dziesięć minut, gdy Ewelina straciła przytomność. - Można by sądzić, że jest zachwycona tym swoim stanem... - Wargi Eweliny były bez krwi, ale uśmiechały się tak, jak nie uśmiechały się nigdy, gdy Ewelina była przytomna. Marianna sięgnęła poprzez nią po drugiego papierosa. Nagle powzięła decyzję i przytknęła zapalonego papierosa do ramienia Eweliny. Ewelina przyszła do siebie. Miała minę winowajczynie. - To są skutki tańczenia - rzekła Marianna z wyrzutem. Ewelina nie usprawiedliwiała się wcale. Kiedy owładnęła nią czarna, hucząca chmura, poddała się z zadowoleniem. Było to coś w rodzaju takiego małego przyjemnego umierania.

O wiele przyjemniej było zapadać w to omdlenie, aniżeli zostać z niego na nowo wyciągniętą. To że odjechał Franek, powodowało mękę, przekraczającą jej siły. Utrata przytomności była wyjściem, ucieczką. - Najwyższy czas, aby skończył się już tydzień turniejów i aby ci Amerykanie wynieśli się stąd - mruknęła Marianna. - Takie życie jest zbyt uciążliwe dla ciebie. Powinnaś leżeć w łóżku o siódmej, jak Barchen.

Ewelina potarła sparzone miejsce na ramieniu. Czowała się bardzo nieszczęśliwa, A oto dojechały już do klubu.

- Proszę cię, nie mów nic Kurtowi - rzekła szybko.

- Oczywiście - zapewniała Marianna.

- Proszę cię - powiedziała Ewelina, gdy szły wysypaną żwirem ścieżką - usiądźmy na chwilę nad jeziorem.

Marianna ustawiła samochód.

- Czekaj, weź mój płaszcz - rzekła otulając Ewelinę ciepłym jeszcze, płomiennoczerwonym jedwabiem.

Okrażyły dom klubowy i siedziały przez chwilę na ławce w pobliżu łazienek, nie mówiąc do siebie ani słowa. Żaby to skrzeczały, to uciszały się - i skrzeczały znowu. Było zupełnie ciemno, tylko niebo jaśniało. Ciągle to samo niebo, co przedtem!

- Dobrze, teraz możemy tam iść - powiedziała w końcu Ewelina.

Orkiestra poszła już do domu, ale jakiś dobroduszny członek klubu grał na pianinie starego foxtrota dla kilku par, które wciąż jeszcze kręciły się jakby we śnie i nie chciały przestać tańczyć. Było ich trzy: świeżo zaślubiona para, która właśnie wróciła z podróży poślubnej, dwoje obiecujących graczy, zatopionych w odkrywaniu, że są po raz pierwszy zakochani - i piękna, choć starzejąca się aktorka z zawadiackim młodzieńcem, który był jej kochankiem. Ewelina zrozumiała nagle - och, jakże dobrze rozumiała - to pragnienie, aby nie przestać nigdy, aby tańczyć, aby oddychać i być razem.

W sali do kart grano jeszcze, ale Kurt Droste nie brał w tym udziału.

Siedział przed zimnym kominkiem, pogrążony w rozmowie. Rozmawiał z profesorem Senftenbergiem, słynnym chirurgiem.

Sędzia nie zauważył wejścia żony. Dopiero, kiedy podeszła do jego krzesła i zwykłym sobie ruchem położyła rękę na ramieniu - podniósł głowę. - To jest pytanie, profesorze, to jest istotne pytanie - mówił, ciągle jeszcze pochłonięty dyskusją.

- Ewelina jest zmęczona, powinniście raczej iść do domu - oznajmiła Marianna, która jak straż przyboczna stała przy boku Eweliny. Droste odwrócił się szybko i przycisnął rękę żony.

- Czy nie czujesz się dobrze, myszko? - zapytał niespokojnie.

- Nie, czuję się zupełnie dobrze - odpowiedziała bladymi wargami.

- Wydajesz się trochę wyczerpana - zauważył Droste -nie powinnaś była tańczyć.

- Spakuj ją i zabierz do domu - poleciła Marianna.

- Mogę zostać jeszcze trochę - powiedziała Ewelina. -Była to rozkosz rozdzierająca jej serce, pozostawać w pokoju, w którym była razem z Frankiem. Słowa jego jeszcze drżały w powietrzu, postać stała w drzwiach, a twarz odbijała się w lustrze.

Droste zegnał się właśnie z Senftenbergiem i z Marianną.

- Przyjadę pod koniec tygodnia i zabiorę z sobą Ewelinę i Barchen na wieś - mówiła Marianna. Ewelina stała tam, trąc oparzone miejsce na ramieniu. Nie była zupełnie pewna, czy nie zemdleje znowu, w samym środku sali. Miała jakieś dziwne uczucie, jak gdyby z piersi jej wypłynęła cała krew.

Ewelina przyzwyczajona była do tego, że nią kierowano. W parę minut później znajdowała się w taksówce, na drodze do Wilmersdorf, gdzie mieszkali. Droste objął ją ręką za szyję, jak robił często, a ona oparła z wdzięcznością głowę na jego ramieniu. To było' dobre miejsce do odpoczynku, to ramię Kurta. - No, mała myszko - rzekł w zadumie. Zaraz po tym zaczął gwizdać melodię „Chóru Pielgrzymów” z Tannhausera, co było dowodem, że zatopiony jest w rozważaniach prawniczych.

Ciepła kąpiel - pomyślała tęsknie Ewelina, podczas gdy samochód dudnił po Kurfiirstendamm. Przepadała za kąpielą: oznaczała ciepło, odpoczynek, zapomnienie... Niestety, zawsze były jakieś trudności z gorącą wodą - jeden z wielu codziennych kłopotów niezbyt drogiego mieszkania średniej klasy ludzi. Gorąca woda płynęła tylko w oznaczonych godzinach - czasami była za chłodna, czasami przestawała płynąć zupełnie. Gdy tylko przyjechali, Ewelina poszła prosto do łazienki i odkręciła kurek. Gorąca woda była jeszcze i Ewelina wydała westchnienie ulgi. Miała niejasne uczucie, że dzięki temu będzie jakoś lepiej. Kurt krzątał się

w spiżarni; prawdopodobnie szukał tam owoców. Ewelina w wieczorowej sukni nachyliła się nad wodą i pozwalała, aby gorąca woda spływała jej po rękach.

Gdy wanna była dosyć pełną i gorąca para wypełniła łazienkę, Ewelina poszła do sypialni i rozebrała się. Kurt wciąż jeszcze zajęty był w kuchni.

- Czy nie mamy żadnych owoców w domu? - zawołał przez korytarz. - Nie ma nic w spiżarni.

Ewelina przeszła do jadalnego pokoju i poszukała owoców w kredensie.

- Masz tu, Kurcie - rzekła wnosząc szklaną patelnię do sypialni. Kurt z zamyśloną twarzą zdejmował właśnie smoking.

- Och, banany - powiedział z wyrazem rozczarowania.

- Mogę ci zrobić limoniadę - zaofiarowała się Ewelina. Popatrzył z taką miną, jakby zapomniał już, czego chciał.

- Co? - zapytał. - Ach, tak. Nie, dziękuję. Nie trudź się.

Ewelina pragnęła być sama; pragnęła myśleć o Franciszku... To było ważne, konieczne. Zostawiła Kurta, rozmyślającego nad bananami, i wróciła do łazienki. Z uczuciem wdzięczności zanurzyła się w gorącej wodzie. Małe srebrzyste pęcherzyki przylegały tu i ówdzie do jej skóry, podnosiły się na powierzchnię i znikwały. Ewelina przyglądała się swemu ciału z uczuciem cichego zdumienia; było dla niej czymś nowym. Czuła ociążałość w kolanach, drżenie w ramionach, pulsowanie, dochodzące aż do bólu, w brodawkach piersi. Nie wiedziała, w jaki sposób dojdzie do porozumienia z tym nowym i niezadowolonym ciałem. Schroniła się w swoje osamotnienie niby w dobrą, bezpieczną pieczarę - i zaczęła myśleć o Franku. „Napiszę list” - powiedział. Prawdopodobnie nie zna nawet jej adresu... Zmarszczyła się, gdy wszedł Kurt. Miał na sobie swoją niebieską piżamę i zachowywał się tak, jak gdyby w wannie nie było nikogo; takie przynajmniej wrażenie robiło to na Ewelinie. Zdjął z półki szczoteczkę do zębów i zaczął czyścić zęby z niesły-

chaną gorliwością. Nigdy przed tem Ewelinie nie przyszło do głowy, że właściwie w całym mieszkaniu nie miała kąta, w którym mogłaby być sama, a czuła taką gwałtowną potrzebę, aby być sama z sobą i ze swymi myślami. Automatycznie ujęła gąbkę i przykryła nią piersi. Ale Kurt nie patrzył w jej stronę. Zajęty był swoją szczoteczką do zębów -tak, jak gdyby życie jego od tego zależało. Ewelina sama wybrała mu tę piżamę i dała w prezencie na Boże Narodzenie, ale teraz piżama ta, przez swój krój, deseń w pasy i sposób, w jaki opadała z jego pochylonych ramion, przypominała jej więziennie ubranie.

- No cóż, myszko? - zapytał Kurt, gdy ceremonia czyszczenia zębów dobiegła końca. Podszedł do wanny i spojrzał z uśmiechem na Ewelinę. - Te wieczory w klubie są śmiertelnie nudne - zauważył, i pogłaskał koniuszkiem palca miękkie, nagie ramię Eweliny, spoczywające na brzegu wanny. - Seftenberg jest strasznym partnerem w brydżu.

- Czy będziesz się jeszcze kąpał? - zapytała Ewelina. Nie mogła znieść dotknięcia jego palca na swym ramieniu. Pierwszy raz zdarzyło się, że dotknięcie Kurta raziło ją, ale z grzeczności pozostawiła ramię na dawnym miejscu, jak jakiś martwy przedmiot.

- Nie, tylko zimny tusz.

Ewelina nie znosiła zimnej wody; pasja, z jaką odnosił się do tego Kurt, napełniała ją zdumieniem. Z westchnieniem przygotowała się do wyjścia z wanny. Kurt podał jej olbrzymi ręcznik kąpielowy, patrzył na nią, jak się wycierała, ale zdawał się wcale jej nie widzieć.

- Znasz tę Ruppową, prawda? - zapytał nagle. Ewelina wciągnęła właśnie przez głowę nocną koszulę.

- Tak, a dlaczego? - zapytała ze zdziwieniem.

- Jakie wrażenie wywarła na tobie? - zapytał Kurt z nutą surowości w głosie. Niewątpliwie pytał w ten sposób niepewnych świadków i zmuszał ich, aby wyznawali prawdę.

Ewelina zmarszczyła czoło i usiłowała przypomnieć sobie panią Rupp. W swoim czasie, w okresie paru miesięcy, Ewelina brała panią Rupp do prania i do robienia gruntownych porządków. Przed oczami jej stanęła blada, piegowata twarz. Rude włosy? - przyszło jej do głowy, chociaż nie była tego zupełnie pewna.

- Ma wodę w kolanach - oznajmiła, zadowolona, że przynajmniej jeden określony fakt utkwiał jej w pamięci. - Od częstego sprzątania i szorowania podłóg - dodała.

Kurt wypuścił wodę z wanny.

- Czy kradła? - zapytał.

- No, wiesz przecież, jakie są te kobiety do sprzątania - odpowiedziała Ewelinę niepewnie.

W rzeczywistości z czarnej lakierowanej amerykańskiej torby pani Rupp wyjęto różnego rodzaju przedmioty, które nie powinny się tam były znajdować. Ewelinę przebiegł dreszcz, gdy przypomniła sobie awanturę, jaka nastąpiła, gdy kucharka znalazła w worku pani Rupp całą kolekcję -mydło, cukier, stary budzik, dwie pary pończoch - i nazwała panią Rupp złodziejką i kłamczynią. Potem pani Rupp już nie przychodziła, a teraz oskarżona była o zamordowanie swej siewkry i przyznała się do winy.

- To dziwne - pomyślała Ewelina ze ściągniętymi brwiami - że każdy człowiek ma jakąś tajemnicę, nawet pani Rupp. Wydało jej się, że wie teraz o ludziach o wiele więcej, aniżeli jeszcze w ubiegłym tygodniu.

Zrozumiała nagle, czemu pani Rupp kradła, a może nawet popełniła morderstwo. To olśnienie było tak gwałtowne, że zawróciła na korytarz i weszła z powrotem do łazienki, aby powiedzieć o tym mężowi.

Kurt był teraz nagi i stał pod prysznicem. Ewelina stała cierpliwie, patrząc na jego mokre zgrabne, smukłe ciało i czekała, póki nie ustał hałas i szum puszczanej wody.

- Miała bardzo przystojnego męża i była w nim wściekle zakochana -  
oznajmiła.

- Kto? - zapytał Kurt.

- Pani Rupp - rzekła Ewelina.

- Ma go jeszcze - odpowiedział sędzia i zaczął się wycierać. Ewelina wyszła z pokoju kąpielowego i mechanicznie skierowała się przez korytarz do dzieci. Robiła to każdego wieczora przed pójściem do łóżka. Nie odkręciła światła z obawy, aby ich nie zbudzić, ale z przedpokoju dochodziło światło przez matową szybę w drzwiach. Pokój pachniał swojsko zapachem mydła i rumianku - delikatnie i aromatycznie.

Clarchen, trzyletnia dziewczynka, leżała - jak zawsze - z głową w nogach łóżeczka, wśród rozrzuconej pościeli. Żałosna laleczka bez rąk spała z otwartymi, szklanymi oczami na porzuconej poduszce. Clarchen, pełna życia młoda osóbka, była zgrzana - tak jakby spanie było dla niej ciężką pracą. Ewelina podniosła dziewczynkę i ułożyła ją we właściwej pozycji. Co noc zdumiewała ją waga tego dziecka.

Barchen - rym Clarchen-Barchen<sup>1</sup> powtarzał się w wielu piosenkach i wierszykach, ku nieustannemu zachwytowi Clar chen - wydawał w czasie snu zdumiewające odgłosy. Fuczał i chrapał jak mała lokomotywa, z piąstkami przyciśniętymi symetrycznie z obu stron małej twarzyczki, znajdował się jeszcze bowiem w tym okresie niemowlęctwa, kiedy obie rączki muszą zawsze robić jedno i to samo. Policzki jego były tak czerwone, że Ewelina w mglistym świetle dochodzącym przez drzwi widziała, jak błyszcząły. Ten jej mały synek był jeszcze czymś tak nowym i rozkosznym, że nie mogła zbliżyć się do niego, aby nie czuć przenikającego ją namiętnego płomienia fizycznego szczęścia. Nachyliła się i przytknęła usta do jego gorącego, wilgotnego policzka, pachną-

---

<sup>1</sup> *Bärchen* - po niemiecku, niedźwiadek.

cego mlekiem i brzoskwiniami. Przez chwilę było tak, jakby nie była tak bardzo nieszczęśliwa, a przyszłość tak pusta i beznadziejna, jak wydawało jej się od chwili odjazdu Franka. Podniosła małą główkę, ułożyła jej zaokrąglenie we wklęsłości swej dłoni i poczuła puls bijący w tętnicy. Barchen zrobił taką minę, jak bardzo stary człowiek w złym humorze, i poruszył się. Ewelina położyła go i wysunęła się > przerażona z pokoju, aby mały nie obudził się i nie zaczął płakać.

Właśnie minęła północ; na niebie zaczęło się błyskać. Okna sypialni były otwarte i muślinowe firanki wydymały się nieco. Kurt nie poszedł jeszcze spać. Ewelina zawołała na niego, odpowiedział z bawialni:

- Idę zaraz.

Ewelina wiedziała, że u niego jest to termin bardzo nieokreślony i poszła zobaczyć, co robi. Sędzia stał przed półką z książkami, z nadgryzionym bananem w jednej ręce, a z grubą księgą w drugiej.

- Idę już spać - oznajmiła Ewelina. Spojrzał na nią i patrzył z taką miną, jakby nie mógł sobie przypomnieć, kim była.

- Dobrze, przyjdę zaraz - powiedział i czytał dalej.

Gdy Ewelina położyła się do łóżka, była wdzięczna, że jest sama. Czuła się tak śmiertelnie zmęczona, jak po jakiejś ciężkiej operacji, jak po nieszczęsnych komplikacjach przy rodzeniu Barchen. Nawet ból, jaki w niej tkwił, stał się jakby zmęczeniem. Spać - pomyślała z tęsknotą - tylko spać... Zostawiła światło dla Kurta i zamknęła oczy.

Natychmiast, nie wzywana, zamiast utęsknionego snu, zjawiała się przed nią twarz Franka. Cudowna twarz, twarz ukochana, twarz jedyna i utracona. Ciemne włosy, okalające głowę gładkimi, połyskliwymi falami; prześlicznie ukształtowane czoło, na którym czasami nabrzmiewała żyła - znak podniecenia, niecierpliwości, panowania nad sobą... Jasne oczy pod ciemnymi włosami; duże, zdecydowane usta... Cera



jego miała złocisty odcień, jakiego Ewelina nie widziała jeszcze na niczyjej twarzy.

„ - Tego się nabiera w Kalifornii. Mam tam plantacje pomarańczowe na Wybrzeżu.

- Ta blizna? Spadłem raz z maszyną, byłem w czasie wojny w korpusie lotniczym.

- Tak, stanowią zabawną mieszanicę. Dziadkowie moi byli Francuzami, matka pochodziła z Nowego Orleanu, ojciec był Irlandczykiem, ale jego matka pochodziła z jednej ze starych hiszpańskich rodzin w Kalifornii.

- Tak, mam złe maniery... To pochodzi stąd, że przez rok przebywałem na Kubie. Wszystkie dobre maniery, których nauczyłem się w Chinach, poszły w zapomnienie na Kubie."

Gdy Ewelina leżała z zamkniętymi oczami, wspominając te urywki rozmowy, nagle wstrzymała oddech. Radca Sądu Krajowego Droste, Berlin, ulica Düsseldorf 47, czteropokojowe mieszkanie, przyzwoita solidna niemiecka rodzina ze średniej sfery - jakże mógł się zdarzyć taki cud, że przyjechał jakiś Franciszek Davis? Przygoda, szerokie przestrzenie, nieznan świat - przyjechał skądś z daleka i odjechał z powrotem gdzieś daleko...

- Czy zapłaciłaś rachunek za gaz? - zapytał sędzia wszedłszy do pokoju. Ewelina wzdrygnęła się, jak gdyby w obawie, że może odczytać jej myśli.

- Nie - szepnęła z uczuciem winy i dodała: - Jakże mogłam?

Kurt złożył spodnie i zawiesił na poręczy okna. Postawił starannie pantofle ranne przy łóżku, obcas przy obcasie. Nie był pedantem, ale człowiekiem metodycznym. Sprężyny zaskrzypiały nieco, gdy położył się do łóżka.

- Czy mam zgasić światło? - zapytał.

- Proszę cię - powiedziała z ulgą. Ciemność położyła się chłodno i łagodnie na jej zamkniętych powiekach.

- Posłuchaj teraz, myszko - zaczął Kurt z drugiego łóżka. - Jeżeli wypiszę czek i zostawię z samego rana na biurku, czy pošlesz go do gazowni? Ewelina zastanowiła się nad tym, ale poczuła lęk - wydało się jej to zanadto skomplikowane i odpowiedzialne.

- Nie wiem - rzekła w końcu.

- Jeżeli będziemy zwlekali dłużej, gazownia zamknie nam gaz - rozległa się ostrzegawcza uwaga z sąsiedniego łóżka.

Ewelina milczała z uporem. Czy będzie gaz, czy nie będzie... było jej to najzupełniej obojętne.

- No, wszystko jedno, mała myszko - rzekł w końcu Kurt. Zabrzmiało to wprost wzruszająco, przez co stało się aż śmieszne. Wyciągnął ramię ze swego łóżka i objął ją przyjacielskim ruchem.

- Zmęczona? - zapytał.

- Bardzo.

- No, to dobranoc - powiedział Kurt.

Ewelina oparła się o jego ramię. Było to jej stare przyzwyczajenie. -

Dobranoc - powiedziała.

Leżała nie śpiąc przez długi czas. Tyle rzeczy miała do pamiętania i zastanawiania się, jak nigdy przed tym w ciągu całego swego życia.

Dzieci - pomyślała. - Clarchen i Barchen to jest coś zupełnie innego. Są słodkie, zachwycające, ale to nie wystarcza. To nieprawda, że dzieci mają jakiegokolwiek znaczenie, gdy kobieta się zakocha. Kurt i dzieci są czymś zupełnie innym. Nie mają z tym nic, absolutnie nic wspólnego. To śmieszne, ale nie mam nawet wyrzutów sumienia. Kocham Kurta, kocham dzieci. To, co się stało, nie ciąży mi ani trochę na sumieniu.

Otworzyła oczy i zastanawiała się nad tym. Na dworze błyskało: przez ułamki sekundy błyskawice oświetlały pokój. Gdzieś, na pobliskiej ulicy, usłyszała dzwonek straży ogniowej.

Stało się? - pomyślała Ewelina znowu. - Nic się nie stało, absolutnie nic się nie stało.

A potem na koniec popłynęły łzy; trysnęły z oczu i spłynęły strumieniem po jej policzkach na poduszkę.

- Nie śpisz jeszcze, myszko? - zabrzmiało pytanie z sąsiedniego łóżka.

Ewelina wstrzymała oddech i nie odpowiedziała. Nie mogę nawet płakać w samotności - pomyślała desperacko. Usłyszała jak mąż westchnął, a potem w sypialni zapanowała cisza.

### III. WTOREK: MAŻ

Amerykanin, który tańczył z Ewelina, spojrzął na swój zegarek. Sędzia Droste stanął w drzwiach, aby poszukać wzrokiem Eweliny i z pewną trudnością znalazł ją wśród tańczących par. Z przyzwyczajenia wypatrywał czarnej sukni, ale tego wieczora Ewelina miała na sobie białą, powiewną, opadającą w fałdach na jej smukłym ciele. Droste nie zauważył jej sukni, gdy przybyli do klubu.

Ewelina wyglądała na zmęczoną i na wpół senną, gdy przesunęła się, tańcząc z tym Amerykaninem, koło męża. Było mu jej trochę żal, gdyż wiedział, jak nie lubiła wychodzić z domu wieczorami.

- Właśnie irytuję się na ciebie - rzekł natknąwszy się na Mariannę w pokoju do kart. Marianna ubrana była w płomienną czerwień; ramiona jej spalone były na brązowo podczas gry w tenisa.

- Cóż zawiniłam tym razem, kochanie?

- Śmieszne jest to ciągnięcie nas do klubu. To jest zanadto wyczerpujące dla Eweliny.

- No dobrze, ale gdy już raz zdobyłam dla was ten kosztowny bilet wstępu, nie miałoby sensu nie zrobić z niego pełnego użytku - odpowiedziała Marianna, chociaż tak nie myślała. W rzeczywistości składka do klubu była za wysoka jak na pensję Droste. Marianna zaś otrzymała pierwszą

nagrodę za jakieś plany i zamówienie na wykonanie osady, w danej chwili więc prowadziła tryb życia w wielkim stylu i pocziwie zmuszała swych przyjaciół, aby uczestniczyli w jej powodzeniu życiowym.

- Trochę tenisa, pływania i tańca nie może zaszkodzić Ewelinie. Jeżeli o to chodzi, to dla jej nerwów wcale nie jest dobrze, gdy cały czas siedzi w domu i przysłuchuje się wyciu Barchen - rzekła biorąc Drostego za rękaw i prowadząc go dalej. - Czy mam zorganizować dla ciebie czwórkę do brydża?

- Dziękuję ci, ale bez cudzoziemców. Nie mogę grać tak wysoko - odpowiedział Droste z niezadowoleniem. W rzeczywistości bardzo lubił te wieczory w klubie; stanowiły one przyjemną rozrywkę po wyczerpujących sprawach w sądzie. Ale w czasie tygodnia turniejowego klub przybrał zupełnie odmienny wygląd. Zjawili się członkowie angielskich i amerykańskich kolonii w Berlinie; przybył ambasador hiszpański, konsul turecki. Mówiono więcej po angielsku, niż po niemiecku, a wśród widzów ukazały się panie w specjalnych angielskich kapeluszach. Drostego denerwowali ci cudzoziemcy. Zachowywali się krzykliwie, nie zwracali uwagi na innych i mieli stale tak dobre humory, że po prostu dla przekory człowiek zmuszony był do pesymizmu. O szachach nie można było nawet myśleć, jak długo w sąsiednim pokoju jęczała i wyła orkiestra jazzowa. Ludzie rozsądni, z którymi kiedy indziej można było odbywać interesujące rozmowy, stawali się śmieszni, tańcząc foxtroty w sali balowej. A Ewelina, która była za uprzejma i za grzeczna, aby odpowiedzieć „nie”, tańczyła ze zwykłej gościnności z tym krzykliwym, na wpół ucywilizowanym drabem z Ameryki, jakkolwiek nie znosiła tańca, w każdym razie szkodził on jej zdrowiu.

Droste był zły i przeczulony i nerwowo zaciągał się dymem papierosa.

- No, mój drogi, co ci usiadło na nosie? - zapytała Marianna, która znała go lepiej, aniżeli on sam siebie.

- Czy byłaś dziś w sądzie? - zapytał równie szybko.

- Nie, nie miałam czasu. A co?

- Nic. Chciałbym tylko pomówić o tym z tobą - odpowiedział sędzia.

Marianna bywała stale na rozprawach sądowych. Dwa lata przed małżeństwem Droste'go miała z nim bardzo bliski, ale krótkotrwały stosunek miłosny, który wkrótce zamienił się w stałą przyjaźń. Od tego czasu zachowała zwyczaj chodzenia na jego rozprawy, a on - omawiania z nią swoich problemów.

- Mów, o co ci chodzi - rzekła, gdy siedli przed kominkiem. Marianna w zwykłej swej pozie, z jedną nogą podwinętą pod siebie, jak kobiety na miniaturach perskich, patrzyła na niego wyczekująco.

- Chodzi mi o tę Ruppową... przyznała się do otrucia swej świekry - rzekł Droste, z pasją zaciągając się dymem z papierosa. - Wszystko pięknie i dobrze, gdy się jej słucha, ale coś tam się nie zgadza. Wszystko, co Ruppowa opowiada jest żelgane; jestem tego tak pewny, jak...

Droste zamyślił się. Marianna przyglądała mu się z zainte-resowaniem.

Lubiła szlachetną sieć zmarszczek na jego czole - znała ją tak dobrze, jak mapę, którą się często studiuje. Było to tak, jak gdyby mogła widzieć pracę jego mózgu poprzez cienkie kości czaszki. Wszystko w nim było szlachetne i delikatne: postać, ręce, głowa, ciało i włosy. Dobry północno-niemiecki ród, przesiany przez tyle pokoleń aż do wyrafinowania.

- No, więc o co chodzi, Puszel? - zapytała używając pieszczotliwego imienia, jakim go ongi nazywała.

- Jeżeli pani Rupp jest niewinna, w takim razie najłżejszy nawet wyrok byłby za surowy - rzekł w końcu Droste, wciąż jeszcze pogrążony głęboko w myślach.

- Ale mówisz, że się przyznała? - zauważyła Marianna ze zdziwieniem.

- Właśnie - odpowiedział Droste, podniósł się i odszedł.

Marianna patrzyła za nim zdumiona, gwizdnęła cicho, a potem wstała i poszła spróbować, czy nie uda jej się zorganizować czwórki do brydża. Nie myśląc o tym, co robi, Droste wrócił znowu do pokoju, w którym odbywały się tańce. Irytacja jego z powodu zmarnowanego dnia w sądzie mieszała się z niezadowoleniem, że teraz znowu zmarnuje wieczór w klubie. Przypomniała mu się nagle zapomniana książka o mordach, dokonywanych przy pomocy trucizny, i miał ochotę teraz do niej zajrzeć. Gdy wszedł do sali balowej, miał zamiar wywołać Ewelinę i pojechać razem z nią do domu, do swych dokumentów i książek. Ale Eweliny nie mógł znaleźć. W jakiś niejasny sposób przyniosła mu ulgę świadomość, że Ewelina nie zmusza się już do prowadzenia spoconego cudzoziemca po zatłoczonej posadzce. A potem, gdy tak stał w drzwiach, zapomniał zupełnie o Ewelinie. Gdy stał tak i przyglądał się elegancko ubranemu tłumowi tancerzy, wmieszała się weń nagle Ruppowa - Ruppowa, tęgawa kobieta, dochodząca już do czterdziestki, o wyblakłych czerwonych włosach, z piegami na szerokim, płaskim nosie i ze spracowanymi rękami, złożonymi niespokojnie na ciężkim brzuchu kobiety brzemiennej.

Była grzeczna i usłużna; nigdy nie skąpiła informacji i okazywała gotowość pomagania niezdarnej procedurze sądowej, zeznania jej, złożone cichym głosem, były jasne, wyraźne i ścisłe. Miała czworo dzieci i spodziewała się piątego; mąż jej znajdował się bez pracy od półtora roku.

- A człowiekowi nie wychodzi to na dobre - oświadczyła. Cała rodzina gnieździła się w jednym pokoju i kuchni, a w dodatku do czasu morderstwa była jeszcze matka męża, bardzo stara, chora i niezdolna. Pani Rupp była osobą niesympatyczną, ale cieszyła się dobrą reputacją. Sprzątała, czyściła, szyla i chodziła do prania, aby zarobić choćby parę fenigów. Był to charakterystyczny obraz nędzy ludzkiej, ta

Ruppowa, która tak nieugięcie upierała się przy swoim zeznaniu, że to ona zamordowała świątkę.

Droste był niezadowolony z siebie. Zdawał sobie sprawę, że przeciąga rozprawę w niesłychany sposób tylko dlatego, że odczuwa strach, zupełnie zwyczajny strach, przed doprowadzeniem do wydania wyroku w momencie, gdy sam jest tak bardzo niezdecydowany.

Ta kobieta prześladowała go swoją ciężką, nieruchomą twarzą, obrzękłą z powodu brzemlenności; swym niskim, zduszonym głosem i bezradnymi słowami, którymi sama siebie obwiniła.

- Tak, jak mówię... musiałam wsypać do zupy od razu całą tę truciznę na szczury, abyśmy mogli mieć nareszcie spokój, gdyż z tą starą kobietą było czyste piekło... nic innego.

Droste musiał przez ostatnie trzy noce brać weronal, aby mieć spokój ze strony Ruppowej. Ten proces stał się dla niego torturą. Czuł, że i tej nocy nie będzie mógł zasnąć.

- Proszony jesteś do brydza - rzekła za nim Marianna. - A może zaszczycisz mnie jednym tańcem?

- Znasz moje foxtrotowanie - odrzekł.

Ale gdy tak stała tuż przed nim i czerwony jedwab jej sukni ocierał się o jego kolana - objął ją w końcu i zaczął tańczyć bezmyślnie.

- Nie najgorzej, jak na sędziego - powiedziała złośliwie Marianna.

Tymczasem on, być może w rytmie tańca, znalazł odpowiednią formułę.

- Dla sędziego istnieją dwa śmiertelne grzechy — rzekł - uniewinnić winnego i skazać niewinnego. Nie wiem, co z tego jest gorsze dla człowieka, którego zawód polega na wykonywaniu sprawiedliwości.

Przetańczył raz dokoła pokoju w milczeniu, głęboko zamyślony. - A ja mam uczucie, że jedno i drugie nastąpi w tym przeklętym procesie - rzekł nagle. Marianna przestała tańczyć.



- Któż, na miłość Boską, mógł to zrobić, jeżeli nie Rup-powa? - zapytała trochę bez tchu.

- Oczywiście mąż - odpowiedział sędzia półgłosem.

- Czemu tak sądzisz? Czy jest coś przeciwko niemu?

- Nie, nic. To właśnie doprowadza mnie do wariactwa. Gdzie jest Ewelina? Jadę do domu.

- Och, zostaw Ewelinę w spokoju. Zachowujesz się jak pielęgniarzka, zniszczysz jej samodzielność. Opowiedz mi raczej wszystko o tej Ruppowej.

Droste przestał tańczyć i gdy prowadził ją na taras zaczął mówić.

- Wyobraź to sobie tylko, Marianno. Jest ich siedmioro w jednym pokoju, w suterenie: mąż, żona, czworo dzieci i świekra. Ożenił się z tą kobietą, gdy miała już z nim dwoje dzieci. Przystojny chłopak z ulicy, pomocnik rzeźnicki -taki, dla którego przychodzą do sklepu wszystkie służące, posłane po kiełbasę. Wygląda jak trębacz orkiestry w jakiejś kuracyjnej miejscowości. Ruppowa była jedną z takich służących. Zdaje się, że uwielbia tego człowieka. Ma dla niego takie uczucia, jak gdyby winna mu była wieczną wdzięczność za to, że nie tylko ją uwiódł, ale w dodatku ożenił się z nią. Od początku nie było tam nic, prócz brudu, płaczu dzieci, nędzy. Mleko kipi... pieluchy suszą się na piecu... dzieci mają koklusz, a żona zachodzi w ciążę, gdy tylko mąż się do niej zbliży. W mieszkaniu wilgoć; z okien nie widać nic, prócz butów ludzi idących w słońcu. Od początku nie wystarcza pieniędzy na życie, a potem - on traci robotę... Nie można nawet powiedzieć, że nastąpiło to z jego winy. Nic nie ukradł, pił tylko w uroczyste święta, nie był awanturnikiem, nawet nie bił żony...

Ruppowa wydaje mu jak najlepsze świadectwo, co nie przeszkadza jednak, iż Rupp robi wysoce niesympatyczne wrażenie. Mężczyzna, przebywający w domu, bez pracy, jest czymś strasznym. Rupp szybko degraduje się, spada coraz niżej we własnych oczach i w oczach

ludzi... Jest nieszczęśliwy, a jego prosta natura chłopca od rzeźnika uniemożliwia mu wyrażenie tego w inny sposób, jak w dręczeniu i znęcaniu się nad swoją rodziną. Ale prawdziwe piekło rozpoczyna się dopiero, gdy przybywa świekra. Stara pani Rupp to wcielony diabeł. Jest dumna, bo była dawniej czymś lepszym, miała bowiem swój własny sklep. Teraz, kiedy syn nie może jej już pomagać, wprowadza się ze wszystkim do niego - i od razu rozpoczyna się piekło. Pogardza służącą, którą poślubił jej dorodny syn. Zajmuje miejsce Ruppowej w pokoju, przy piecu, przy dzieciach, przy mężu. Ruppowa robi, co może. Pierze i sprząta, pracuje i zarabia trochę. Ma poronienia, krwawi - i znowu idzie pracować - i staje się stara, zniszczona i brzydka. Staje się zazdrosna o starą, walczy o swego męża. Ale stara ma jeden wielki atut w ręce: swój testament. Stara pani Rupp ubezpieczona jest na życie na sumę tysiąca marek, które wypłacone mają być po jej śmierci. To jest cały majątek dla Ruppów w ich suterenie! Ruppowa znosi dużo ze strony świekry. Oddaje jej swoje łóżko, sama śpi na ławce w kuchni, a kiedy dzieci nie pozwalają jej usnąć, wypełnia czas marzeniami

o śmierci starej. Stara jest chora, ma coś we wnętrznościach, ale nie umiera. Żyje dalej, jak gdyby na przekór. Dokuczają Ruppowi swymi bólami, swymi nieapetycznymi skargami i wymaganiami, ale nie umiera. Ruppowa znowu jest w ciąży; w mieszkaniu, dopóki stara żyje, nie ma już miejsca dla jeszcze jednego dziecka, nie ma pieniędzy na poród, nie ma pieniędzy nawet na zrobienie poronienia. Ruppowa nie jest szalona, po prostu znajduje się tylko u kresu wytrzymałości nerwów. Kupuje paczkę trucizny na szczury i wysypuje ją starej do zupy. Stara umiera... Wszystko byłoby dobrze, gdyby Towarzystwo Ubezpieczeniowe nie zaczęło pytać, badać, gdyby nie zakwestionowało świadectwa śmierci i nie wskazało, że nieobecność doktora przy śmierci jest podejrzana. Zarządzono sekcję zwłok - i znaleziono arsenik. Ruppowa przyznała się do winy. Cztery

miesiące jest już w więzieniu śledczym, a teraz jest w ósmym miesiącu. Urwał i spojrzął na swoje ręce. Był jak gdyby na jakiejś wyspie z Marianną. Wszyscy inni tańczyli, śmiali się, flirtowali.

- Nie wiem, czy możesz się w to wczuć - dodał z lekkim zaambarasowaniem. Marianna patrzyła na niego w zamyśleniu, z wyrazem głębokiego uznania.

- Nie na próżno studiowałam budowę mieszkań robotniczych przez pięć lat - wtrąciła pobieżnie, nie przestając patrzeć na Droste'go. - Ale jeżeli przyznała się do wszystkiego, na czym polega problem? - zapytała. - Litość?

- Litość! Sędziemu nie wolno odczuwać litości. Nie... Problem polega na tym, że mąż oskarżony jest razem z nią. On i Ruppowa zgodnie utrzymują, że on nie wiedział nic o całej sprawie. Wątpię. Mąż wie dokładnie, co robi jego żona. Nie mogę puścić go wolno, jeżeli...

- Nie jest przyjemne zastępować w tym procesie interesów Towarzystwa Ubezpieczeń - powiedziała Marianna niespodziewanie. Droste wzdrygnął się pod tym nagłym atakiem. Ulżyło mu trochę, gdy przedstawił jej obraz domowego życia Ruppów.

- Dlaczego właściwie nie ożeniłem się z tobą, Marianno? - zdumiony usłyszał swoje własne słowa.

Marianna patrzyła ciągle w dół na jego ręce. - Możesz być zadowolony - rzekła. - Małżeństwo z kobietami mego pokroju jest bardzo denerwujące.

- Małżeństwo z każdą kobietą jest denerwujące - odpowiedział Droste szybko. Zaraz potem zrobiło mu się żal. Jak to niesprawiedliwie wobec Eweliny! - pomyślał. Bezradność i miękkość Eweliny budziła w nim najgłębsze uczucia. Czuł oczy Marianny utkwione w siebie z dziwnie przenikającym, badawczym spojrzeniem. Przez sekundę nie mówiła nic; potem wzięła go za ręce i poprowadziła ku sali brydżowej.

- Teraz będziesz grał w brydża, póki nie zechce ci się spać i zapomnisz o pani Rupp - rzekła surowo.

- Może - odpowiedział z uczuciem ulgi. Marianna była dobra. Poznawała po jego oczach, kiedy zaczynał brać weronal i wiedziała, jak go od tego powstrzymać.

Partia składała się z Marianny, jego, chirurga Senftenberga i starej pani Lungstroem. Stara Lungstroem była w młodości wielką śpiewaczką wagnerowską. Odkąd się zestarzała, miała tylko dwa zainteresowania: brydż i wyścigi. Wyglądała jak mężczyzna, jak stary wiolonczelista, z grzywą siwych włosów nad kwadratowym czołem i z olbrzymią klatką piersiową; ubrana zawsze w tweedową suknię, z dziwnie krótkim cygarem w kąciку ust.

Droste czuł, że jego nerwy uspokajają się powoli, w miarę jak rozdawał karty, które tak długo wyslizgiwały się spod palców. Ale nie grali nawet dziesięciu minut, gdy myśli jego znowu zaczęły błędzić. Pytania i odpowiedzi z badania świadków krzyżowały się w jego mózgu i mieszały z urywanymi zapowiedziami graczy. Pani Lungstroem stuknęła dwukrotnie w stół palcami, wzywając go do uwagi. - Pracować, moi panowie - powiedziała - nie jesteśmy tu dla przyjemności.

Był to jeden ze stałych dowcipów przy stoliku brydżowym.

Zapomniał wyjść kartą i Marianna trąciła go lekko w nogę. Dama treflowa miała szyderczą i złośliwą twarz i Droste zatopił się na nowo w myślach o procesie. Miał dobre karty, grał mechanicznie i nawet wygrał. Partia została naruszona, gdy jeden z tych impulsywnych amerykańskich tenisistów zabrał Mariannę do baru, a miejsce jej zajął tajny radca Regen, który już od pół godziny krążył jak ryczący lew i węszył za partnerami. Później Ewelina zjawiała się na chwilę i położyła rękę na ramieniu Droste'go, akurat w chwili, gdy miał powziąć ostateczną decyzję co do zapowiedzenia czterech bez at. Jak się zdawało, chodziło o odprawienie Amerykanina na stację.

Według niego, klub posuwał nieco za daleko swą gościnność wobec tych pogodnych cudzoziemców, ale nie jego rzeczą było podnosić przeciw temu protest.

Kiedy tamci wyszli, ogarnęło go lekkie zniechęcenie; dostał złe karty i stracił zainteresowanie do gry. Przestał grać i usiadł w kącie sali z Senftenbergiem. Senftenberg również miał swoje kłopoty; zwyczajna operacja wyrostka robaczkowego, którą przeprowadził poprzedniego dnia, skończyła się śmiertelnym wynikiem - i to go dręczyło. Prowadził rozmowę jak mężczyzna z mężczyzną i obu ich to zadowoliło, chociaż w rzeczywistości każdy z nich mówił swoje. Droste opowiedział o sprawie pani Rupp, a chirurg o wypadku z wyrostkiem robaczkowym. Potem Ewelina wróciła i sędzia żałował, że pozwolił jej jechać na stację. Wyglądała na zmęczoną, podczas gdy stojąca obok niej Marianna kwitła i promieniowała energią, jak piec rozżarzony do czerwoności. Sędzia usadowił żonę w taksówce i ruszył do domu. Miał właściwie zamiar pojechać kolejką podziemną, ale gdy spojrzał uważnie w twarz Eweliny i zobaczył jej wyraz bezradnego zmęczenia - zagwizdał na taksówkę.

- To nie żarty mówić po angielsku cały wieczór z ludźmi, których się nie zna i którzy, tak, czy owak, nie mają nic do powiedzenia - zauważył i usadowił się na źle wyściełanym siedzeniu taksówki. Ewelina uśmiechnęła się niewyraźnie. Ledwo ruszyli z miejsca, Ruppowa na nowo wdarła się do jego myśli. To śmieszne, jak ta sprawa go dręczy! Jeżeli ma być szczerzy, żal mu Ruppowej. Ale litość nie jest właściwym uczuciem dla sędziego. Nie ulegało wątpliwości, że Ruppowej uwzględniono by okoliczności łagodzące, ale jeszcze i wtedy więzienie było pewne. Ruppowa urodzi piąte dziecko w szpitalu więziennym! Dadzą jej tak zwaną celę dla matek i pozwolą trzymać dziecko przy sobie tak długo, póki je będzie karmić. Potem dziecko oddane zostanie do przytułku. Czwooro dzieci w domu także oddanych zostanie pod opiekę publiczną. Mąż zejdzie na psy... towarzystwo ubez-

pieczeniowe zaoszczędzi tysiąc marek. Wszystko jedno, z jakiej strony patrzy się na to, cała sprawa jest nieprzyjemna. Najbardziej niepokojące było to, że Ruppowa tak wyraźnie napraszała się o skazujący wyrok; siedziała, me próbując walczyć, nieruchoma, nieprzenikniona.

Mąż był zupełnie inny - pełnokrwisty, czynny, zawsze gotowy śmiać się z każdego marnego sądowego dowcipu. Był podejrzany o współwiedzę, a nawet o współdziałanie w tej sprawie i dlatego znajdował się na ławie oskarżonych razem z żoną. Droste był absolutnie przekonany, że ten pogodny rzeźnik jest współnikiem. Ale niczego me można mu było dowieść. Wyglądało tak, jak gdyby Ruppowa umieściła swoje twarde, ciężkie ciało przed mężem, aby go zasłonić i chronić. Ale to było źle, zupełnie źle...

Taksówka stanęła. Droste wyszedł, pomógł wysiąść zonie, zapłacił mechanicznie, mechanicznie otworzył drzwi od ulicy i nacisnął kontakt, oświetlając schody. Klatka schodowa miała stęchły zapach domu, w którym na każdym piętrze mieszka po dwóch lokatorów, którzy co piątek gotują rybę, a dwa razy tygodniowo kapustę. Ewelina szła znużonym krokiem po schodach. Była jak dziecko, które upiera się, by zostać tak długo, jak starsi, a potem słabnie. Te wieczory w klubie - tańce, Amerykanie - wszystko to me dla Eweliny. Droste otworzył drzwi mieszkania i wepchnął Ewelinę do przedpokoju. Przedpokój był właściwie długim pasażem, w którym poustawiane były rzędem: wózek Bärchen, rower służącej Weroniki i obręcz do zabawy Clärchen.

Mieszkanie Drostów nigdy nie było w pełnym porządku i to stanowiło zawsze powód do lekkiej irytacji dla uporządkowanego umysłu sędziego. Ewelina była zbyt bierna, aby rządzić domem. Szła ślepo przez korytarz do sypialni. W połowie drogi upuściła rękawiczkę, ale nie schyliła się, aby ją Podnieść. Droste miał w ustach suchy, gorzki smak. To skutek weronału.

- Czy są jakieś owoce? - zapytał, ale Ewelina nie usły-

szła. Poszedł przez kuchnię do szafki z lodem w małej spiżarni.

To wszystko byłoby z gruntu złe, z gruntu złe, gdyby ta Ruppowa miała wziąć całą winę na siebie, aby ocalić swego męża przed więzieniem! Były chwile w czasie jej przesłuchania, kiedy sędzia był przekonany, że o to właśnie chodzi, chociaż nie umiałby tego dowiedzieć. Jeżeli Ruppowa pójdzie do więzienia, cała rodzina zostanie zrujnowana. To było całkiem niesłuszne. Powinno być wręcz przeciwnie: mąż powinien wziąć całą winę na siebie i iść do więzienia i zniknąć z oczu. Ruppowa twarda, ciężka i pracowita, utrzymałaby wówczas i siebie i dzieci. Była w niej siła piaszczystego kartofliska. Droste patrzył na kartofle, wśród których szukał bezmyślnie. Owoców w spiżarni nie było. Jak zwykle...

W końcu znalazło się kilka bananów w pokoju i Ewelina wydawała się nawet bardzo dumna z tego. Droste zaczął z niezadowoleniem obierać banana. Pachniał miło, ale gdy człowiek zagłębiał zęby w ich miąższ bez smaku - doznawał zawsze jednego i tego samego uczucia zawodu.

Droste skierował się do tak zwanej bawialni, która w rzeczywistości była jego gabinetem. Nie dlatego, aby usunąć z niego Ewelinę, ale Ewelina była jedną z tych kobiet, których całe osobiste życie koncentruje się na łóżku. Książki, miesięczniki, listy, cukierki, szycie i reperacje, książka z wydatkami gospodarskimi, którą Droste zaprowadził i która nigdy się nie zgadzała - brakujące sumy umieszczone w niej były zawsze pod mglistym nagłówkiem „Różne” - to... i setki innych drobiazgów walały się po łóżku Eweliny, zamieniając je w rodzaj domowego muzeum.

Droste, nie mogąc znaleźć książki, której szukał, krążył dalej bezcelowo, wszedł do sypialni - i na koniec odkrył, czego właściwie chciał naprawdę: dobrego zimnego prysznicu.

Już przedtem zdjął marynarkę, a teraz rozebrał się zupełnie i nałożył piżamę; przez cały ten czas czoło jego marsz-

czyło się od wysiłku przypomnienia sobie, w jakiej to właściwie książce czytał ten interesujący rozdział o morderstwie przez otrucie, którego nadaremnie szukał. Pinot... Pmdol... Bintop... Gdy wchodził do łazienki, szukał w głowie nazwiska francuskiego autora tej książki.

Uderzyły w niego ciepłe, perfumowane opary, kobiecej kąpieli. Była to jedna z rzeczy, których nie lubił, ale do których się przyzwyczał. Ewelina zrobiła sobie mieszkanie z wanny i najchętniej, jak niektórzy chorzy umysłowo, pozostawałaby w niej cały dzień. Droste opanował swoje zniecierpliwienie i zamienił z nią kilka nic nie znaczących słów. Zaczął ostentacyjnie czyścić zęby i hałaśliwie płukać gardło. Miał już doświadczenie, że jest to bardzo dobra metoda, aby wygnać Ewelinę z łazienki - i zdobyć łazienkę dla siebie. W rzeczy samej Ewelina westchnęła żałośnie i wyszła z wanny.

W tej samej chwili Droste poczuł dla tej bezradnej małej kobietki gwałtowną czułość, która stanowiła najsilniejszą część jego przywiązania do niej. Niechętnie postawiła swą stopę małego dziecka na dywaniku przed wanną i wzdrygnęła się w chwili, gdy opuściła ciepłą wodę. Droste wziął ręcznik kąpielowy i otulił ją nim szybko, a ona uśmiechnęła się z wdzięcznością. Droste zauważył, że bardzo schudła od czasu urodzenia Barchen. Ciało miała jak postacie Lucasa Cranacha; smukłe, z wysuniętym naprzód łonem i tak samo, jak one - gdy się wycierała - patrzyła na mego z dziecinną przekorą kącikami oczu.

Nagle, zupełnie nieproszona, Ruppowa zjawiła się przed nim znowu. Widział ją, jak siedziała sztywno na ławie oskarżonych i ani razu nie spojrziała w bok na swego męża. Tylko te ciężkie krople potu na jej żółtym czole, gdy przesłuchiowano Ruppę... Obrońca zażądał szklanki wody dla oskarżonej.

- Znasz przecież Ruppową, prawda? - zapytał właśnie w chwili, gdy Ewelina skończyła wycierać starannie swoje



piękne ramiona i nakładała nocną koszulkę. Przyszło mu nagle do głowy, że Ewelina, w swojej niewinności, może powiedzieć mu o pani Rupp coś ważniejszego, niż Marianna z całą swoją znajomością socjologii i psychologii. Ale Ewelina nie wiedziała nic ponadto, co już było wiadome - że Ruppowa przychodziła do prania i że była bardzo biedna. Gdy na koniec Droste wygnał Ewelinę z łazienki i rozkoszował się swoim prysznicem, Ewelina wróciła, aby krzyknąć mu sentymentalną informację, że Ruppowa miała bardzo przystojnego męża i że była w nim szalenie zakochana. Droste przyjął tę wiadomość niecierpliwym uśmiechem i skinieniem głowy i wrócił do swego prysznicu. Czuł antypatię dla tego wolowatego draba na ławie oskarżonych. Usłyszał zwykłe skrzypnięcie zawiasów, z jakim otwierały się drzwi dziecięcego pokoju i wiedział, że Ewelina odprawia swe codzienne wieczorne nabożeństwo przy łóżeczku Bàrchen - potem poszedł przez korytarz do swych książek. Znalazł! Robert Pinchot. *Histoire des Empoisonnements*. To nie była książka, ale seria artykułów w piśmie „Revue Générale du Droit, de la Législation et de la Jurisprudence”.

Przeszukiwał stare zeszyty, pachnące dymem fajkowym. Zawsze w sądzie palił fajkę, tylko w domu robił kompromis z bardziej cywilizowanym papierosem. Po pewnym czasie znalazł to, czego szukał, i co tylko częściowo pozostało mu w pamięci - ogólną psychologię morderstw dokonanych przez otrucie.

„... Morderstwo przez otrucie jest typową zbrodnią kobiecą” czytał, a dalej: „Statystyki słynnych morderstw, dokonanych przez otrucie, które osiągnęły jeden ze swoich szczytów w epoce Odrodzenia, a drugi we Francji, za rządów Ludwika XV, wykazują, że 85% morderstw tego typu popełniły kobiety. Motywem jest zazwyczaj zazdrość, zemsta porzuconej kobiety, zysk...”

Droste westchnął. Cóż wypadki otrucia w epoce Odro-

dzenia mogą mieć wspólnego z Ruppową, posługaczką, zadreńczoną na śmierć w swej suterenie?

Skłonił głowę niecierpliwie, gdy Ewelina przeszkodziła mu, i czytał dalej. Z początku stał przed półką z książkami i przerzucał kartki. Potem usiadł w niskim fotelu, przysunął sobie bliżej lampę do czytania i wziął z biurka swoje binokle. Pinchot poświęcił cały rozdział zbrodniom otrucia, popełnianym przez biedaków. Były tam niezdarne i straszne morderstwa przy pomocy trucizny na szczury, albo przy pomocy wywarów sprzedawanych przez cyganki i kobiety, dopomagające w sprowadzaniu poronień. Dziki, prymitywny świat podziemi, gdzie wiejskie dziewczęta zabijają swoich kochanków, córki mordują ojców, aby zdobyć wolność, a niepożądane dzieci biednych pracujących dziewcząt usuwa się z drogi... Droste nie wiedział, jak długo czytał i temat pochłonął go zupełnie. Kiedy podniósł głowę sponad książki, w pokoju panował chłód, a przed oknem błyskało się; od czasu do czasu błyskawice ze zdumiewającą wyrazistością odcinały drzewa uliczne na tle ciemności. Droste kichnął dwukrotnie. Nie mógł sobie pozwolić na zaziębienie się w czasie głównej rozprawy. Ziewnął i odłożył Pinchota. Przez chwilę stał przy biurku i odczytywał swoje notatki na następny dzień, które zapisał na bloczku - przy tym przypomniał sobie, że koniecznie należy zapłacić rachunek za gaz. Zgasił światło i poszedł do sypialni.

Lampka paliła się na jego nocnym stoliku, ale Ewelina najwidoczniej zasnęła. Nie uświadomił sobie tego póki nie wspomniał jej o rachunku za gaz i wtedy poczuł szczery żal, że ją obudził. Twarzyczka jej na poduszce była drobna i zmęczona. Co wieczór podziwiał jeszcze włosy Eweliny. Aż do urodzenia Barchen, nosiła je długie - dwa zwieszające się aż poza brzeg łóżka, splecione ciężkie warkocze, błyszczące od ustawicznego szczotkowania. Obcięto je w lecznicy dla położnic, ponieważ męczyło ją zbyt doprowadzanie tych ciężkich włosów do porządku. Teraz pozostała tylko sreb-

rzysta tkanina, otaczająca jej twarz na podobieństwo delikatnego mchu. Na ich widok Droste doznał uczucia tkliwości, jakkolwiek starał się grać rolę obowiązkowego męża i robił jej łagodne wyrzuty z powodu niezapłaconego rachunku za gaz. Gdy zgasił światło, poczuł gwałtowne pragnienie objęcia Eweliny i zatopienia się w niej całkowicie. Zapomnieć o Ruppach, zapomnieć o wszystkim i pogрузić się razem z nią we śnie... Rzeczywiście jej ciepłe, szczupłe ciało dotknęło go i spoczęło w jego ramionach; łokciami swymi gdy ostrożnie objął ją ramieniem, wyczuł delikatne zagięcie przy biodrach. Wsłuchiwał się w to oddane mu ciało, ale nie odpowiedziało mu ono najmniejszym nawet drgnieniem.

- Zmęczona? - zapytał próbując.

- Bardzo - odpowiedziała.

Droste nie westchnął, opanował oddech i bicie serca, które zawiedzione uspokajało się z wolna. Poczuł tęsknotę.

To była tęsknota za Marianną - uświadomił sobie nagle. Marianna była silna; Marianna była dobra; przy Mariannie mógł człowiek wyczerpać się i zasnąć. Ręka jego, która spoczywała ostrożnie na podnoszącej się i opadającej piersi Eweliny - przestała naciskać - i Ewelina odsunęła się trochę od niego na swoje łóżko.

Błyskawice w oknie. Ruppowa. Proces. Marianna. Ewelina. Droga Ewelina. Ruppowa... Poduszka jego stała się gorąca. W powietrzu burza... Nie może spać... Nie może zasnąć. Świadczenie oskarżenia: „Gdzie oskarżony był wtedy, kiedy umierała jego matka?” Stan półświadomości. Droste z największą ostrożnością wyciągnął rękę. Wsunął język między zęby i bezszelestnie otworzył szufladkę w nocnym stoliku. Poszukał weronalu. Nasłuchiwał oddechu Eweliny; nie słyszał go. Teraz miał już tabletkę weronalu w ręce, poszukał wody; łyknął, popił prędko, jak gdyby było to coś hańbiącego i zakazanego. Znowu zaczął nasłuchiwać. Ewe-

lina oddychała niespokojnie; wcale nie tak, jak spała. - Ewelino, śpisz? - szepnął.

Nie było odpowiedzi. Odgłosy oddychania dochodzące z sąsiedniego łóżka, ustały.

Droste westchnął, odwrócił się i próbował usnąć.

#### **IV. ŚRODA: ON**

Gdy Franciszek Davis około południa przyjechał do Paryża, padał deszcz: drobny, kokieteryjny, srebrzysty deszczyk, który bardzo odpowiadał temu miastu. Franciszek nastawił swój zegarek według czasu paryskiego: miał jeszcze dwie godziny do konferencji. Hotel, w którym stawał zawsze, znajdował się za Chambre de Députés, na małym sennym Place de la Bourgogne. Franciszek nie lubił dużych hoteli w pobliżu l'Étoile, które roiły się od Amerykanów. W tym, że wołał lewe wybrzeże, było coś snobistycznego, może odziedziczył to po swojej francuskiej babce. Nie miał ochoty chodzić po Paryżu ze stemplem Amerykanina. Poza tym, mieszkał w tym hotelu już raz przedtem przez przeszło rok i od tego czasu przyjeżdżał regularnie. Mówił dość dobrze po francusku, chociaż ze śladem nowoorleańskiego akcentu, i czuł się w Paryżu jak w domu. Gdy wchodził do maleńkiego hallu, madame - właścicielka hotelu - powitała go z zachwytem. Zostawił część swoich rzeczy w Paryżu, gdy udawał się w swoją krótką podróż do Berlina, toteż obecny przyjazd był jakby powrotem do domu. Portier wręczył mu listy i telegram. Winda była akurat w naprawie, co zdarzało się często w Hotel de Bourgogne, i Franciszek pobiegł po schodach do swego pokoju.

Telegram był z Santa Barbara. Pearson, jego zarządca, podawał telegraficznie najniższe ceny, za które można było eksportować do Francji kalifornijskie pomarańcze. Franciszek czytał telegram ze zmarszczką na czole i zaczął w myśli obliczać. Jabłka z angielskiej Kolumbii wyrugowały wszystkie inne jabłka z całego kontynentu; nie widział powodu, dlaczego to samo nie miałyby się stać z kalifornijskimi pomarańczami. Wprawdzie Franciszek nie miał zbyt wysokiej opinii o pomarańczach, które chciał sprzedawać; nie uważał ich za bardzo odpowiednie do jedzenia, jedynie dobre do wyciskania soku - ale były słodkie i były tanie. A dobrze zorganizowana kampania reklamowa mogłaby w końcu przekonać ten naród ludzi pijących café au lait i jedzących brioche o zbawienności szklanki soku pomarańczowego tuż przed śniadaniem. Franciszek rozpakowując swoje przybory do golenia - już komponował w myśli tekst całostronicowego ogłoszenia.

List z Londynu był od Pearl; wszystko tam zdawało się być w porządku. Pośpiesznie nakreślona kartka od Marión: czeka na jego telefon. Depesza od Pearl, która również prosi, aby zatelefonował: „Proszę zadzwoń 7 po południu Claridge”. Jak bardzo w guście Pearl: zawsze jasno i rzeczowo. Kalifornijskie pomarańcze wciąż jeszcze me wytrzymują pod względem ceny konkurencji z hiszpańskimi i sycylijskimi; poza tym europejskie są lepsze. Również należy się liczyć z importem z północnoafrykańskich kolonii. Trzeba zdecydować, czy rzucić je na rynek ze stratą przez pierwszy rok, czy też zrezygnować z całej tej imprezy. Franciszek nie był skłonny rezygnować z raz powziętej idei. Miał zamiłowanie do ryzykownych interesów. Było to bardziej podniecające - tak jak w pokerze przy wielkiej stawce.

Kąpiel i golenie, a przez cały czas cyfry, obliczenia... Franciszek umiał bez papieru operować w myślach sześciocyfrowymi liczbami, chociaż nie znał się zupełnie na wyższej

matematyce. Pomarańcze, skrzynie, dolary, franki - to były rzeczy, które potrafił obliczać. Franciszek, chodząc nago między łazienką a sypialnią, nakreślił parę cyfr na kartce papieru, na której widniał adres hotelu i niezbyt korzystny portret jego właścicielki.

Nastąpiło krótkie, ale impulsywne powitanie przez Andrzeja, kelnera hotelowego, który przyniósł małą przekąskę. Franciszek ubrał się i jadł nie siadając; potem zapalił papierosa. Czuł się dobrze, zapomniał o zawodach berlińskich. Z Niemcami chwilowo nie można było zrobić interesu; kraj był zbyt biedny. Franciszek poprawił sobie marynarkę na ramionach i kazał się połączyć z Passy.

Marion natychmiast podeszła do telefonu ze swoim: „Hallo, hallo, Joujou?” Była to jedna z tych cudownych cech Francuzek, że zawsze były na miejscu, gdy się ich potrzebowało i zawsze były gotowe robić to, na co się miało ochotę.

Franek uśmiechnął się w odpowiedzi na tę paplaninę przez telefon, ale rozmawiając trzymał wzrok utkwiony w zegarek.

- Nie mogę jeść lunchu z tobą; mam przecież tę diabelską konferencję z Farrerem - powiedział. - Ale zaraz, gdy tylko się skończy... i proszę, zarezerwuj sobie wieczór dla mnie.

- Pasza rozkazuje, odaliska słucha - odpowiedziała Marion daleko, w Passy.

Franek wziął swoje notatki, zwilżył chustkę odrobiną wody lawendowej, rzucił szybkie spojrzenie w lustro i wyszedł z hotelu.

Deszcz ustał i słabe słońce oświecało zmyte deszczem bruki. Paryż znajdował się w uścisku pełnej, choć nieco melancholijnej, wiosny. Gdy taksówka przejeżdżała przez most obok grubych kwiaciarek, Franek nieoczekiwanie przypomniał sobie tę małą kobietkę w Berlinie, Ewelinę. Widocznie nasunęły mu tę myśl gałązki mimozy, które piętrzyły się w grubych pękach. Potem przypomniał sobie, że Ewelina przepada za mimozą; obiecywał sobie, że pośle jej trochę na pożegnanie, a potem zapomniał. Szkoda!

Dom na Rue Meyerbeer miał wygląd trochę ponury. Była to czwarta konferencja, jaką miał Franciszek z tymi Francuzami, i ich małostkowy i drobiazgowy sposób postępowania niecierpliwił go już. Był zbyt Amerykaninem, aby móc zrozumieć, jak taki wielki syndykat mógł mieścić się w takiej norze. Czarne tabliczki ze złotymi literami wisiały nad drzwiami. Nie było windy. Światło gazowe na klatce schodowej; trzeszczące drewniane schody...

Farrère był to mały mężczyzna z małą bródką. Wszystko w nim było kwadratowe: czoło, czerwona broda, ręce, klatka piersiowa. Cienki, staroświecki damski łańcuszek od zegarka zwieszał się na jego kamizelce. Kiedy myślał nad czymś głęboko, wyjmował złotą wykałaczkę i dłubał nią w uchu.

Był niezwykle pogodny i uprzejmy; ścisnął Franka i nazywał go: „mon cher”, „mon veur” ale był twardy i nieufny. Dubareaux siedział przy biurku i nie mówił nic; przed sobą miał małą skrzynkę, od której prowadziły druty do jego uszu, gdyż był głuchy. Franciszek musiał krzyczeć swoje propozycje do skrzynki, co go bardzo bawiło. Ci dwaj sprowadzili z sobą swego adwokata, pana Franchetot, z wąską czerwoną wstążeczką w butonierce, zachowującego się, jak człowiek, który doskonale wie, jak ma odgrywać wyznaczoną sobie rolę i kładzie nacisk tam, gdzie należy, nie sprawiając wrażenia, że robi to celowo.

Dyskusja ciągnęła się przez dwie godziny i nie doprowadziła do niczego. Farrère i Dubareaux oszańcowali się jakąś anonimową potęgą, którą nazywali: „nos amis”. Jak się zdawało, „nos amis” nie potrzebowali wcale kalifornijskich pomarańczy i nie mieli zamiaru dać się wciągnąć do żadnych ryzykownych eksperymentów; Farrère i Dubareaux nie mogli wziąć na siebie odpowiedzialności za wprowadzenie „nos amis” w zupełnie niewypróbowane kombinacje. Franciszek wsunął ręce w kieszenie - podczas gdy tamci trzej obserwowali go tak jakby był jakimś nadzwyczajnym



okazem w ogrodzie zoologicznym - i robił, co mógł, aby narzucić im swój punkt widzenia.

Ale Francja - powiedzieli Francuzi - nie ma wielkiego zapotrzebowania na pomarańcze.

- Nikt nie ma wielkiego zapotrzebowania na nic. Zapotrzebowanie trzeba dopiero stworzyć. Mogę panom przyrzec, że po upływie roku nie będzie Paryżanina, który by czuł się dobrze, jeżeli nie rozpocznie dnia od wypicia rano na śniadanie szklanki soku pomarańczowego - dowodził Franciszek Davis. Panowie uśmiechnęli się litośnie.

- Obawiam się, że te amerykańskie metody nie znajdą powodzenia w Paryżu - oświadczył Dubareaux po tym, gdy Franek wyrzucił do jego skrzyneczki swe zachwyty na temat potęgi reklamy.

Franciszek rozejrzał się dokoła i pomyślał, że Dubareaux istotnie miał rację. W pokoju była zatłuszczona, brudna, zielona tapeta. Na ścianach nie było widać śladu reklamy, nawet plakatu z napisem „Jedzcie owoce, a będziecie zdrowi”, czego należałoby się spodziewać w biurach „Chambre Syndicale des Importeurs des Fruits”. Franciszek był już prawie zdecydowany rzucić całą tę historię do diabła. Paryż był uroczy, gdy przyjeżdżało się doń dla przyjemności, ale straszny, gdy miało się tam robić interesy. Rzucił okiem na zegarek. Postanowił iść do Marion. Gdy wstał z krzesła, Franchetot wyjąkał propozycję. Franchetot nie jąkał się w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale miał trudności ze słowami, zaczynającymi się na *m* lub *p*. Zapewne nie swej wymowie zawdzięczał wstęgę Legii Honorowej. Poprosił o odbycie jeszcze jednej konferencji następnego dnia, tymczasem rozważą tę sprawę; skomunikują się z „nos amis” - możliwe, że można by rozważyć projekt próbnego transportu tych kalifornijskich pomarańczy o ile towarzystwo amerykańskie, którego Franciszek Davis jest prezydentem, zapłaci cło.

Rozstali się przyjaźnie. Wszyscy trzej zdawali się dokądś śpieszyć. Było już po czwartej; czas, w którym każdy Paryżanin, który tylko może sobie na to pozwolić, udaje się na rendez-vous z kobietą.

Z chwilą, gdy tylko Franciszek wyszedł na ulicę, strząsnął z siebie irytację po odbytej konferencji. Miał zdolność do koncentrowania się na interesie, gdy to było konieczne, i do przestawiania myślenia o nim zupełnie, gdy tylko zechciał. Ćwiczył się w tym talencie i rozwijał go; była to jedna z jego cech, które zyskiwały mu względy kobiet. Na rogu ulicy najął taksówkę.

Jakaś kobieta, licząca około czterdziestu lat, która stała obok z dużym pakunkiem, wspięła się szybko na siedzenie obok szofera.

- Nie zaszkodzi panu, że zabiorę ze sobą swą ciotkę? -zapytał szofer z zachęcającym uśmiechem. Był to przystojny chłop, a „ciotka” była w nim tak zakochana, że nie mogła spuścić z niego oczu. Franek śmiał się rozradowany. Ilekroć przyjeżdżał do Paryża, zawsze bawiło go to na nowo, iż wszystko odbywa się tu tak otwarcie. Kobiety publicznie karmią niemowlęta; panowie, po krótkim przeproszeniu, zostawiają swoje damy, aby czekały na nich przed toaletami - i miłość na każdym rogu ulicy - wesoła naturalna miłość, traktowana jak coś, co rozumie się samo przez się...

Zatrzymał taksówkę przed kwiaciarnią, aby kupić trochę fiołków dla Marion. Lubiła wielkie pęki bladych, pełnych fiołków parmeńskich. Gdy płacił za nie, wzrok jego padł na duży wazon z mimozą. Z początku doznał tylko uczucia, że zapomniał o czymś, o czymś uroczym i miłym. Tak, jak czasem melodia lub zapach zjawia się, zanim jeszcze samo wspomnienie dojdzie do świadomości.

Gdy Franciszek stał czekając na resztę, z bruzdą na czole, nagle uświadomił sobie: „Ewelina”. Szybko wyjął notatnik z adresami. Jeżeli przypadkiem zapisał sobie adres Eweliny, dostanie ona całe pęki mimozy.

- Niech panienka chwilę

zaczeka - rzekł do sprzedawczynie, która uśmiechnęła się do niego wyczekująco. Znalazł adres, ale ponieważ zanotował tylko imię Eweliny - potrzeba mu było jeszcze chwili myślowego wysiłku, aby przypomnieć sobie jej pełne nazwisko. Miało cudzoziemskie, bardzo niemieckie brzmienie. Kiedy miał już wszystko w porządku: Ewelina Droste, 47 Dii-sseldorferstrasse, Wilmersdorf, Berlin - dał telegraficzne zamówienie na przesłanie dużego pęku mimozy - i po zapłaceniu rachunku wrócił do taksówki w jak najlepszym humorze. „Ciotka” robiła wrażenie rozbawionej i szczęśliwej, jak gdyby jego krótka nieobecność sprawiła jej dużo przyjemności.

Marion mieszkała w pięknym, sennym starym domu w Passy. Rue de la Pompę. Dozorczyńni uchyliła firankę i zapytała pobieżnie: - Do madame Guermant? - Franciszek skłonił głowę. Hojnymi napiwkami ugłaskał częściowo tego smoka, pomimo iż nie był Francuzem i nie miał żadnej „dekoracji”. Również Flora, gruba stara kobieta, która była służącą do wszystkiego w gospodarstwie Marion, przywitała go z antypatią.

Cudzoziemcy uważani tu byli za nic.

- Halo, darling - rzekł Franciszek wchodząc do okropnego salonu w stylu Ludwika XV.

- Bonjour, mon petit. Siadaj, jak się masz, jak przeszła podróż i jak idą interesy? - Marion zapytała oto wszystko jednym tchem i stanęła na palcach, aby go pocałować. Był to pocałunek ceremonialny, jaki zamieniają monarchowie goszcząc w krajach, z którymi łączą ich więzy przyjaźni.

- Nowa suknia? - zapytał Franciszek i przytrzymał Marion na odległość ramienia.

- To jest mężczyzna! Wszystko widzi! A wiesz co to jest? Od Patou! A wiesz, ile kosztuje? Zgadnij. Nie, nie zgadłbyś nigdy. Pięćset franków. Byłam tam wczoraj przed dziewiątą; mieli wyprzedaż - formalny ogon się ciągnął, ale ja byłam jedna z pierwszych. Umiem nosić modele - rozumiesz? Suknie na miarę manekinów są zawsze trochę przyciasne w

biuście, ale wiesz, że ja mam bardzo mały... cóż jeszcze mam powiedzieć? Kładę suknię na siebie, pasuje, leży dobrze, ma kosztować dziewięćset franków, targuję się bezwstydnie. Zuzanna pomaga mi - voila? - i oto jest już moja. Chodź tu, napij się koniaku. Jakże ci się powiodło? Czyś przywiózł mi z Berlina różowego słonia?

Franciszek rzucił się na małą sofę i czuł się trochę nieswojo, podczas gdy Marion robiła wysiłki, aby go zabawić. Wypił koniak i potrząsnął głową. Przyrzekł był Marion różowego słonia, jeżeli załatwi w Berlinie interes ze swymi kalifornijskimi pomarańczami.

- Nie, przykro mi powiedzieć, że nic z różowego słonia - rzekł. Poszperał w teczce, która, obok papierów i rachunków, które przygotował na konferencję, zawierała prezent dla Marion.

- Masz dobry gust - rzekła, gdy go dokładnie obejrzała. Były to małe kamienie cyrkonu, niezbyt wielkiej wartości, ale w pięknej oprawie, z maleńkimi perełkami dookoła. Dała mu jeszcze jeden pocałunek, który Franciszek przyjął z przyjemnym polectaniem nerwów. Weszła Flora z parmeńskimi fiołkami w wazonie - zatrzęsły się meble, zadygotały drobiazgi na półkach - rzuciła krytyczne spojrzenie spoza pleców Marion na klejnot i wyszła z pokoju.

- Jakże ci się podobały kobiety w Berlinie? - zapytała Marion siadając obok Franka i kładąc z lekką pieśczołą koniuszki palców za jego prawe ucho. - Czy są straszne? Czy zawsze noszą kalosze?

Franciszek mruknął coś. Zobaczył przed oczami kobietą mistrzynię berlińskiego klubu tenisowego - ten wspaniały okaz kobiety; zobaczył brązowe nogi i ramiona Marianny i w końcu - lekką, powiewną postać Eweliny, jej żywą twarzą, oczy, spragnione usta.

- Doprawdy nie wiem.. Nie patrzyłem na kobiety wcale.

- E, dajże spokój! - zawołała Marion, rozbawiona i sceptyczna.

- Daję ci słowo. Żyłem jak mnich.

Marion spojrzała na niego i spoważniała. - To interesujące - rzekła powoli. Franciszek nalał sobie jeszcze jeden koniak.

Nagle Marion znalazła się w jego ramionach, na kolanach; usta jej ślizgały się lekkimi żartobliwymi pocałunkami po jego twarzy.

- Biedny lew, który przez cały tydzień nie dostał jeść - wyszeptła, trochę bez tchu, akcentując słowa pocałunkami. Wziął ją na kolana, nachylił się nad nią i całował ją długo, smakowicie.

- Czyś myślał o mnie w Berlinie? - szepnęła.

- Nie - odpowiedział Franek.

- Czy cieszysz się, że wróciłeś? Czy tęskniłeś za mną?

- Nie, zupełnie nie.

Marion podniosła się i przeciągnęła. Uśmiechnęła się do niego przebiegle i poszła ku drzwiom. Gdy zniknęła w swej sypialni, Franek wstał, wygładził sobie włosy, odetchnął głęboko i poszedł za nią.

Mieszkanie madame Guermant składało się z trzech pokoiów. Poza salonem - dużym, proporcjonalnym, o trzech oknach, w którym stały okropne złocone meble, pokryte jedwabiem koloru nieco zwiędłych poziomek, była jeszcze mała ciemna jadalnia, która - według Marion - miała styl normandzki, oraz sypialnia z okazowym meblem - z prawdziwym angielskim łóżkiem. Było to łóżko o czterech wysokich filarach, z małym baldachimem z perkalu i z rzeczywiście cudownym materacem. W Ameryce takie łóżko można kupić w każdym sklepie towarowym, ale Franciszek przyjął z odpowiednim przejęciem do wiadomości, że było ono prawdziwie angielskie i w Paryżu stanowiło kosztowną rzadkość. Z biegiem lat przywiązał się naprawdę do tego łóżka tak, jak człowiek przywiązuje się do miejscowości klimatycznej, którą regularnie odwiedza.

Stosunek Franka z Marion - stosunek jednocześnie prze-

lotny i trwały - ciągnął się już piąty rok. Przejął Madame Guermant od korespondenta amerykańskiego pisma i trzymał ją jako przyjemną rozrywkę i wygodę w podróży. Franciszek Davis miał typowo amerykański lęk przed samotnością. Marion nie pozostawiała go ani na chwilę samego, gdy był w Paryżu. Umiała usłużyć mu bardzo mile i chętnie. Prezentowała się dobrze; miała trochę za krótkie nogi i za szerokie biodra w porównaniu z amerykańskimi kobietami, ale właśnie dlatego była w każdym calu Francuzką. Miała niebieskie oczy, czarne włosy i cudowną cerę. Miłość traktowała lekko; te drobne namiętne spotkania wplecione były w jej uporządkowane życie, tak samo jak wizyty u fryzjera i masażystki, przymiarki u krawcowej. Nie miała nic z przyklepnej nachalności dziewcząt, które zawodowo polują w Paryżu na cudzoziemców. Zadowolona była otrzymując prezenty, ale nie chodziło jej o pieniądze. Miała coś, co nazywała „rentą”, a mianowicie miesięczny czek, który jakiś starszy pan przysyłał jej regularnie z wdzięczności za dawniejsze łaski. Marion dumna była z tego, że na swój sposób rewanżuje się Frankowi za jego drobne prezenty jubilerskie, które zostawiał na jej nocnym stoliku. Zapraszała go na kolacje do swego mieszkania, trzymała u siebie dobry koniak; raz nawet zrobiła mu niespodziankę, darując mu srebrny ołówek z jego monogramem. Marion uprawiała miłość ambitnie i wprawnie, z prawdziwym zadowoleniem z techniki swej sztuki, jak wirtuoz pragnący wywołać oklaski audytorium.

Wszystko to było urocze i rozkoszne. Franciszek nie mógł zrozumieć, dlaczego tego popołudnia działało mu trochę na nerwy. Poczłł niechęć, gdy wszedłszy do sypialni, zobaczył opuszczoną zapraszająco kotarę i rozesłane łóżko. Poza tym nie lubił tego paryskiego zwyczaju poświęcania miłości jasnych godzin popołudniowych. Poczłł nagle, że nie może znieść, gdy na zakończenie uścisku nazywa się go: „Mon petit chou”. Mimo to znosił wszystko cierpliwie i z dobrym

humorem. Należał do tych rzadkich mężczyzn, którzy odznaczają się wrodzonym talentem i instynktem w obcowaniu z kobietami. Kobiety powiedziały mu to tyle razy, że stał się z tego powodu trochę próżny i starał się usprawiedliwić tę opinię o sobie. Fiołki parmeńskie i kamień cyrkonu dla Marion; mimoza i czułe wspomnienie dla Eweliny...

Ewelina! Przesunęła się mglista jak duch przez sypialnię Marion - i Franek natychmiast odrzucił od siebie myśl

o niej. Marion miała słabość do zapachu sandałowego drzewa, której Franek zupełnie nie podzielał. Łazienka jej była tak pełna różnych tajemniczych przedmiotów, jak szafa z rekwizytami w teatrze na przedmieściu. Franciszek znowu doznał uczucia, że włosy ma potargane; uczucie to pojawiała się zawsze, ilekroć coś nie szło po jego myśli. Zadowolony był, gdy wrócił do salonu, pozostawiwszy w sypialni Marion, zajętą robieniem toalety.

Marion miała telefon i była bardzo z tego dumna. W Paryżu nie jest taką zwykłą rzeczą mieć telefon, Amerykański korespondent kazał go założyć dla swego własnego użytku.

- Czy nie masz nic przeciwko temu, bym zadzwonił do swojej żony? - zapytał Franciszek grzecznie. Marion nie miała nic przeciwko temu.

Zajął mu to trochę czasu, zanim połączył się z hotelem Claridge i z numerem pokojowym pani Davis. Ale wreszcie dostał Pearl do telefonu i usłyszał jej głos wyraźnie i blisko.

- Halo, kochanie!

- Halo, kochanie!

- Spóźniłeś się z telefonem... właśnie siedzę tu wymalowana już i w pełnym rynsztunku bojowym... Obiad z Sunt-herlandami przed teatrem.

- Przepraszam... miałem konferencję. Czy stało się coś specjalnego?

- Tak, coś bardzo ważnego. Nareszcie znalazłam psa, jakiego chciałam. Zobaczyłem go wczoraj u handlarza psów

i wprost szaleję za nim. Jest prześliczny, syn angielskiego szampiona; ledwo mogę się doczekać, aby ci go pokazać.

- Ile? - zapytał. Był oszczędny, jak wszyscy ludzie bogaci.

- Żądają pięćdziesięciu funtów, ale przekonana jestem, że zgodzą się na mniej. Czy mogę go kupić?

- Jeżeli sprawia ci to tak wielką przyjemność. (Po stronie londyńskiej przełknięto ślinę).

- Ale w takim razie musisz mi przysłać telegraficznie pięćset dolarów - oznajmiono.

- Zrujnujesz mnie. Jesteśmy bankruci. Nie sprzedałem jeszcze ani jednej pomarańczy, a ty...

Widoczne było, że żartował tylko. Chętnie zobaczyłby rozbawioną twarz Pearl tam - w Londynie. Dodał jej parę rad na temat biletu okrętowego i bagażu.

„Berengeria” odpływała w sobotę rano z Southampton; on wsiądzie na pokład po południu w Cherbourgu. Pearl kaprysiła trochę, że musi wsiąść na okręt sama z psem, bez męskiej pomocy. Franciszek roześmiał się, rzucił przez telefon kilka komplementów i powiesił słuchawkę. Pearl była najbardziej samodzielną istotą na kuli ziemskiej...

Niezwłocznie potem telefonistka oznajmiła, że telefon kosztował dwieście czterdzieści sześć franków. Franciszek wyjął trzy stufrankówki i położył je pod wazonem z fiołkami. Marion przyszła z sypialni, gdy jeszcze telefonował i usiadła przy nim. Jej przyjazne i taktowne zachowanie zdawało się mówić:

- Nie mam nic przeciwko temu, iż posiadasz żonę, mój kochany; znam dobrze świat. - Marion rozumiała po angielsku; amerykański korespondent nauczył ją. Jedną jeszcze z jej wielu dobrych cech było to, że rozumiała się na interesach. Jeżeli jest ktoś, kto wie więcej o giełdzie, niż bankierzy, to jedynie kobiety przez nich utrzymywane. Flora wkroczyła z oznajmieniem: „Madame est servie” i już przy „hors d'oeuvre” Franek wpadł w wyczerpującą rozmowę o wynikach prowadzonych rokowań.



- Ile mi dasz prowizji, jeżeli ci dam dobrą radę? - zapytała Marion. Obiad był dobry i Marion pilnowała, aby Franciszek wziął dosyć omletu, który stanowił dumę Flory.

- Dziesięć procent wszystkiego, co osiągnę przez twą radę.

- Po prostu musisz posmarować tego Franchetot. Powiedziała „acheter” i przetłumaczyła to.

- W jaki sposób i ile?

- Obliczam to na dziesięć tysięcy franków, ale nie możesz po prostu wsunąć tych pieniędzy pod jego serwetkę, jak zrobiłbyś z drobnym urzędnikiem. Poślij mu papierośnicę, a w środek włóż banknot. Zaprosz Franchetota na obiad z jego kochanką i poślij kwiaty jego żonie. Nie, zrób to lepiej na odwrót. Należy traktować kobiety z towarzystwa jak kokoty, a kokoty jak kobiety z towarzystwa. Wtedy i jedne i drugie są zadowolone. Musisz... Marion ciągnęła dalej, udzielając Frankowi cudownych rad kobiety, nie posiadającej żadnych złudzeń. Fiołki stały na stole i wydawały jak gdyby trochę znużony zapach. Wino było lekkie i dobre i miało odpowiednią temperaturę. Na Franka, który przyzwyczajony był do cocktailów, działało ono nieco sennie. Marion miała na sobie uniform paryżanki: czarną suknię z czymś czarnym przy szyi - a po obiedzie nałożyła twarzowy biały берет. To, czego Franek się lękał, stało się. Marion naciągnęła białe rękawiczki - i Franciszek musiał iść z nią do teatru.

Przez cały czas zastanawiał się, czemu czuje się taki nieswój i znudzony. W czasie obiadu, w taksówce, w teatrze... Zaczęło się w sypialni, gdy Marion posypała swoje rozkoszne ciało pudrem z sandałowego drzewa. Wszystko to wydawało się tak w porządku, tak mieszczańskie, tak rozumiejące się samo przez się, tak małżeńskie, w złym tego słowa znaczeniu... Żona jego, Pearl, miała więcej fantazji od tej paryżanki, żyjącej z mężczyzn. Taksówka była wilgotna i zbutwiała; Marion klóciła się z szoferem, który jechał okrężną

drogą, gdyż sądził, że będzie mógł naciągnąć Amerykanina. Sztuka wydała się Frankowi okropna: stara historia - mąż, żona, kochanek. Siedział na wąskim krześle i przeklinał całą tę historię. Z trudnością powstrzymywał się, aby nie usnąć i szczerze tęsknił za łóżkiem z komicznymi, małymi poduszkami w hotelu Bourgogne.

Po przedstawieniu, gdy siedzieli w Cafe Royal, gdzie przysiedli się do nich różni przyjaciele Marion - męskiego i żeńskiego rodzaju - zupełnie niespodziewanie owładnęła Frankiem myśl o Ewelinie. Była tak gwałtowna, że aż sprawiała mu ból. Przez cały dzień myślał o Ewelinie tylko dwa razy - zupełnie przelotnie. Teraz nagle znalazła się przy nim - prawie fizycznie - twarz jej, ręka, głos... Jej podniecony oddech w gorącej kabinie kąpielowej. Ewelina... Zatelefonuję do niej - ponjysłał i na pół powstał. - Nonsens... po północy! Zwariowałem! - zreflektował się natychmiast i usiadł z powrotem. Marion obserwowała go zdumioną. Zbladł nieco pod swoją opaloną w słońcu kalifornijskim cerą. Marion pożegnała się z towarzystwem i wsadziła go do taksówki. Znowu padał deszcz.

Znowu fontanna na Placu Zgody. Pola Elizejskie, Łuk Triumfalny i Nieznany Żołnierz... Taksówka turkotała bezlitośnie, unosząc Franka coraz dalej i dalej do jego hotelu. Nie wiedział dokładnie czego chciał, ale wiedział czego nie chciał: nie chciał wrócić do mieszkania Marion!

Dosyć już mówił po francusku jak na jeden dzień.

- Proszę poczekać na mnie - rzekł do szofera, gdy stanęli na rue de la Pompe.

- Nie, nie potrzeba czekać na pana - powiedziała Marion.

Szofer uśmiechnął się domyślnie i odjechał. Nie miał zamiaru psuć interesu swojej rodaczce. Franciszek czuł, że skóra na jego czaszce ściąga się od wściekłości. Marion weszła i popchnęła go koło drzwi dozorczyńni. Klatka schodowa pogrążona była w ciemnościach. Marion wyciągnęła małą latarkę i oświeciła schody.

- Zasnę, gdy tylko zobaczę łóżko - rzekł. I to była prawda. W głowie miał uczucie jakiejś zupełnej mgławicy.

- Dobrze. Idź spać - powiedziała Marion uprzejmie.

W sypialni nalał sobie szybko szklanekę wody i wypił ją duszkiem. Ci Paryżanie nie wiedzą, że do wody można kłaść lód; woda była letnia i nic mu nie pomogła. Marion zajęta była w łazience. Franek położył się do łóżka, palił i obliczał ceny pomarańczy, aby nie usnąć.

- Czy masz jakieś zmartwienie, mon petit? - zapytała Marion wróciwszy do niego.

- Nie, dlaczego? - odpowiedział bezmyślnie i spojrzał na perkal baldachimu. Byli tam zawsze trzej mali Chińczycy, wyciągający rybę z wody.

- Nie chcę wtrącać się do twoich tajemnic - rzekła Marion rozsądnie.

Zrobiła miękką noduszkę ze swego ramienia i ułożyła na niej jego głowę.

- No, nie potrzebujesz nic mówić, nie potrzebujesz się ruszać, tylko zaśnij

- szepnęła. Franciszek odetchnął głęboko z wdzięcznością.

- Jesteś dobra... dlaczego jesteś taka dobra? - wyjąkał.

- Wy mężczyźni nie rozumiecie najprostszej rzeczy - odpowiedziała Marion w ciemności.

Franek zasypiał, ale chciał być grzeczny.

- Nie? - zapytał niewyraźnie. - Czego mianowicie? Marion przeczekała chwilę, zanim odpowiedziała.

- Na przykład tego, że ja ciebie kocham - rzekła jeszcze ciszej. Ale Franciszek spał już mocno i nie słyszał nic więcej. Marion leżała bez ruchu, aby go nie obudzić. Poczula, że ramię jej sztywnieje; potem i ona zasnęła także.

- Nie będę mogła się zobaczyć z tobą po południu - rzekła Marion przy śniadaniu.

- Czemu nie? - zapytał Franek borykając się ze swą gorącą filiżanką czekolady. Czekolada i sucharki na pierwsze śniadanie sprawiały, iż czuł się jak piesek pokojowy.

- Dziś jest czwartek - odpowiedziała Marion po prostu. Wyglądała czysto i świeżo w różowych krepdeszynach,

akurat tak jak żona w drugim akcie małżeńskiej komedii, którą widzieli poprzedniego wieczora. Franciszek przypomniał sobie. Przełknął łyk. Sparzył sobie język. Czwartek był dniem, który poświęcała swemu „staremu”. Stary jegomość był z nią zdaje się od dawna tylko na stopie platonicznej, ale zachował zwyczaj widywania Marion raz na tydzień; jak również - posyłania jej co miesiąc czeku. Franek pożegnał się chłodno i wyszedł z uczuciem poniżenia. Nie miał nic przeciwko utrzymywaniu kobiet; robił to cztery czy pięć razy w życiu - ale czymś wręcz obrzydliwym było być kochankiem kobiety, utrzymywanej przez innego mężczyznę. Przez chwilę żałował, że nie dał Marion diamentów, zamiast po prostu kamienia cyrkonu. Z drugiej strony jednak Marion nie była warta diamentów.

Franek wrócił z ulgą do swego hotelu, do swych przyborów do golenia, do swej poczty i do prób zarzucenia europejskiego rynku kalifornijskimi pomarańczami. Poza tym zaczął stosować rady Marion. Złożył wizytę panu Franche-tot, adwokatowi francuskich hurtowników owoców - i znalazł taktowny sposób wręczenia mu nie gotówki, ale małego pakietu akcji, których wartość rynkowa miała tendencję zwykłą. Zjadł lunch z głuchym Dubareaux i zaprosił Farrere'a z żoną na kolację. Posłał kwiaty pani de Blaincourt -damie, która pozostawała w intymnych stosunkach ze starym Farrerem i której został przedstawiony przed dwoma tygodniami. - Mimożę? - zapytała sprzedawczyni w kwiaciarni, w której był już przedtem.

- Nie, nie mimożę - odpowiedział szybko. Dopiero wtedy przyszła mu na myśl Ewelina - przyszła sama z siebie. Uśmiechnął się. Zabawne - pomyślał. - Zdaje mi się, że się zakochałem.

Między drugą a czwartą miał konferencję z trzema panami. Skupił się, obniżył cenę jeszcze o dwa i pół centa -i wykrzykiwał niezliczone zachęty do Dubareaux. Miał

doskonałą reputację jako sprzedawca, ale jeszcze nigdy nie musiał namawiać tak upartych i twardych ludzi, jak te trzy mamuty. Przed samą czwartą nareszcie wyglądało tak, jak gdyby zdecydowani byli wziąć na próbę czterdzieści tysięcy skrzyń pomarańcz. Franek szybko zakończył konferencję, zanim mogliby mieć czas pożałować swej decyzji. Następnego ranka miał być sporządzony kontrakt co do dostawy. Dzień był chłodny i Franciszek zdziwił się, poczuwszy, że koszula lepi się na nim - tak ciężką miał pracę.

Godzina czwarta... lekki deszczyk, a równocześnie promienie słońca. Ludzie stali na wybrzeżach rzeki i patrzyli w jednym kierunku. Widać było tęczę.

Franciszek zastukał w okno taksówki: - Proszę jechać na Ile St. Louis - zarządził. Deszcz ustał, gdy wysiadł z auta. Szedł powoli w stronę wybrzeża. Stało tam paru ludzi z wędkami, tak jak gdyby nie ruszyli się z miejsca przez te wszystkie lata, od czasu kiedy Franek był studentem.

Matka posłała go na studia do Paryża. Była to kobieta światowa; francuska krew grała w niej silnie. Chciała, aby Franek mówił po francusku, a w tajemnicy pragnęła, aby Francuzki zajęły się jego wykształceniem erotycznym. -I zrobiły to Francuzki rzeczywiście. Franciszek uśmiechnął się na wspomnienie matki, która taka dumna była ze swego urodziwego syna, że pragnęła mu zapewnić pierwszorzędne wykształcenie nawet i w tej dziedzinie życia. Najwidoczniej -ta jego mądra, piękna arystokratyczna matka z ciężkimi, znużonymi nieco powiekami - nie wyrobiła sobie zbyt wysokiej opinii o sposobie, w jaki traktowano miłość w Ameryce.

Franciszek odrzucił od siebie te nieprzystojne myśli o matce i patrzył na Sekwanę... Przepływały dwie małe łódki, niebo pokryte było małymi chmurkami koloru masy perłowej, drzewa na przeciwległym brzegu pokrywały się skąpą zielenią - cała scena robiła wrażenie trochę sentymentalne.

Franciszek przypomniał sobie czarowną przygodę miłosną, jaką przeżył jako student z pewną młodziutką malarką. Malowała straszne obrazy - słoneczniki, była to zwyrodniała spuścizna po Van Goghu - i potrafiła śmiać się z Franka jednym ciągiem przez pół godziny.

Nagle poczuł się stary i niepotrzebny. Nie miał absolutnie nic do roboty na świecie aż do obiadu. Jak wszyscy przepracowani mężczyźni, nie mógł znieść beczynności i samotności. Odszedł od nastrajającej go melancholijnie Sekwany i pojechał do swego hotelu.

Mała pogawędka z Madame. Miała twarz mądrej starej papugi i znała życie. Porozmawiał z portierem; odbył rozmowę przez telefon. Zamówił stolik w „Boeuf sur le Toit” i bilety na rewię, która była w danym momencie popularna, i westchnął głęboko na myśl o perspektywie spędzenia wieczoru w towarzystwie pana i pani Farrère. Poszedł do swego pokoju i usiłował rozproszyć wzrastający w nim niepokój.

Rozebrać się. Zimny prysznic. Papieros... Kawa z koniakiem. Wyciągnąć się na łóżku. Wszystko bezcelowe... Uczucie niezadowolenia wzrastało. Rozpoczęło się ono w Berlinie, tamtego wieczoru w klubie przed odjazdem, i od tego czasu wzrastało systematycznie z każdym dniem. Franciszek wystrzegał się nazwania tego niespokojnego szukania miłością... W życiu swym miał zbyt wiele namiętności, aby wierzyć w miłość. Zamknął oczy i daremnie usiłował zasnąć. Zamiast tego marzył. Wyobrażał sobie różne rozkoszne, urocze rzeczy, które, by mogły uspokoić jego niezadowolenie. Ewelina zjawiała się we wszystkich tych marzeniach i pragnieniach. Nie mógł spać; raz po raz otwierał oczy, sięgał po papierosa, widział przed sobą dwa wysokie francuskie okna z miniaturowym balkonem, po drugiej stronie dachy pokryte dachówką i gołębie na rynnie deszczowej, słyszał trąbienie samochodów na ulicy. Zamknął oczy i szedł z Eweliną do tego śmiesznego domu na Rue de Sèvres, w którym mieszkał jako student.

Musiał jednak koniec końcem usnąć - albowiem obudził się; słońca już nie było - i czuł gorąco w skroniach. Leżał przez jakiś czas, prawie nie myśląc. Następnie wziął notatnik, który położył na stole razem z kluczami i portfelem, i poszukał w nim numeru telefonu. Ujął słuchawkę telefoniczną i nie wstając z łóżka, zamówił: Berlin, Oliva 037-84, pani Ewelina Droste, pilne.

Szaleństwo - pomyślał. Ale był zadowolony. Leżał czekając na połączenie i nagle poczuł, że serce jego uderza szybko. Uśmiechnął się zdumiony i trochę wzruszony samym sobą.

Nie udało się uzyskać połączenia tak łatwo, jak z Pearl w Londynie. Ale po wielu dzwonieniach i wzywaniach oraz po zdenerwowanej wymianie zdań między telefonistką w Paryżu i telefonistką w Berlinie, po odezwaniu się głosu nie rozumiejącej służącej - zjawiała się nagle Ewelina.

- Franek?

- Ewelina?

- Tak.

- Czy jesteś sama?

- Nie... to znaczy - tak.

- Słuchaj, kochanie, musisz do mnie przyjechać. Jestem zupełnie opuszczony i myślę o tobie przez cały czas, po prostu nie mogę tego znieść.

Milczenie w telefonie.

- Czyś dostała moje kwiaty?

- Tak, dziękuję.

• - Czy innie kochasz, Ewelino? Cisza.

- Tak, Franku.

- W takim razie musisz tu przyjechać... natychmiast. Nie mieliśmy z siebie nic w Berlinie. Tutaj byłoby tak cudownie. Przyjedziesz?

- Ależ to niemożliwe.

- Najprostsza rzecz na świecie. Wyjedziesz o dziesiątej czterdzieści pięć z Charlottenburga i przyjedziesz tu, do

Paryża, jutro o jedenastej trzydzieści - będę cię oczekiwał na stacji. Będzie nam cudownie razem, a następnego ranka wsadzę cię do samolotu i wrócisz do domu. Przyjedź, musisz to jakoś zrobić, czy nie czujesz tego? Dźwięk głosu w telefonie. Jeżeli powie „nie”, cała moja podróż będzie zmarnowana - pomyślał. Już czuł stęchły smak zawodu.

- Jeżeli ty byś tego chciała, przyjechałbym na koniec świata - rzucił szybko w telefon. Potem przez parę sekund panowało milczenie.

- Skończone? - zapytała telefonistka.

- Dobrze. Przyjadę - usłyszał Franek.

- Słuchaj, Ewelino, słuchaj - zawołał w podnieceniu. -Będę na stacji. Ale gdybym przypadkiem minął się z tobą -każ się zawieźć do hotelu Bourgogne. Place de la Bourgogne. Rozumiesz? Przyjeżdżasz jako moja żona - słyszysz? Zanotuj sobie lepiej.

- Auf Wiedersehen - dał się słyszeć raz jeszcze jej głos.

Franciszek nie przestawał krzyczeć w telefon.

- Berlin rozłączył się - oznajmiła telefonistka.

Franek odetchnął głęboko. Zabębnił wszystkimi dziesięcioma palcami po klatce piersiowej, którą wydał jak najszerzej z nadmiaru radości. Zaczął nakładać perłowe spinki do koszuli gwiżdżąc przez cały czas. Czuł w tej chwili, że potrafiłby skłonić Farrere'a do przyjęcia tylu transportów pomarańcz, ile by tylko zechciał.

Ewelina przyjedzie... Zawsze można osiągnąć to czego się chce!



## **V. ŚRODA: ONA.**

Dzień Eweliny rozpoczynał się zawsze porażką. Co rano miała zamiar wstać o siódmej, gimnastykować się przy otwartym oknie, wziąć zimny prysznic, a potem usiąść rzeźka do śniadania i dotrzymać towarzystwa mężowi; doglądać samej gospodarki, a potem, gdy wszystko zostanie zrobione, wyprowadzić dzieci na spacer - w każdą pogodę.

A oto, co działo się każdego ranka: jeszcze we śnie miała lęk przed obudzeniem się - i równocześnie czuła, jak sen jej staje się coraz lżejszy, a w pokoju robi się coraz jaśniej. Sędzia - w okresie, gdy trwał jakiś proces - poddawał swoje gardło tak skomplikowanemu procesowi płukania, jak gdyby był słynnym na cały świat tenorem. Gdy Ewelina słyszała go, jak obok w łazience chrząkał, płukał i pluł, zamykała na nowo oczy i naciągała na głowę kołdrę - a. problem, wstania i życia tak, jak żyją wszyscy inni, wydawał się jej jakimś ciężkim niewykonalnym zadaniem. Szczęśliwie udawało jej się znowu usnąć, gdy sędzia na palcach wychodził z pokoju. Gdy budziła się, było już prawie południe - i służąca Weronika stała przy jej łóżku ze szczotką i ścierką do kurzu, mówiąc surowo i z oburzeniem, że musi już sprzątać. Robota w domu szła swoim trybem bez Eweliny. Dzieci szły z Fraulein na spacer. A ona nie miała nic innego do zrobienia-

nia, jak tylko z cichym jękiem oderwać się od pościeli i pobiec na bosaka do łazienki, gdzie w odrętwieniu spędzała następną godzinę.

Dla ludzi nieszczęśliwych każda pogoda jest zła. Deszcz pogłębia jeszcze bardziej ich nieszczęście, a pogoda słoneczna sprawia im dotkliwy ból przez kontrast między jej pięknem a ich rozpaczą. Ewelina siedziała w kąpieli - był to jeden z tych żalonych poranków, kiedy woda była letnia i szła skapo; słońce na dworze odbijało się w szybach okien, jak w tafli lodu. Ewelina - zniechęcona i ponura - skuliła się w kąpieli, z kolanami podsuniętymi pod brodę, i oddawała się swoim myślom ze zmarszczką na czole.

Teraz Franek musiał już przyjechać do Paryża. Chciałaby bardzo wiedzieć, jaki miał na sobie garnitur i jaki krawat, łatwiej by jej było wówczas wyobrazić go sobie. Wysiliła się bardzo, aby uzmysłowić sobie konkretnie jego twarz i postać. Przestała oddychać - tak wielki był jej wysiłek - gdy nagle Franek zjawił się pod jej zamkniętymi powiekami. Był w swym jasnoszarym garniturze, w krawacie w kropki, który miała tak blisko przed oczami wówczas, gdy pocałował ją po raz pierwszy w taksówce między Dussendorferstrasse a Gedachtniskirche.

Bezmyślnie namydliła jedno kolano, niesposób bowiem było utrzymać wizji dłużej niż przez sekundę. Usiłowała znaleźć się razem z nim w Paryżu. Była w Paryżu raz podczas podróży poślubnej. W pamięci pozostały jej tylko: gorąco, sztuki piękne i ból głowy - chodzenie bez końca po Luwrze i powracanie zawsze do tej samej małej salki z małymi obrazkami drugorzędnych flamandzkich mistrzów - uczucie, że zawsze jest wyśmiewana przez zbyt eleganckich kelnerów - omnibusy dla turystów, rzeczy godne widzenia, nieprzyjemności - Paryż, w którym trudno było wyobrazić sobie Franciszka Davisa.

Ewelina wyszła z kąpieli, powoli się wytarła i usiłowała zacząć żyć. Znajdowała się w haniebnej sytuacji. Nie mogła

zdobyć się na nic, jak tylko na to, by usiąść w kącie i starać się przypomnieć sobie szczegóły po szczególe, minutę po minucie, słowo po słowie - wszystko, cokolwiek Franek powiedział i zrobił. Było to jeszcze zupełnie bliskie, słodkie i smutne. Miała wrażenie, jak gdyby w życiu jej nie zdarzyło się nic, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie, prócz tego tygodnia, kiedy Franek Davis przebywał w Berlinie. Ewelina uśmiechnęła się, drwiąc sama z siebie. Nie było tak, by sama nie dostrzegała szaleństwa i głupoty takiego zapamiętania się. Ale w danym momencie to było wszystko, czego pragnęła.

Tymczasem robiła cały szereg zupełnie rozsądnych rzeczy. Na przykład przypomniała sobie, że Kurt mruczał coś na temat rachunku za gaz i szukała go na biurku i w szufladzie -oczywiście, bezskutecznie. Uprała rękawiczki i zdjęła z sukni biały pikowy kołnierz, uprała go, uprasowała, a potem na nowo przyszyła, chociaż był jeszcze mokry. Przeliczyła małe serwetki do herbaty. Podlała kwiaty, które już były podlane; w końcu zaczęła robić na drutach małe wełniane skarpetki dla Bärchen. Bärchen miał już całą szufladę takich skarpetek, ale sprawiało jej pewną ulgę wyobrażanie sobie maleńkich stóp, dla których to robiła. Weronika obserwowała z kwaśnym zdziwieniem energię, jaką opanowała tego ranka jej panią. Ewelina nie chciała nic jeść, spróbowała banana i zostawiła go, wraz ze skórą, w pokoju jadalnym. Oparła czoło o ramę okienną i wyglądała na ulicę nie widząc nic. Tak przechodził dzień. Był to dzień bez końca. Gdy Ewelina spojrzała na zegarek, była dopiero druga. Nie do pomyślenia, by mogła znosić tę mękę przez tydzień, miesiąc, rok. Te pierwsze godziny bez Franka wyczerpały ją zupełnie. Ludzie twierdzą, że czas przynosi ulgę cierpieniom miłości. Ewelina nie wierzyła w to. Teraz miała przynajmniej jeszcze świeże wspomnienie; miała w pamięci jego głos, słowa, twarz, zapach jego papierosów. Wiedziała dokładnie, jak błyszczał jego świecący

zegarek tam, w ciemnej kabinie kąpielowej. Wszystko to było dla niej cenne. Potem to zblednie i pozostanie jeszcze uboższa i wszystko będzie o wiele gorsze. Ewelina doszła do wniosku, że kobiety, które miały prawdziwą miłość i straciły ją, były w każdym razie w daleko lepszym położeniu. Właśnie to coś niespełnionego, niewyrażonego stanowiło taką mękę. Tak wiele marzyła i pragnęła przez ten tydzień. Tak niewiele osiągnęła. Zastanawiała się, ileż dałaby za to, aby móc raz jeszcze zobaczyć Franka i znowu być z nim razem. Odpowiedziała sobie, wszystko! A to było pojęcie ogromne i niewyraźne, jak chmura. Dzieci wróciły. Wózek wtoczony został ze skrzypieniem do korytarza, a Clärchen dreptała po całym domu. Ewelina popędziła do pokoju dziecięcego, jak gdyby spodziewała się znaleźć tam przystań dla swojej wzburzonej duszy. Clärchen rzuciła się na nią i swym głębokim, zduszonym głosikiem małej dziewczynki, zaczęła jej opowiadać jakąś historię. Widziała ptaka, który kwitł z tyłu. Pokazała na swój własny maleńki tyłeczek i z dumą chodziła po pokoju, naśladując tego kwitnącego ptaka. Ewelina była zakłopotana i spojrzała pytająco na Fräulein.

- Paw - powiedziała Fräulein pobłażliwie. Jak się okazało, były w ogrodzie zoologicznym i spóźniły się bardzo do domu Ewelina czuła, że powinna zwrócić na to uwagę Fraulein, ale bała się Fräulein. Fräulein, w niebieskiej bawełnianej sukni, z cwikiem na nosie, zajęta była Bärchen. Zawijała go i odwijala, pudrowała i podnosiła za pięty jego małe nóżki. Ewelinie było go żal, ale Bärchen te manipulacje zdawały się sprawiać przyjemność.

- Gru... gru... - rzekł przyjaźnie - gru... gru... Ewelina stała, przyglądając się, podczas gdy Bärchen został raz jeszcze przewinięty w okrągły, czysty tłumoczek.

- Czy mogę położyć go spać? - zapytała nieśmiało. Bärchen mrużąc oczki z podniecenia, ssał butelkę; Clärchen, która usadowiona została na krzeselku, bębniła niecierpliwie

łyżeczką w małą, stojącą przed nią tackę. Bärchen, opróżniwszy butelkę, miał na twarzyczce wyraz zadowolenia. Wyglądał tak, jak gdyby nie było w nim już miejsca ani na jedną kroplę więcej. Ewelina podniosła go, dziwiąc się na nowo wadze, ciepłu i żywotności swego syna, i zaniósła go do łóżeczka. Ale w chwili gdy go kładła na łóżeczku, ten zadowolony z siebie tłumoczek zaczął wyć. Ewelina spojrzała na Fräulein z miną winowajczyni. Fräulein karmiła właśnie Clärchen szpinakiem. Clärchen miała minę nieszczęśliwą, ale nieustraszoną. Wypychała sobie policzki szpinakiem, nie połykając go. Gdy Fräulein przybiegła do niej z gąbką, aby obetrzeć jej usta - i ona zaczęła wyć. Ewelina uciekła z pokoju i, usiadłszy na brzegu łóżka, pośpieszyła z powrotem do Franka, jak gdyby właśnie wezwał ją do siebie.

Trzecia godzina. Dzieci jeszcze spały. Ewelina ubrała się i pojechała tramwajem do doktora. Siedziała w poczekalni, trzymając w ręce czasopismo, którego wcale nie czytała, i czekała. Czuła w sobie zupełną pustkę. Zrobiono jej zwykle zastrzyki arsenikowe, ale była tak rozbita, że nie zauważyła nawet ukłucia. Stała przez jakiś czas przed wystawą sklepu z pończochami, nie dlatego, by chciała kupić pończochy, ale dlatego, że nie wiedziała, co ma teraz z sobą począć.

Muszę się wziąć w karby - pomyślała - muszę zapomnieć o tym. Już jest po wszystkim. Franek odjechał i nie zobaczę go nigdy. To szaleństwo poświęcać temu chociażby jedną jeszcze myśl. - Gdy się tak surowo strofowała, poczuła pewną ulgę. Szła przez Kurfürstendamm i przyglądała się wystawom. Zapragnęła pomówić z Marianną. Może w rozmowie Marianna wymieni imię Franka, może wspomni o jego dobrym ułożeniu lub coś innego, co stanowić będzie jakiś łącznik z tym wczorajszym dniem, straconym na zawsze.

Pragnienie mówienia o Franku było w niej tak silne, że Ewelina zdobyła się na niezwykłą przedsiębiorczość. Wstą-

piła do pierwszej napotkanej kawiarni i zatelefonowała do Marianny, najpierw do jej domu w Geltow, a potem do biura w mieście. To nie była dla niej drobnostka. Ewelina znajdowała się na stopie wojennej z wszelkimi mechanicznymi wynalazkami stulecia. Radio, telefon, automobil - wszystko to były dla niej złowrogie tajemnicze potęgi. Przeczytała trzy razy przepisy na automacie telefonicznym i palce jej drżały. Gdy na koniec rzuciła monetę do otworu, usłyszała w odpowiedzi tylko rytmiczne brzęczenie. Upłynęło dużo czasu, zanim uprzytomniła sobie, że numer jest zajęty.

Zrezygnowała z tego. Po tej porażce, po tym objawie nieporadności wobec najprostszych faktów życia - wyszła z kawiarni i poszła dalej. To, że teraz właśnie zaczął padać deszcz, pasowało zupełnie do całości. Ewelina przyłączyła się do grupki ludzi, przemokniętych do nitki, i czekała z nimi na autobus, który by nie był tak przepełniony, jak wszystkie inne, przejeżdżające mimo.

Jak przemoknięty, ociekający łachman, wróciła do mieszkania i usiadła na brzegu łóżka. Sędzia nie wrócił jeszcze do domu.

- Jajecznicza i pikling? - zapytała Weronika, która z groźną miną zjawiała się w drzwiach.

- Co? - zapytała Ewelina, która przebywała myślami daleko.

- Jajecznicza i pikling na kolację? - zapytała Weronika.

- Tak, dobrze - odpowiedziała z miną winowajczyni. -Możeby Fräulein przysłała tu Clärchen - dodała, gdy Weronika wychodziła z pokoju.

- Pani Droste powinna zmienić obuwie - oświadczyła Fräulein niezwłocznie po wejściu do pokoju. Fräulein miała zwyczaj przemawiania zawsze w trzeciej osobie. Fräulein stanowiła dla Eweliny przedmiot nieustannego strachu, a jednocześnie była ostatecznym ciosem dla domowego budżetu. Sędziowie sądów okręgowych nie mogli sobie pozwolić na trzymanie Fräulein do swoich dzieci. Ale Ewelina nie dałaby

sobie rady bez Fräulein, toteż znaczną część drobnej sumy, którą dawał jej ojciec, poświęcała na to, by móc opłacić Fräulein, stanowiącą niemiłą konieczność.

Ewelina posłusznie zdjęła mokre buty. Clärchen wdrapała się na jej łóżko, między książki, gazety, pudełka i inne przedmioty, które Ewelina zwykła tam gromadzić. Ewelina gorąco pragnęła, aby Fräulein pozostawiła ją samą z dzieckiem, ale Fräulein nie myślała o tym wcale.

- Nie pójdzie pani do Bärchen? - zaproponowała Ewelina nerwowo.

- Bärchen śpi - odpowiedziała stanowczo Fräulein. Bärchen miał swój własny program życiowy. Zawsze zasypiał, kiedy pragnęło się mieć spokój.

- Mam kaszel - oznajmiła Clärchen wskazując na pudełko z cukierkami. Ewelina wzięła ją na kolana i dała jej cukierek...

- Musisz zatrzymać to na po kolacji - objaśniła Fräulein. Clärchen, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, wybuchnęła płaczem. Z jednakową gwałtownością robiła wszystko: spała, jadła, śmiała się, płakała. Ewelina patrzyła na nią i zazdrościła jej. Łzy płynęły, głośne skargi i łkania dobywały się z mokrych, ciemnoczerwonych, maleńkich usteczek. W niej samej ścisnęło się i stłoczyło tyle rzeczy niewypłakanych i niewypowiedzianych. Wzięła jeszcze jeden cukierek i włożyła go do ust Clärchen. Podziałał on, jak moneta rzucona w automat. Clärchen od razu przestała płakać i była ucieszona.

- Pani Droste psuje dziecko - powiedziała Fräulein z oburzeniem i wyszła z pokoju. Nie trzasnęła drzwiami, gdyż była dobrze ułożona i była córką oficera, ale drzwi same za jej plecami zamknęły się z głośnym hałasem. Ewelina wzięła Clärchen w ramiona i, zanurzywszy twarz w jej ciepłe, miękkie włoski, kołysała się z nią razem naprzód i w tył. - Clärchen - powtarzała - och, Clärchen...

Tuż przed siódmą nastąpiła scena z kwiatami. Rozległ się

dzwonek, Ewelina usłyszała go jak przez mgłę; przez cały czas leżała na łóżku; Clarchen odbiegła... zapadł mrok, do pokoju wpadało światło lamp ulicznych. Ewelina schroniła się w sen, jak w pieczarę, aby ukryć się przed swymi myślami i bólem. Rozległ się dzwonek, a potem ktoś odkręcił światło w korytarzu i szyby w drzwiach zabłysły jasnymi kwadratami. Weronika przydreptała z kuchni do frontowych drzwi, otworzyła je - potem rozległ się szmer głosów... Zastukano do drzwi sypialni.

- Kwiaty dla pani Droste - rzekła podniecona Weronika. Po chwili pokój pełen był zapachu mimozy. Ewelina usiadła i odkręciła kontakt przy łóżku.

Weronika stała w niebieskim fartuchu kuchennym, trzymając w wyciągniętej ręce ogromny pęk mimozy.

- Dobrze, połóż je - rzekła Ewelina słabo. Serce jej biło, w głowie huczało, kolana stały się ciężkie.

- Czy mam wstawić je do niebieskiego wazonu na pianinie? - zapytała Weronika.

- Nie, dziękuję. Podaj mi je - powiedziała Ewelina. Nie chciała niczego; tylko pozostać sam na sam z tym pękiem mimozy.

„Z serdecznymi pozdrowieniami od pana Franciszka Davisa z Paryża” - napisane było na kartce z kwiaciarni. Ewelina zgasiła światło - wzięła kwiaty w ramiona i położyła się znowu.

Stało się coś romantycznego, coś nieprawdopodobnego. Franek przysłał kwiaty z Paryża. Upłynęło dużo czasu, zanim zdołała to sobie uświadomić. Franek przysłał kwiaty z Paryża... Znaczyło to, że miał jej adres i że wciąż jeszcze pozostawał z nią w kontakcie. Znaczyło to, że o niej myślał. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, znaczyło to, że ją kochał. Wszystko minęło, skończyło się, umarło. A teraz odżyło znowu i zakwitło setkami wilgotnych, pachnących kwiatów mimozy tuż przy policzku Eweliny. Dotychczas Ewelina nie miała żadnych złudzeń co do swego mglistego



i nieokreślonego stosunku z Frankiem Davisem. Nie miała doświadczenia w miłości, ale miała instynkt. Domyśliła się, że to, co dla niej stało się w ciągu jednego tygodnia całą treścią jej istoty, dla niego nie było niczym więcej, jak przemijającym flirtem. Wstrząśnięta, wyczerpana swym uczuciem jakby jakimś kataklizmem, starała się oszukać go udawaniem, że dla niej jest to także tylko flirt.

Kwiaty zmieniały wszystko. W życiu Eweliny aż do tej chwili nie było mimozy. Nie przypuszczała nawet, by można było przesłać kwiaty z Paryża do Berlina drogą telegraficzną. To, że Franek miał taki pomysł i że to zrobił - wywracało wszystko. Obecność tych kwiatów było dla Eweliny cudem, którego dokonać mógł tylko kochający mężczyzna. Gdy sędzia wrócił do domu, mimoza rozstawiona była w małych pęczkach po całym mieszkaniu. Pachniała we wszystkich pokojach, ale zatraciła już swój pierwotny, mglisty urok i zamknęła się w małe ściśnięte złociste kulki, Ewelina była prawie rada z tego. Rozdzieliła ogromny bukiet na części, gdyż zdawało jej się, że w całości wzbudzałby zbyt wiele uwagi. Ale sędzia nie spostrzegł nawet, że wszystkie wazony były pełne. Wyglądał znużony i wyczerpany - i udał się wprost do łazienki, do swej wody do płukania gardła.

- Zaziębilem się troszeczkę - rzekł. - Będę musiał zrobić potem inhalacje. Aparat do inhalacji odgrywał wielką rolę w domu Drostów. Sędzia z łatwością dostawał chrypki; był to skutek palenia, albo nerwów, albo nadmiernej wrażliwości na zmiany pogody. Stanowiło to dla niego poważny problem, gdyż w sądzie głos był mu najbardziej potrzebny. Zachrypnięty sędzia jest w pozycji znacznie gorszej w zestawieniu z silnym, przekonującym głosem oskarżonego. Ewelina poszła sama do kuchni i naląła do aparatu w odpowiednim stosunku wody i oleju żywicznego. Była pełna czułości dla Kurta; popatrzyła na jego wychudłą, zmęczoną twarz i poczuła przyływ wielkiej serdeczności. Siadła na poręczu jego

krzesła i pogładziła go po czole. - Jakże przeszedł proces? -zapytała. Dla niej był to potworny dzień. Czuła się tak, jak gdyby zakopano ją żywcem, zamknięto w trumnie odcięto od życia. Ale od chwili, gdy nadeszły kwiaty, wszystko wyda- \_ wało się dobre; Ewelina obnosiła swoje szczęście, jak okrągłą gorącą promienną kulę świetlistą. Cała była miłością, pragnęła być bardzo dobra.

- Idzie powoli, ale jutro dojdziemy do końca - odpowiedział Kurt, gdy ona zapomniała już o swym pytaniu. Siedzieli naprzeciw siebie przy stole, między nimi jajecznicą i pikling - i rozmawiali tak, jak zazwyczaj rozmawia z sobą małżeństwo. Pogoda jest brzydka, jak na maj. Cena rnlaka spadła o pół feniga na litrze, co jednak - wyjaśnił sędzia - było niepomyślną oznaką z ekonomicznego punktu widzenia. Bezrobocie ciągle jeszcze wzrasta.

Ewelina zapytała, czy w Paryżu są także bezrobotni. Było to prawie tak, jak gdyby mówiła o Franku. Droste wyraził uprzejmą nadzieję, że Francuzi mają także swoje kłopoty. Ewelina nałożyła mu drugą porcję: czuła potrzebę opiekowania się nim. Dzięki Opatrzności Boskiej i przezorności Weroniki, tego dnia były w domu owoce i sędzia uśmiechnął się z wyrazem uznania.

Ewelina obrała mu jabłko. Miała wielką ochotę mówić

**0** owocach kalifornijskich, ale powstrzymała się.

- Chciałam zaprosić Mariannę na kolację, ale nie mogłam jej znaleźć - powiedziała.

- Szkoda - zauważył sędzia.

Ewelina przyniosła do pokoju aparat inhalacyjny i podpaliła lampkę spirytusową, jakkolwiek czuła wobec niej lęk

i nie mogła nigdy wyzbyć się nieokreślonego przeczucia, że któregoś dnia nastąpi eksplozja. Uprzejmie przyglądała się, jak mąż jej robił inhalację i wyszła z pokoju, gdy siedział z otwartymi ustami, gorliwie wdychając, a woń żywicznego olejku zaczęła przytłaczać zapach mimozy.

Gdy Ewelina weszła do pokoju dzieci, Bärchen miał właśnie swoją godzinę dąsów, którą Fräulein z kwaśnym humorem nazywała jego „wieczorną promenadą”. Leżał na stole z wyciągniętymi w powietrzu, okrągłymi i zbyt czerwonymi nóżkami i wykonywał niezdarne ruchy. Clärchen siedziała już w łóżeczku, robiąc wrażenie grzecznego dziecka. Włosy na małej główce zaczesane były wilgotną szczotką do tyłu; obok stała Fräulein i patrzyła z dumą na dzieło swych rąk.

- Czerwony kapturek - powiedziała Clärchen z zapalem, gdy Ewelina wchodziła do pokoju. - Czerwony kapturek -powtórzyła bardziej gwałtownie, gdy matka podeszła najpierw do stołu. - Teraz będę się niewać - oświadczyła w tym momencie dziewczynka.

Clärchen była zazdrosna. Miała namiętą zazdrosną duszę małej, trzyletniej kobietki. Jeżeli nazbyt wiele uwagi poświęcano temu nowemu małemu braciszкови, sprawiało jej to ból; zaciskała pięści, nie miała nazwy dla tego, określała to słowami „będę się gniewać”. Toteż Ewelina zostawiła teraz Bärchen i prędko podeszła do łóżeczka.

- Była raz mała dziewczynka - zaczęła - która dostała od swej babki czerwony kapturek i dlatego nazywano ją...

- Czerwony kapturek - wykrzyknęła triumfalnie Clärchen. Istota tego wieczornego opowiadania bajek polegała na tym, że Clärchen знаła treść bajki na pamięć i wpatrywała się w usta Eweliny, czekając na odpowiedni moment, kiedy będzie mogła wtrącić słowo. Pośrodku opowiadania jednak Clärchen zaczęła robić dygresje i skreśliła na historię o Hasenpuppach. Hasenpuppowie była to fantastyczna rodzina zrodzona w jej własnej imaginacji; zawsze coś jedli, ilekroć się o nich słyszało. „A potem Hasenpuppowie jedli lody, a potem jedli wisienki, a potem ojciec Hasenpupp przyniósł do domu cukierki dla dzieci i one je zjadły. A potem dzieci przecięły żołądek Fräulein i zaszyły w niego kamienie, a kiedy Fräulein poszła do studni po wodę, kamienie były takie ciężkie, że Fräulein wpadła do studni. I Hasenpuppo-

wie cieszyli się bardzo". Gdy Clärchen pomieszała w ten sposób opowiadanie o wilku z Hasenpuppami, wtrącając w to swoje własne ukryte pragnienia, ziewnęła dwa razy. Ewelina położyła rękę na płaskiej poduszce i doznała uczucia radości, gdy dziecko przytuliło do dłoni swój gorący policzek, a potem usnęło. Pocałowała włosy Clärchen, cofnęła rękę i przeszła do Bärchen.

Tymczasem Fräulein dokonała cudów. Chodziła tam i z powrotem na swych staropanińskich, cnotliwych i trzeszczących podszewkach - i w pokoju zapanował porządek, czystość i świeże powietrze. Bärchen, upudrowany i świeżo przewinięty, leżał w łóżeczku\* spoglądając z przejęciem na paluszki u nóg, jak gdyby zrobił największe odkrycie w historii świata. Ewelina wiedziała, że Fräulein ma higieniczne obiekcje przeciwko całowaniu dzieci, toteż poczekała póki Fräulein nie wyszła z pokoju, a wtedy szybko, w sekrecie, pocałowała otwarty pyszczek Bärchen, który przy dotknięciu od razu zaczął ssać.

- No? - zapytał sędzia, gdy Ewelina wróciła do niego.

- Już śpią - odpowiedziała.

Mąż wciąż patrzył na nią. Przez chwilę zdawało jej się, że jej twarz zdradzała tajemnicę, ale zaraz potem uśmiechnęła się sceptycznie. To było jedno z jej nowych doświadczeń, że mąż, jej własny mąż, żyje oddalony od niej o całe światy i nic, absolutnie nic nie wie o niej, ani nie przeczuwa. Patrząc na nią teraz, słuchał jednocześnie radia.

- Furtwangler, Symfonia Pastoralna - powiedział ze złością.

Poczuła ból, że tak zupełnie niczego nie podejrzewa; usiadła na poręczu krzesła i przyciągnęła jego głowę do swojej piersi. Żyłki na skroniach pulsowały mu szybko - to także ją wzruszyło, poczuła, że pod tą twardą pokrywą czaszki wre intensywna praca.

- Byłaś u doktora? - zapytał Droste.
- Tak - odpowiedziała. Chodziła trzy razy tygodniowo, aby brać zastrzyki arsenikowe.
- No, co powiedział? - zapytał Kurt.
- Nic, jest zupełnie dobrze.

Z radia dobiegła cudowna melodia „Sceny nad strumieniem”. Droste słuchał znowu z przejęciem. Znał się bardzo dobrze na muzyce i mógł mówić o niej zupełnie fachowymi wyrażeniami. Ewelina zdumiona była słuchając jego wywodów o kontrapunkcie, synkopach i motywach; dla niej muzyka była czymś podobnym do jej ulubionej gorącej kąpieli - czymś, co dawało jej odpoczynek i pobudzało do marzeń - czymś, co mogło uczynić ją wesołą lub smutną i zawsze napełniało ją tęsknotą. Podeszła do pianina i wzięła gałązkę mimozy. Piękna, szaro zielona tkanina liścia położyła się na jej skórze, jak najczulsza, najśłodsza pieśczęta.

Tego wieczoru Ewelina uświadomiła sobie z przerażeniem, jak wszystko w jej życiu całkowicie pozbawiła wartości jej miłość do Franka Davisa. Nie było nic, co by ją zajmowało, co by sprawiało jej radość lub dawało spokój; wszystko było bez wartości i bez znaczenia.

Nawet dzieci? - zapytała siebie Ewelina i zaciskając ręce odpowiedziała wyzywająco: - Tak, nawet dzieci. Znalazła schronienie w uścisku męża, z gwałtownością i wdzięcznością, jak gdyby uciekła do jego ramion z płonącego domu. W ciele jej było wzburzenie, które musiała uspokoić. Ale gdy uwolniła się od rozważnych i pełnych rezerwy pieśczęt sędziego, załamała się zupełnie.

Mysleć o jednym mężczyźnie, a oddawać się drugiemu - to jeden ze śmiertelnych grzechów, karanych okrutnym cierpieniem. Ewelina nie wiedziała o tym dawniej. Życie jej pozbawione było wszelkich uczuciowych komplikacji. Kochała męża - tak, jak kochała swoje dzieci - z taką samą siłą, ciepłem i stałością. Wszystko w nim było jej drogim: jego istota, jego długie, chude ciało; wrażliwa twarz; jego głos,

zawsze odrobinę nerwowo i zachrypnięty. A teraz leżała w uścisku tego najbliższego i najdroższego jej człowieka, a uczucia jej były tak okropne, że z trudnością mogła powstrzymać krzyk; usta miała otwarte, jak gdyby cierpiała męki; uświadamiała sobie swoją własną twarz, jak leży w ciemności na poduszce i niemo z otwartymi ustami krzyczy o pomoc.

- A teraz dobranoc, mała myszko - usłyszała na koniec z sąsiedniego łóżka i ręka pogładziła jej włosy.

- Dobranoc - szepnęła Ewelina.

- Co teraz stanie się ze mną? - pomyślała z rozpaczą.

Nie wiedziała, kiedy usnęła, ale obudził ją głos:

- A co z tym rachunkiem za gaz?

Ewelina, która w krainie marzeń rozmawiała z jakąś mglistą postacią, którą prawdopodobnie był Franek - wróciła szybko z powrotem na Düsseldorfstrasse i usiłowała zająć właściwe swoje miejsce.

- Czy masz chrypkę? - zapytała męża.

- Tak - odpowiedział sędzia jednym słowem i zapytał po raz trzeci. - Co z tym rachunkiem za gaz?

- Dlaczego... czy nie ty miałeś go zapłacić?

Droste westchnął. - Towarzystwo było tak uprzejme, że zatelefonowało, aby powiedzieć, że zamknie gaz, jeżeli nie zostanie opłacony do jutra - powiedział z wyrzutem. Mówił wszystko jednym tonem, aby oszczędzać swój głos dla sądu.

- Zapłacę natychmiast - powiedziała Ewelina z poczuciem winy. Aby pokazać swoje dobre intencje, postawiła stopę na podłodze i wstała.

Moment wstania, którego się tak zawsze lękała, został przezwyciężony.

- Włóż przynajmniej pantofle - powiedział sędzia wychodząc z pokoju.

Powtarzał to codziennie, ale ona nie słuchała nigdy. Lubiła chodzić bosą, gdyż zabraniano jej tego w dzieciństwie. Przed pójściem do łazienki spojrzała na zegar.

Kwadrans po ósmej. Podeszła ku drzwiom na korytarz i zawołała do Weroniki: - Czy nie ma dla mnie listów? - Było to tak zdumiewające pytanie, że Weronika z miotełką w ręce stanęła nieruchomo, jak posąg. - Poczta przychodzi dopiero o dziewiątej - powiedziała i potrząsając głową, spojrzała na swoją panią, która zniknęła w łazience.

Ewelina nie oczekiwała nigdy listów - i nigdy prawie ich nie otrzymywała. Ale dzisiaj spodziewała się. Przekonana była, że mimoza jest tylko początkiem, teraz nastąpić musi ciąg dalszy: listy, depesze, wszelkiego rodzaju cuda, nie wiedziała sama co.

Czekała na to. W ten sposób przechodził dzień. Na czekaniu. Na oczekiwaniu, które było zupełnym szaleństwem, gdyż nie opierało się absolutnie na niczym - tylko na uczuciu Eweliny, że nie chce już żyć dłużej, jeżeli oczekiwanie to nie ma być spełnione.

Od czasu urodzenia Bärchen była tak zmęczona, pozbawiona krwi, wszyscy dokoła niepokoiłi się o nią tak bardzo, że najprostszą rzeczą na świecie była dla niej śmierć - pomyślała. Zdawało jej się, że trzeba tylko położyć się i przestać chcieć czegokolwiek, a potem przyjdzie ona sama z siebie. Życie utrzymać można tylko przez wysiłek, tylko przez ciągłe starania, przez siłę woli i świadomość spełniania obowiązku! Z tylu tak męczących czynności składa się życie... Zapłacenie rachunku za gaz, starcia z Fräulein i wieczne porażki. Nie wystarczyło mi pieniędzy na gospodarstwo, Kurt... Co będziemy dzisiaj gotować, Weroniko? Czy myślisz, że trzeba uprać firanki, Weroniko?

Niech Fräulein nie zapomni kupić owoców dla pana sędziego. Czy mogę dać Bärchen jego butelkę, Fräulein? Małe dziewczynki powinny grzecznie kłaść się spać. Gorąca woda w łazience "przestała płynąć. Trzeba naprawić odkurzacz. Kłopoty z praczką; od czasu jak Ruppową wydalono z powodu nierzetelności, zawsze są jakieś kłopoty z pracz-

kami. Jak się zdaje, Ruppowa była jedyną, która nie wsypywała ukradkiem chlorku do wody... no, ale teraz wsypała arsenik do jakiejś zupy i sędzia musi skazać ją za morderstwo.

Telefon dzwonił cztery razy tego dnia. Raz był to chłopiec Weroniki. Weronika miała bardzo wytwornego kawalera, który na urodziny podarował jej królicze futro, wyglądające prawie jak foki. Pracował w biurze i dzwonił do Weroniki, gdy mu się nudziło. Drugi telefon był od sędziego. Była właśnie przerwa na drugie śniadanie i sędzia oznajmił zachrypniętym głosem, że sesja potrwa bardzo długo. Trzecim razem mówił jakiś podniecony głos kobiecy; okazało się, że była to omyłka w numerze. Przy każdym dzwonku Ewelina była tak wstrząśnięta, że pulsowały jej arterie na szyi. Za każdym razem wracała na łóżko i siadała z robotą, lub książką, starając się czytać lub robić szydełkiem, ale nie robiła nic, tylko czekała. Mimoza przestała już pachnieć; wyglądała zeschnięta i sztuczna.

Zmrok zapadł już gdy telefon w hallu zadzwonił znowu. Ciężkie stopy Weroniki zadudniły na korytarzu. Znowu serce Eweliny zaczęło walić dziko. Roześmiała się z samej siebie. Od czasu tej historii z Frankiem zaczęła obserwować siebie, czytać w sobie i wyśmiewać się z siebie. Ale cóż jej to dawało?

- Trzy osoby mówią w telefonie jednocześnie... nie mogę zrozumieć ani słowa - powiedziała Weronika z irytacją przez drzwi.

Serce Eweliny stanęło, stanęło dosłownie, a potem zaczęło znowu uderzać gwałtownie. - Idę - zawołała odruchowo. W korytarzu spotkała się z Fräulein.

- Clärchen wyrosła ze swoich skarpetek; potrzebuje nowych - powiedziała Fräulein.

Ewelina nie odpowiedziała, a tylko ujęła słuchawkę. Fräulein stanęła przy niej. W telefonie jakiś wysoki głos kobiecy mówił po francusku; po tym niemiecki głos zapytał nieu-



przejmie: - Czy to Oliva 03784? Pilna rozmowa międzymiastowa z Paryżem. Czy jest pani Droste?

- Tak - odpowiedziała Ewelina słabo. Kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Szybko przysunęła ku sobie postument na parasole i usiadła na jego brzegu.

- Halo - odezwał się w telefonie jakiś męski głos, który w najmniejszym stopniu nie przypominał głosu Franka. Ewelina rzuciła błagalne spojrzenie na Fräulein, która stała obok niej jak wrośnięta. Fräulein najwidoczniej przypomniła sobie, że została wychowana jako oficerska córka, gdyż zeszła ze swego posterunku i niechętnie wyniosła się do pokoju dzieci.

- Franek? - zapytała Ewelina półgłosem

- Ewelina?

- Tak - powiedziała po niemiecku. W myślach zawsze rozmawiała z nim po niemiecku.

- Czy jesteś sama? - zapytał. Mówił po francusku, a to brzmiało tak dziwnie, że przez chwilę zdawało jej się, że to jakaś omyłka, jakieś szalone nieporozumienie. Potem zaczęła się uśmiechać, podobało jej się to; ona sama mówiła po francusku lepiej, niż po angielsku.

- Nie., to znaczy tak - powiedziała, gdyż akurat w tym momencie drzwi pokoju dziecięcego zamknęły się za Fräulein.

Potem telefon zaczął mówić wszystko to, co ona wyobraziła sobie w najbardziej fantastycznych marzeniach. Była to cała aria, miłosna pieśń; pozostawało to całkiem poza obrębem prawdopodobieństwa, aby Franek mógł mówić takie rzeczy. Wsłuchiwała się jeszcze w echo jego słów, gdy telefon milkł.

- Czy dostałaś moje kwiaty? - pytał teraz Franek.

- Tak, dziękuję.

- Czy kochasz mnie, Ewelino?

Pytanie było śmieszne; nie mogła na nie odpowiedzieć. Franek mówił teraz znowu; nie rozumiała jego pierwszych

słów, gdyż w przewodach zaczęło gwizdać. Nagle uświadomiła sobie, czego chce od niej. Poczula, że wargi jej stały się zupełnie zimne, tak zimne, że nie mogła mówić.

- Prawdopodobnie wargi moje są śmiertelnie blade -pomyślała, a potem. - Aby tylko teraz nie zemdleć.

Telefon mówił ciągle - wszystko to było dziwne, romantyczne, niewiarygodne, a jednocześnie takie naturalne.

- Przyjadę - powiedziała - auf Wiedersehen. Potem już nie rozumiała nic więcej z tego, co mówił, w telefonie zaczęło stukać, wtrąciła się francuska telefonistka i wszystko stało się zamglone i chaotyczne. Ewelina patrzyła ciągle jeszcze na słuchawkę, chociaż dawno już zawiesiła ją na widełkach.

Wróciła do sypialni; było teraz ciemno; siedziała przez dziesięć minut zupełnie nieruchomo na łóżku, z rękami zaciśniętymi na kolanach. Potem wróciła do telefonu i zadzwoniła do Marianny.

- Marianno, musisz przyjechać do mnie natychmiast.

- Co się tak pali? Możebyś poszła lepiej ze mną do kina?

- Nie, musisz tu przyjść zaraz.

- Ale co się stało? Czy jesteś chora? - zapytała Marianna z niepokojem.

- Nie, tylko przyjdź.

- Czy coś z Kurtem? -

Ewelina nie chciała mówić nic więcej.

- Będę u ciebie za pół godziny - powiedziała Marianna. Była to osoba, na którą zawsze można było liczyć. Ewelina wróciła do sypialni i czekała.

Marianna, gdy weszła do mieszkania, pachniała deszczem i wapnem.

Było już ciemno - światło lampy z ulicy rzucało odblask na łóżko.

- Mdląłeś? - zapytała Marianna ode drzwi.

- Słuchaj, Marianno - powiedziała Ewelina. - Musisz mi pomóc, liczę na ciebie.

- To brzmi, jak z Schillera. Co znaczy ten ton uroczysty?

zapytała Marianna żartobliwie," ale usiadła na łóżku koło Eweliny i objęła ramieniem jej plecy.

- To dla mnie sprawa życia i śmierci, w przeciwnym razie nie prosiłabym cię o to - ciągnęła Ewelina. Mówiła wyraźnie i dosyć głośno. Obmyśliła sobie to wszystko w ciągu ostatnich dwudziestu minut.

Marianna była rozbawiona.

- No, „Pozostaw wolność myślom, panie” - zacytowała, trzęsąc się od śmiechu.

- Muszę wyjechać i Kurt nie może nic o tym wiedzieć -powiedziała Ewelina.

Marianna przestała się śmiać i ręka jej zaciężyla bardziej na ramieniu Eweliny.

- Wyjechać, dziecko? Sama? - zapytała cichym głosem.

- Tak. Musisz zaprosić mnie do Geltow i zabrać mnie z sobą po kolacji. Musisz tak zrobić, aby Kurt wierzył, że jestem u ciebie. Rozumiesz?

- Tak - powiedziała Marianna po chwili. Pochyliła się naprzód, rozmyślając głęboko.

- Dobrze - rzekła - muszę zrobić, aby w to uwierzył.

- A gdzie będziesz naprawdę, dziecko?

- W Paryżu - powiedziała Ewelina ociągając się.

- Odprowadzę cię na stację. Dziesiąta czterdzieści pięć, czy tak? Czy zamówiłaś miejsce w wagonie sypialnym?

Ewelina nigdy jeszcze nie podróżowała sama. Spojrzała z wdzięcznością na Mariannę, która znała się na tym wszystkim. <sup>v</sup>

- I... nie powiesz mi, do kogo jedziesz? - zapytała Marianna powoli.

- Nie, Marianno.

- Ale mogę się domyślać?

Ewelina wzruszyła ramionami. Nagle poczuła uścisk Marianny i pocałunek między brwiami.

- Małe biedactwo, chwyciło cię to więc aż tak i jest aż tak źle? - powiedziała Marianna pocieszająco. Zanim jeszcze

Ewelina oswobodziła się od tych pieszczot, na schodach dało się słyszeć chrząkanie, które było zawsze zapowiedzią powrotu sędziego. Weronika podreptała na korytarz i zapaliła światło. Przez otwarte drzwi kuchni doszedł zapach kalafiora i przeniknął aż do sypialni. Ewelina podniosła się i spojrzała Mariannie w oczy.

- Zaufaj mi i nie bierz tego zbyt tragicznie. To nie jest sprawa życia i śmierci - powiedziała Marianna z uśmiechem. - Jesteście zbyt monogamistyczni, Kurt i ty...

Wyszły do hallu i powitały sędziego.

- Chciałbym zrobić inhalację - były jego pierwsze słowa. Stracił zupełnie głos. Ewelina poszła do kuchni i przygotowała aparat do inhalacji. Czowała, jak we śnie, że robiła zawsze to samo, zawsze to samo przez sześć lat swego małżeństwa. Zawsze stała w kuchni i przygotowywała aparat do inhalacji. Ostatni raz - pomyślała nalewając olejek żywiczny. Była to błędna i nielogiczna dedukcja. Jechała tylko na dwa dni do Paryża; potem przyjedzie z powrotem wszystko wróci do swego normalnego biegu... Dziwnie jakoś że nie mogła sobie wyobrazić tego, że wróci i życie jej znowu pójdzie po tych samych torach. Jedną tylko rzecz była dla niej jasną: jedzie, jedzie do Paryża. Franek ją wezwał - i ona jedzie. Nie było mowy o wahaniu się - i nie było wyboru.

Siedziała, jak we śnie, w pokoju jadalnym bez ścian. Na kolację był kalafior, pieczeń i kompot z jabłek. Marianna mówiła dużo, sędzia mówił mało, a Ewelina nie mówiła nic. Zegar w pokoju wybił ósmą, ale trochę się śpieszył.

- Teraz, Ewelino, zapakuj manatki, bo przyjedziemy za późno do Geltow - powiedziała Marianna. Powiedziała to z przesadną obojętnością, jakby powiedziała jakaś trzeciorzędna aktorka, i Ewelina wstrzymała oddech. Zawsze uważała, że sędziów trudniej jest wprowadzić w błąd, niż innych ludzi. Kurt spojrzał zdziwiony znad swego kompotu.

- Zabieram ze sobą Ewelinę na weekend do Geltow - powiedziała od razu Marianna.

- Czy u was, kobiet, weekend zaczyna się w czwartek, co?  
- zapytał ochryłym głosem, ale bez złego humoru.  
- Możesz chyba pozwolić mi od czasu do czasu na dłuższy weekend - zaprotestowała Marianna. - A trochę słońca przyda się Ewelinie. Wiesz o tym...  
- Myślałem, że będziesz mogła przyjść jutro na proces\* chociaż na godzinę - powiedział Droste z wyrazem zawodu. Ewelina przysłuchiwała się. Jasne było, że rozmowa wcale nie toczy się wokół jej osoby.  
- Jesteś egoistą - powiedziała Marianna.  
Kurt spuścił oczy. No, jeżeli Ewelina ma ochotę - powiedział - w takim razie będę mógł przyjechać po nią w sobotę. Proszę cię, uważaj, aby nie przemoczyła sobie nóg.  
- Będę ją zabierała na dwugodzinny spacer codziennie, a przez resztę dnia zostawię ją na słońcu - powiedziała Marianna.  
Ewelina przysłuchiwała się, jak nią rozporządzali - zupełnie jak gdyby była jakimś martwym przedmiotem. Zostawiła męża w pokoju w towarzystwie Marianny i z aparatem do inhalacji, a sama wyszła.  
Przeznaczenie - pomyślała - to wielkie słowo. Ewelina nie przypuszczała nigdy, że słowo to można będzie kiedykolwiek zastosować do niej. - To moje przeznaczenie. Wzięłam swoje przeznaczenie w swoje własne ręce.  
- Miała poczucie niebezpieczeństwa; straszliwego, śmiertelnego niebezpieczeństwa. Kłamstwa były cienkie, jak sieć pajęcza; najmniejszy ucisk mógł ją rozerwać.  
Jeżeli mąż jej dowie się prawdy, wszystko skończone... Bardzo dobrze, niech się skończy! Przeznaczenie - pomyślała wyzywająco.  
A teraz pakowanie: czarna suknia, jej suknia wieczorowa  
- miała tylko jedną; prześliczna koszulka nocna z prawdziwymi koronkami, którą otrzymała na swe wesele.

Pieniądze? - pomyślała marszcząc czoło. Nie wiedziała, ile kosztuje bilet. Poszła do kuchni, dała Weronice dwadzieścia marek, a resztę pieniędzy przeznaczonych na gospodarstwo włożyła do swej torebki.

- Jadę do Geltow do końca tygodnia - oznajmiła. Proszę pilnować wszystkiego i uważać, aby w domu były owoce. I pan sędzia będzie co wieczór robił inhalacje.

Weronika patrzyła na nią zdumiona. Pani Droste jeździła często do Geltow na dwa lub trzy dni - nigdy nie robiła z tego takich historii.

Wpół do dziesiątej. Pokój dziecięcy... Nie była dziś obecna przy kładzeniu dzieci do łóżek. Z korytarza dochodziło światło przez szklaną szybę w drzwiach - i pokój pełen był oddechów. Ewelina ostrożnie opuściła bok łóżeczka Bärchen i nagle poczuła, że musi się rozplakać. Było to tak bardzo podobne do pożegnania. Jak gdyby kobieta, która w sobotę wróci z Paryża nie miała już być nią; jak gdyby ta istota, która teraz klęczy przy łóżeczku Bärchen, nie miała już nigdy powrócić.

Przeznaczenie, niebezpieczeństwo, konieczność. Nie ma wyboru.

- Do widzenia, mała myszko! Zobaczymy się w sobotę. Może zatelefonuję do ciebie jutro do Geltow. - Kurt wygląda źle. Klatka schodowa... Do widzenia, Düsseldorfstrasse! Jazda na dworzec przy Friedrichstrasse. Wszystko nierzeczywiste... wszystko tylko sen... Jazda do Paryża, do jakiegoś obcego mężczyzny.

- Marianno, jeżeli Kurt zatelefonuje...

- Już ja się jakoś wyklamię.

Kościół Gedächtnis, światła, wybrzeże, ciemność. Do widzenia, Berlinie.

- Marianno, jeżeli zemdleję... gdy jestem sama...

- Ludzie nigdy nie mdleją, gdy są sami - zapewniła Marianna szyderczo. Stacja. Tragarze. Bilet. Tak, proszę... wagon sypiany.

Ewelina nigdy jeszcze nie kupowała biletu kolejowego, nie wiedziała, ile płaci się tragarzowi, nie miała odwagi zapytać pana w urzędowej czapce o informacje. Jak to dobrze, że Marianna tu jest.

- Dziecko zaczyna być samodzielne. ... Myszka rozpoczyna przygody - powiedziała Marianna ze sztuczną nieco pogodą. - Jeżeli będziesz miała jakiś kłopot, zadeszuj.

- Dobrze. Dziękuję ci.

- Chciałabym mieć twój paryski adres.

- Nie znam swego adresu.

Dreszcz przeszedł Ewelinę. Franek dał jej adres, ale ona była zbyt oszołomiona, aby zwrócić na to uwagę. Zobaczyła, jak w zmorze sennej, że przyjeżdża do Paryża i nie spotyka Franka na stacji. Pozostaje sama, opuszczona, nie może znaleźć Franka, nie ma pieniędzy na powrót do domu, mdleje na ulicy.

- Oto pociąg - rzekła Marianna. Ona także była teraz trochę zdenerwowana.

Ogromna lokomotywa wjechała na stację. Marianna wepchnęła Ewelinę do wagonu. W przedziale, do którego weszła, powietrze było stęchłe. Noc i oddechy tylu ludzi. W tym samym przedziale na dolnym łóżku leżała jakaś gruba kobieta. Miała minę obrażoną, jak wszyscy podróżni, ilekroć ktoś wchodzi do ich przedziału. Marianna wciąż jeszcze stała na korytarzu.

- Kiedy wrócisz? - zapytała. Była teraz blada i zdenerwowana.

- W sobotę. Przyjadę prosto do Geltow.

W ostatniej chwili Marianna pocałowała ją. Był to twardy, gwałtowny pocałunek.

- Wracaj szczęśliwie do domu - zawołała. Konduktor wyprosił ją z pociągu.

Ewelina stała jeszcze przez chwilę niepewnie na korytarzu, potem wróciła do przedziału i, wszedłszy na swoje łóżko, odkręciła małą -lampkę. Siatka na rzeczy była całkowicie

zajęta walizami grubej damy. Z każdego pakunku zwieszała się tabliczka z napisem. Selma Rabbinowicz, Bukareszt. Pociąg pędził. Tabliczki kołysały się naprzód i w tył, ubranie na wieszakach kołysało się naprzód i w tył - palto Selmy Rabinowicz, jej pończochy koło umywalni, niebieski kapelusik Eweliny na wieszaku - wszystko kołysało się naprzód i w tył, jak wahadła. Od patrzenia na to kręciło się w głowie.

Ewelina, nie rozbierając się, zgasiła światło. Skóra jej lękała się dotknięcia obcej pościeli. W ciemności stuk pociągu był o wiele głośniejszy. Jutro - wypukiwały koła, stal o stal. - Jutro, jutro, jutro, jutro, jutro, jutro... Ale Ewelina nie umiała sobie wyobrazić tego jutra.



## **VI. ŚRODA: MAŻ**

Niedługo po jedenastej oskarżona Ruppowa załamała się. Pochyliła głowę na ręce, zwinęła się w kłębek na ławie oskarżonych i jęknęła. - Proszę bardzo... nie mogę już dłużej... proszę, proszę bardzo.

Sędzia spodziewał się czegoś podobnego. Podczas gdy jednym uchem przysłuchiwał się zawiłemu wykładowi rzeczoznawcy, który rozwodził się nad tym, co znalazł w zwłokach starej matki Rupp, z całą pilnością obserwował Rup-pową. Znał dobrze tę dziwną żółtość twarzy i szarość warg u oskarżonych, którzy doszli już do kresu wytrzymałości. Na czole Ruppowej widniały grube, długie, ciężkie krople potu, które spływając ze skroni, zbierały się pod brodą. Mąż, który siedział w pewnej odległości od niej na ławie oskarżonych, na chwilę zwrócił oczy szybko w kierunku żony, a potem znowu patrzył przed siebie prosto, z naiwnym wyrazem zainteresowania, który dodawał pewnego uroku jego zdrowej, pełnokrwistej twarzy. Miesiące, które spędził w areszcie śledczym, zdawało się, nie zaszkodziły mu wcale. Był dobrze ogolony, miał na sobie coś w rodzaju niedzielnego ubrania i sztywny kołnierzyk.

Gdy Ruppowa pochyliła się naprzód i policjant skoczył ku niej z tyłu, aby ją podrzyc - podczas gdy młody, podniecony obrońca oskarżonej odwrócił się do niej z podnie-

sioną ręką jak policjant, wstrzymujący ruch uliczny - Droste przez tę sekundę trzymał wzrok utkwiony w mężu. Czerwona, pełna twarz pociemniała, przemknął po niej wyraz oszołomionego lęku, zatrzymał się na chwilę w jego szklanych oczach, a potem znikł znowu. Droste skoczył na nogi.

- Panie obrońco - rzekł - nie mamy zamiaru dręczyć oskarżonej, ani wyczerpywać jej sił ponad konieczność. Jeżeli powie nam teraz całą prawdę - przedstaw jej pan jasno - może być pewna, że to będzie korzystniej i dla niej samej i dla jej męża.

Obrońca mruknął coś w kierunku opuszczonej głowy, którą Ruppowa wciąż jeszcze trzymała ukrytą w dłoniach, opartą na ławce; jej rude włosy kleiły się od potu w mokre pasma. Sala sądowa była zapełniona do połowy i publiczność znajdowała się w stanie podniecenia, reporterzy na ławach prasowych szeptali między sobą; były wśród nich dwie kobiety, które spoglądały na Ruppową z litością. Jej grzeczne i uparte, powtórzone dwukrotnie „proszę bardzo” miało taki bezradny, błagalny dźwięk. Rupp, mąż jej, siedział wyprostowany i patrzył na sędziów przysięgłych, właściwie trzymał oczy utkwione w jednej, znajdującej się wśród przysięgłych kobiecie, która siedziała w pobliżu trybunału. Pani Róża Budecker była kobietą mniej więcej czterdziestopięcioletnią - wdową po pułkowniku, zabitym na wojnie; miała sklep z cygarami na rogu ulicy Bulowa. Od samego początku procesu Rupp usiłował nawiązać jakąś łączność z tym członkiem ławy przysięgłych świadomie, czy też - co jest bardziej prawdopodobne - nieświadomie. Ku niej kierował swoje zeznanie, unikając oczu sędziego, a kiedy zjawiał się jeden z tych mimowolnych dowcipów sądowych, śmiał się i spoglądał na nią jowialnie, jak gdyby sam osobiście przyczynił się do jej zabawienia. Droste zdawał sobie sprawę, że wzrastała w nim nie licująca zupełnie z godnością sędziego tępa niecierpliwość i wrogość w stosunku do tego rubasznego okazu człowieczeństwa. Ruppowi nie można było

dowieść niczego - a to robiło go dla Droste'go niesympatycznym, i inercja Droste'go opadła znowu, gdy moment ten minął, nie wydobywszy nic nowego na światło dzienne. Sędzia czuł się zmęczony, ale wziął się w karby.

Oskarżona znowu zapanowała nad sobą. Nie mdlała, nie płakała, ani nie dostała ataku hysterii. Wstała i, trzymając się mocno ławy, powiedziała wyraźnie.

- Proszę bardzo... ja zawsze mówiłam prawdę. Mieliliśmy truciznę w domu z powodu szczurów w piwnicy, goniły po całej kuchni w nocy, kiedy tam spałam. Mąż mój jej nie kupił - to ja sama - proszę bardzo - i żeby tylko to już skończyć i żeby było po wszystkim.

Patrzyła na swoje ręce i dopiero przy ostatnich słowach spojrzała na Droste'go. Przypadkowo zupełnie w tym momencie Droste przypomniał sobie jak raz spotkał Ruppową na schodach na Diisseldorferstrasse. Wracała właśnie od prania, była w poważnym stanie i spociała się jak teraz; z grzeczności przycisnęła się do poręczy, aby go przepuścić. A potem ukradła, a teraz popełniła morderstwo. Jeżeli nawet jej młodemu obrońcy uda się obronić ją od kary śmierci i jeżeli sędziowie przysięgli i rzeczoznawca zgodzą się na zmniejszony stan odpowiedzialności, to jeszcze w każdym razie czeka ją wyrok dziesięciu, dwunastu czy piętnastu lat więzienia. Droste był zadowolony - co odczuwał często - że nie skazuje się i nie uwalnia człowieka stosownie do swego uczucia, ale kieruje się ustalonymi przepisami prawa; prawo decyduje o karze, a nie człowiek, nie pojedynczy sędzia, który może być przedenerwowany, stronniczy, lub przejęty litością. Dzięki Bogu za to! - pomyślał sędzia. Teraz, gdy załamanie się oskarżonej minęło nie powodując zmiany jej zeznań, Droste odroczył rozprawę na dwie godziny. Potrzebował odpoczynku.

Droste był z siebie niezadowolony. Od początku tego dnia prowadził proces bez zapału - sennie, nudno, bez rezultatu i sucho. To wronal - pomyślał, gdy mijał po drodze do

swego gabinetu grupy ludzi, stojących na korytarzu. Szaleństwem jest brać weronal o pierwszej nad ranem, a potem wstawać o siódmej. Jeżeli się nie śpi przez osiem godzin po zażyciu weronalu, następny dzień jest zupełnie stracony. Ból głowy, obrzękły język, suchość w gardle. Zaledwie doszedł do swego gabinetu, wyciągnął fajkę i zaczął palić gwałtownie: Wiedział, że nie powinien tego robić, psuło mu to apetyt i jeszcze bardziej wysuszało gardło, ale nie mógł się powstrzymać. Było z tym to samo, co z weronalem. Zrobiło mu się gorąco w todze, ale nie mógł się zdecydować, aby ją zdjąć. Był zbyt przybity, żeby iść do bufetu i zjeść cokolwiek. Rzucił się na krzesło i siedział z wyciągniętymi nogami, jak bokser po ciężkiej jakiejś rundzie. Sekretarz sądu, Perlemann, wszedł i zaczął się kręcić koło sędziego.

- Przypuszczam, że to potrwa dziś do piątej? - odważył się zapytać. -  
Widzi pan, dziś jest środa - dodał bez dalszych wyjaśnień.

Perlemann był przewodniczącym klubu kręglarskiego i zawsze zależało mu na wydostaniu się wcześniej z Moabitu w środowe wieczory.

- Zobaczymy - odpowiedział niewyraźnie Droste. -

- Czy mam przynieść panu coś z bufetu. Szklanek portweinu i bułkę z szynką - zaproponował Perlemann nie zwracając uwagi na odpowiedź Droste. - Tego diabła nie położymy za pięty - dodał wychodząc z pokoju.

Wyrażało to w żargonie sądowym akurat to samo, co myślał także sędzia. Nagle poczuł, że zmęczyła go ta cała historia. Jeżeli Ruppowa upierała się stanowczo, aby wziąć całą winę na siebie - w takim razie rliechaj mąż jej idzie sobie wolno. Nikt nie interesował się sprawą tych nędzarzy; wynik sprawy nie może mieć żadnego wpływu na jego karierę. W rzeczy samej tylko obawa przed wydaniem niesprawiedliwego wyroku dręczyła Droste, tego urodzonego sędziego - tak, jak fałszywy akord dręczy urodzonego muzyka...

Koniuszkami palców gładził w górę i w dół czarny welwet togi. Wszedł Steiner gruby i jowialny, jeden z asesorów..

- Nie ma chyba nadziei dojścia dziś do końcowych mów, drogi kolego - rzekł. - Czemuż ta idiotka chce koniecznie kłamstwem wyciągnąć męża z całej tej historii?

Wszyscy zdawali się mieć dość tego procesu; wszyscy chcieli widzieć już jego koniec; sam Droste chciał się już go pozbyć.

- Bruhne przedstawił nieskończenie długą listę świadków - rzekł. Bruhne był to młody adwokat z urzędu, któremu powierzono obronę oskarżonej.

- Bruhne jest skończonym osłem - oświadczył Steiner. Miał okrągłą twarz z bliznami po pojedynku i okrągłą, błyszczącą łysą głowę. - Można się założyć, że będzie gadał przez dwie godziny. Ach, ci młodzi adwokaci! - Steiner westchnął żałośnie.

- Niech pan pójdzie ze mną, panie Droste - wyjdziemy z tej kamiennej skrzyni. Mamy czas, aby pójść do Nettelbecka.

- Dziękuję. Zjem w bufecie - odpowiedział Droste i wyjrzał przez okno. Zobaczył tylko brudne, czerwone cegły więzienia śledczego.

- Zgoda. Kto nie chce, już ma to, co chce - rzekł Steiner i wyszedł. Droste opróżnił fajkę, włożył ją do szuflady i zaczął palić papierosy.

Nettelbeck była to mała wytworna restauracyjka z doskonałą kuchnią, do której jeździli na obiad bardziej znani adwokaci, sędziowie i asesorzy, którzy nie byli zmuszeni żyć wyłącznie ze swoich pensji. Przed ślubem Droste zwykł często chodzić do Nettelbecka, zarówno w przerwie obiadowej, jak i wieczorami. Ale teraz ten zadymiony, raj męski z wysiedzianymi kanapami z czerwonego pluszu, słynną sarnią pieczenią i burgundem, nie był już dla niego. Westchnął, gdy tak siedział w swym biurze, wpatrzony w czerwone mury więzienia naprzeciw. Musiał być ostrożny z wydawaniem

pieniędzy pomimo miesięcznego zasiłku, jaki Ewelina otrzymywała od swego ojca. Znowu już wydali za dużo. To ta kuracja arsenikową Eweliny oraz Fraiilein... Budżet ich nie wrócił jeszcze do równowagi od urodzin Barchen, a Marianna - chociaż w najlepszej intencji - wciągała ich w kosztowne rozrywki towarzyskie. Trzy razy w ciągu ostatniego tygodnia jechał taksówką. Sędzia pomyślał, że znowu musi odłożyć kupienie nowych butów. Było mu trochę siebie żal. Wyrzekął się tylu rzeczy, aby tylko Ewelina i dzieci mogły mieć wszystko, co im było potrzebne. A Ewelina - pomyślał - nie jest bardzo zaradna.

Myślał o tym ze wzruszeniem i czułością; jak gdyby niezaradność Eweliny była jakąś specjalnie rzadką i cenną właściwością. Od Eweliny myśli jego zrobiły znowu skok ku Ruppowej. A potem wrócił Perlemann i postawił przed nim porto i przekąskę ze zbyt tłustą szynką.

Nadeszło popołudnie i proces ciągnął się dalej. Powietrze w sądzie było stęchłe, na dworze, gdzieś na świecie, spływały strugi deszczu i zamroczyły okna. Zapalono światła, w których wszystkie twarze wyglądały blado. Przedefilowała niekończąca się procesja świadków. Droste żałował, że był uступliwy i pozwolił podnieconemu obrońcy na sprowadzenie tych wszystkich niepotrzebnych świadków. Prokurator robił ironiczne uwagi - i miał rację. Między Drostem a prokuratorem dr. Rodnitzem panowało zawsze pewne napięcie. Rodnitz zanadto czuł się jak na scenie; jego mowy oskarżycielskie były zbyt efektowne, by mogły być rzeczowe. Rodnitz chciał szybko zrobić karierę; był ostry, urzędowy - i oskarżony nie był przy nim godny zazdrości. Droste rozumiał ambicję; on sam chciał iść naprzód - i rzeczywiście miał reputację jednego z najbardziej obiecujących wśród młodszych sędziów - ale szedł do celu zupełnie inną drogą. Był opętany niemal przenikliwym, prawie pedantycznym poczuciem sprawiedliwości.

Odznaczył się w trzech wielkich procesach. Wyświetlił

sprawę słynnego włamania do Banku Narodowego i zmusił przywódcę bandy włamywaczy do przyznania się do winy przed sądem przysięgłych. Przeprowadził wydanie surowego wyroku w sprawie aktorki Kogel, która zastrzeliła swego kochanka z zazdrości; wyroku, który z początku wzbudził zdziwienie, a potem przeświadczenie o jego słuszności. Udało mu się wtedy przekonać ławę przysięgłych, która czuła pewną niewyraźną sympatię dla zazdrości i dla zazdrosnej kobiety, że zazdrość jest uczuciem prymitywnym i że zbrodnie z zazdrości nie mogą być tolerowane. W tej sprawie reprezentował poglądy nowego, nowoczesnego, myślącego bardziej liberalnie pokolenia sędziów. Jego największym dotychczas czynem, z którego nawet był trochę dumny, była sprawa ucznia gimnazjum, Wienera. Wiener, blade siedemnastoletni młodzieniec, oskarżony był o zastrzelenie swej, szesnastoletniej przyjaciółki, też uczennicy gimnazjum, nazwiskiem Meyerheim. Droste utorował sobie drogę poprzez gąszcz splełanych wykrętów, kłamstw wystraszonych uczniów, fałszywych informacji rodziców i nauczycieli - i udało mu się udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że dziewczynka Meyerheim popełniła samobójstwo i że Wiener był niewinny. Wiener został uniewinniony. Teraz miał zajęcie w fabryce w Gdańsku i zawsze przysyłał sędziemu pocztówki na Nowy Rok.

W sprawie Ruppowej nie można było zyskać ani sławy ani osobistego zadowolenia. Droste słuchał nic nie mówiących zeznań świadków i zauważył, że chrypcie coraz bardziej. Napił się wody, która była ciepła i miała stęchły smak. Byli świadkowie, którzy twierdzili, że Ruppowa była porządną kobietą, a jej mąż brutalem. Byli świadkowie, którzy mówili, że jej mąż mógłby dojść do czegoś lepszego, ale przez swoją żonę został zupełnie zniszczony. Byli świadkowie, którzy wprost zdawali się wyrażać zadowolenie, że stara pani Ruppowa, zmora całego domu, na koniec umarła, choćby nawet na skutek zbyt dużej dozy trucizny na szczury; w końcu byli

tacy, którzy przychylali się do opinii, że stara pani Rupp to święta i męczennica, która - zanim została zamordowana - musiała znosić niekończące się szykany i męczarnie.

Przesłuchano lekarza Kasy Chorych, który zeznał, że stara pani Rupp cierpiała na raka żołądka i tak czy tak umarłaby niedługo. Badano dzieci Ruppów - każde z osobna - trzy dziewczynki i chłopca. Przed wypowiedzeniem każdego słowa rzucali onieśmiałe spojrzenia na matkę, która siedząc na ławie oskarżonych, zdawała się nie troszczyć zupełnie o dzieci.

Jeżeli nadarzała się tutaj sposobność pozyskania sympatii sędziów przysięgłych dla matki, która - rozdzielona ze swymi dziećmi - siedziała w więzieniu, to Ruppowa nie zrobiła z tej sposobności żadnego użytku. Siedziała nieruchoma i ciężka, z twarzą pochyloną nad swoją ciężką postacią, jak gdyby te dzieci w ubrankach z sierocińca były dla niej niczym.

Zresztą, dzieci nie miały do powiedzenia nic, co by posiadało jakiegokolwiek znaczenie. Dwoje z nich miało czerwone włosy i piegi matki. Członkini ławy przysięgłych, pani Budecker poczuła litość i Rupp zamienił z nią sentymentalne spojrzenie. Droste wtrącił się, aby zakończyć badanie najstarszego dziecka, chłopczyka - i kazał Wprowadzić młodego człowieka z apteki.

Wszystkie te zeznania świadków miały na celu wyjaśnienie, czy zachodził tu wypadek morderstwa, czy też zabójstwa. Czy szczury w suterenie Ruppów były naprawdę taką plagą, jak utrzymywała Ruppowa? Czy prawdą było, że zawsze i stale używała trucizny, aby je wytepić? I czy rzeczywiście w przystępie rozpaczy, kiedy właściwie nie odpowiadała w całej pełni za swoje czyny, wsypała tę truciznę na szczury, która zawsze była pod ręką, do jedzenia swej świekry? Czy też poszła do apteki i kupiła tam truciznę z zimnym rozmysłem, aby zamordować staruszkę? Ruppowa twierdziła, że przed dokonaniem tego czynu nie



spala przez trzydzieści dwie godziny. Przez cały dzień prała na mieście, wieczorem zajmowała się dziećmi, mężem i gospodarstwem; w nocy chora świekra jęczała i krzyczała na nią i domagała się, aby jej doglądać i dotrzymywać towarzystwa.

Dzieci i sąsiedzi potwierdzili to do pewnego stopnia. Tak, Ruppowa pracowała przez cały dzień i rzeczywiście staruszka krzyczała w nocy. Wszyscy byli do tego tak przyzwyczajeni, że przestali zwracać na to jakąkolwiek uwagę.

Młodzieniec z apteki pocił się bardzo i wiedział mało. Nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek sprzedawał Ruppowej truciznę na szczury. Ale to nie dowodziło, by nie kupowała jej od niego. Musiał obsłużyć tyle pań - nazywał Ruppową panią - i miał złą pamięć wzrokową. Zresztą znaleziono pakiet z resztą trucizny na szczury i etykietą tej drogerii w mieszkaniu Ruppów, tak że zeznanie jego nie było istotne. Droste zwolnił młodzieńca. Miał uczucie, że ta sprawa Ruppów będzie ciągnęła się w ten sposób wiecznie. Nachylił się do Steinera i zapytał cichym głosem: - Czy mamy przejść dzisiaj do zeznań ekspertów, czy też odłożyć to do jutra?

- Moje zapotrzebowanie na dziś jest zupełnie pokryte - powiedział Steiner sarkastycznym tonem studenta korporanta.

Z sześciu członków ławy przysięgłych dwóch, według wszelkich oznak, spało. Droste zwolnił dzieci Ruppów; odeszły one pod opieką pielęgniarki o surowej, męskiej twarzy. Jeszcze trzy osoby, które Droste zatrzymał, siedziały na ławie dla świadków. Siedziały w wymuszonych pozycjach, jak ludzie, którzy wiedzą, że są obserwowani. Cały świat wydawał się zmęczony, tylko współoskarżony Rupp był wesoły. Położył rękę z kwadratowo zakończonymi palcami na ramieniu swego obrońcy i z uśmiechem szepnął mu coś do ucha.

Nagle Bruhne, obrońca Ruppowej, wstał i zaczął przemawiać.

- Dobrze - mówił chwytając się w zdenerwowaniu za swoje binokle. - Dobrze. To zupełnie możliwe, że nie ustalimy dokładnie, czy trucizna znajdowała się już w domu, czy też została kupiona dopiero rano szesnastego października. Ale Prześwietny Trybunale i panowie sędziowie przysięgli! -jeżeliby nawet została ona zakupiona dopiero tego dnia, czy dowodzi to już morderstwa? Nie, mówię sto razy: nie! Mamy tu matkę i żonę, która spodziewa się dziecka; wymęczoną nadmiernie i ciężko pracującą kobietę. Przez trzydzieści dwie godziny nie spała - usłyszeliśmy to z jej własnych ust i z zeznań świadków. Panie i panowie sędziowie przysięgli! Czy ktokolwiek, kto nie spał przez trzydzieści dwie godziny, znajduje się w normalnym stanie umysłu? Czy może odpowiadać za swoje czyny? Niestety, nie uwzględnia się należycie nieznośnego ucisku, w jakim żyją klasy pracujące, a ja...

Droste słuchał tego najpierw ze zdziwieniem, a potem z irytacją. Interpretacja faktów przez Bruhnego była nie tylko słuszna, ale absolutnie oczywista dla każdego. Droste ze swą wrażliwą, subtelną naturą nie mógł znieść orator-skiego stylu Bruhnego. Czuł, że zaczyna mu walić w skroniach.

- Czy szanowny obrońca nie uważa za stosowne, aby zachować te cenne uwagi dla swej mowy końcowej? - zapytał ostro. Ochrypnięty był teraz jak kruk i głos jego skrzypiał. W sali sądowej rozległ się śmiech i Droste nie wiedział, kto jest tego przyczyną: on czy obrońca. Szybko chwycił karafkę z wodą i nalał sobie szklanekę. Wyglądała jak rycyna i miała nie o wiele lepszy smak. Bruhne zaczął protestować. Droste już miał zamiar mu odpowiedzieć, ale się powstrzymał.

- Gdy obrońca skończy, chciałbym zadać kilka pytań oskarżonemu Ruppowi - oświadczył spokojnie. Bruhne uciszył się natychmiast i usiadł. Na nowo zaczęto się śmiać.

Droste rozejrzał się po sali. Ławy publiczności przerzedziły się. Dałby bardzo wiele, aby wiedzieć, że Marianna znajduje się tam, ale daremnie szukał wzrokiem jej czapki.

Marianna zazwyczaj nosiła taką czapkę, jak nikt inny: płomienną, czerwoną flagę, za pomocą której oznajmiała o swej obecności.

- Słyszeliśmy już, że Ruppowa zanim kupiła truciznę nie spała przez trzydzieści dwie godziny - powiedział - musiała się zajmować chorą i skarżącą się świekrą. Czemu oskarżony nie pomyślał o tym, aby żona jego mogła odpocząć? Co pan robił w ciągu nocy? Czemu pan nie zastąpił swej żony?

Rupp stanął i utkwiał oczy w pani Budecker. Ilekroć myślał ciężko, uszy jego poruszały się w górę i na dół.

- Nie byłem w domu - rzekł w końcu.

- Nie mówię specjalnie o tej nocy, kiedy matka pańska umarła... ale przedtem przez cały czas. Gdzie pan był?

Uszy Ruppowa poruszyły się w górę i na dół.

- U swego przyjaciela - rzekł.

Ruppowa zrobiła ruch, jakby chciała coś powiedzieć.

- Pani Ruppowa - powiedział Droste.

Ruppowa wstała, złożyła ręce pod brzuchem jak gdyby chciała go podtrzymać i rzekła cichym głosem:

- Mąż mój, proszę pana, był u swego przyjaciela. Chodził tam co tydzień - do kolonii robotniczej w Grüne Weide. Pomagał swemu przyjacielowi w ogrodzie, a w zamian za to otrzymywał j arzyny i j aj a.

- Jak się nazywa ten przyjaciel?

- Brösig - rzekł Rupp - Józef Brösig, kolonia Grüne Weide. W tym czasie kopaliśmy kartofle i przyniosłem z sobą do domu kilka funtów. A kiedy wróciłem do domu, stało się nieszczęście.

- Dobrze - rzekł Droste - wezwiemy tu na jutro pana Józefa Brösiga.

- Proszę bardzo - rzekła Ruppowa. Usiadła znowu i patrzyła z zadowoleniem na swe ręce. W tym samym momencie Rupp podniósł rękę do góry, jak chłopiec w szkole. Droste spostrzegł znowu na jego czerwonej twarzy ten przelotny błysk strachu.

- Rupp mówi - oznajmił obrońca - że nie jest pewny czy Brosiga można tam jeszcze znaleźć.

- Dobrze - rzekł Droste - my go już znajdziemy. Wstał i przerwał rozprawę do następnego ranka. Kartkę papieru, leżącą przed nim, pokrył rysunkami wielkich kiści winogron; było to jego złe przyzwyczajenie. Teraz zanotował nazwisko i adres tego Brosiga. Miał fenomenalną wprost pamięć dla nazwisk, cyfr, numerów telefonów, adresów. Sąd odroczył się wśród pomieszanych odgłosów szurania, kaszłania. Ruppowa podreptała przed swym strażnikiem, jak cierpliwa krowa, wracająca do obory. Rupp przed odejściem podciągnął spodnie. Był to zwykły, brutalny, ordynarny męski odruch przyzwyczajenia. Oczy Drostego pobiegły w ślad za nim. Kazał wysłać wezwanie na świadka dla Brosiga. Czekać na tramwaj gwizdał „Chór Pielgrzymów”. Pomimo zmęczenia poczuł przypływ energii. Miał uczucie, że ten Brósig rzuci nowe światło na całą sprawę.

Tramwaj był zatłoczony, sędzia z trudem musiał torować sobie drogę na przednią platformę i znużony odbywał swą podróż, kołysząc się naprzód i w tył. Gardło go paliło, toteż odrzucił papierosa, którego właśnie zapalił. Zadowolony był, że wraca do domu.

Gdy przyszedł do domu nie mógł od razu znaleźć Eweliny. Nie było jej w ich sypialni, gdzie znajdowała się zazwyczaj o tej porze, zwinięta na łóżku, w kłębuszek, jak kotka. Z uśmiechem poszperał wśród rozrzuconych w nieładzie pudełek, przyborów do szycia i książek; bezmyślnie wziął kwiat ze stolika przy jej łóżku i odłożył go z powrotem na miejsce; wreszcie poszedł do łazienki, aby przepłukać gardło. Słyszał głosy dzieci w sąsiednim pokoju dziecięcym i z radością poszedłby do nich, gdyby tylko śmiał, ale Fraulein utrzymywała, że przynosi z sądu miliony mikrobów i niewątpliwie miała słuszność. Zadowolił się na chwilę płukaniem gardła chłodnym, kojącym płynem, który pachniał

kminkiem. Przestał z uczuciem winy, gdy Ewelina weszła do łazienki, i poprosił ją o aparat do inhalacji.

Przez mniej więcej dziesięć minut udało mu się nie myśleć o sprawie Ruppowej. Ale gdy szedł do pokoju dzieci, znalazł leżącą w przedpokoju wieczorną gazetę. Otworzył ją, stojąc przeczytał sprawozdanie z porannej rozprawy; poczuł złość z powodu nieścistości i gdy wchodził do pokoju dzieci, opętany był na nowo Ruppową i Brosigiem.

- Kurcik! - zawołała z entuzjazmem Clarchen i wyciągnęła do niego ramiona. Siedziała zamknięta na krzeselku ze stosem drewnianych klocków przed sobą i z twarzą, całą umazaną sokiem malinowym.

- Dobry wieczór, młoda damo - rzekł Droste potrząsając jej małą lepką rączką. Zawsze nazywała go Kurcikiem; nie uchwyciła jeszcze w zupełności stopnia pokrewieństwa w rodzinie i przekonana była, że ojciec jest jeszcze jednym dzieckiem jej matki.

- Kogo spotkałeś, Kurciku? - zapytała gotowa wybuchnąć śmiechem. Kurcik umiał opowiadać cudowne historie.

- Spotkałem policjanta - odpowiedział bez wahania - który był wysoki jak dom... nie, nie, trochę wyższy... i mógł doskonale patrzeć ponad dachy. - Urwał... mówienie wyczerpywało go; zresztą, nic mu nie przychodziło dalej na myśl. Podeszedł do Barchen i spojrzał na niego nieśmiało. W gruncie rzeczy bał się trochę tego niemowłęcia, które wyglądało wątko i niezupełnie apetycznie. Clarchen bębniła po swym małym stoliczku i chciała usłyszeć coś więcej o wysokim policjancie. -

Dzieciom nie powinno się opowiadać bajek, kiedy kładą się spać, to je tylko denerwuje - rzekła kwaśno Fraulein. Droste wycofał się. Był zmęczony i zgłodniały.

- Zobaczę cię jutro rano, młoda damo - rzekł. Kręcił się niecierpliwie po bawialni, słyszał, jak Weronika stuka naczyniami - i czuł coraz większy głód, czekając aż Ewelina wezwie go do stołu. Pragnął gorąco, aby mógł nie mówić;

w rzeczy samej miał nadzieję, że zastanie tu Mariannę; Marianna mogła mówić ciągle. Ilekroć Marianna wchodziła do pokoju, miało się wrażenie, że wносиła z sobą świeże, ożywcze powietrze. Gdy znajdowała się w pokoju tylko przez parę minut - pokój stawał się już ciepły; jak gdyby ona sama była małym, żarzącym się piecykiem. Ale Marianny nie było tu tego wieczora.

Była środa; wedle ustalonej kolei były więc na kolację: jajecznica i pikling - potrawy, których Droste nie znosił. Zbyt małą wagę przywiązywał jednak do jedzenia, aby kiedykolwiek miał mówić, iż tego czy tamtego nie lubi, ale delikatne ości piklinga zdawały się gromadzić w jego rozpalonym gardle i zwiększać jeszcze chrypkę. Jadł z grzeczności - i z grzeczności rozmawiał. Zadowolony był, gdy Ewelina obrała mu jabłko i pogładziła go po włosach. Patrzył na nią, gdy wychodziła z pokoju, aby przygotować aparat do inhalacji. Miała najbardziej uroczą figurę i najłżejszy chód, jaki zdarzyło mu się widzieć u jakiegokolwiek kobiety; poza tym była zawsze łagodna i uprzejma. Miał wyrzuty sumienia, jak nieraz, gdy patrzył na Ewelinę. Zawód jego pochłaniał go - wiedział o tym - a to, co zostawało, to nie było wiele. Nic nie wychodziło z tego, że chodził w starych butach i w południe jadł tylko bułkę z szynką. Nie mógł wyzbyć się wobec swej żony uczucia niewypłacalnego dłużnika.

Usiadł przed kłębami pary, wznoszącymi się z aparatu inhalacyjnego i wchłaniał je głęboko z uczuciem wdzięczności. To nonsens wzywać tego Brósiga - pomyślał - jak gdybyśmy nie mieli już dosyć tych niepotrzebnych świadków. Nie było żadnego innego powodu dla wydania tego wezwania, jak tylko ten, że Rupp poruszył uszami, gdy wymienione zostało nazwisko Brosiga. Naraz Droste zobaczył przed sobą twarz tego człowieka - jego niebieskie, ufne, szklane oczy - i był przekonany, że wzywając Brosiga, postąpił słusznie.

Nałożył przykrywkę na płomień lampki spirytusowej

i odetchnął swobodniej i z zadowoleniem. Powietrze pachniało teraz żywicą i to przynosiło mu ulgę; przedtem miało taki słodkawy, stęchły zapach kwiatów, jak na pogrzebie. Wieczór był coraz przyjemniejszy. Radio nadawało Beethoyena - tkliwą, jasną i równą, radosną melodię Symfonii Pastoralnej.

Do pokoju wróciła Ewelina. Weszła cicho i - gdy podniósł głowę - stanęła nagle przy nim. Patrzył na nią prawie przez minutę w zdumieniu: taka była piękna. Patrzył i nie mógł zdać sobie sprawy, na czym polegała zmiana. Nie była umalowana, jak myślał z początku; nie była uczesana inaczej-nosiła tę samą suknię, co zwykle. A jednak wydało mu się że przez długi czas nie patrzył na nią; że żyjąc z nią w takiej codziennej bliskości, zapomniał, jak wygląda naprawdę. Stanęła za jego krzesłem, a on, znużony, oparł o nią głowę. W atmosferze ciepła czuł bicie jej serca - bicie delikatne i szybkie, jak u ptaka. Powstrzymał uśmiech. Kochana mała żonka - pomyślał pobłaźliwie.

Przed ślubem sędzia miał kilka przygód miłosnych -cztery, czy pięć zwykłych miłostek, jakie ma każdy przeciętny mężczyzna. Marianna nie należała do zwykłych. To była krótkotrwała namiętność, wahająca się między wrogością a przyjaźnią, i nagle minęła. Droste nigdy nie wiedział, czy to on porzucił Mariannę, czy ona jego.

Potem spotkał Ewelinę i zakochał się w jej srebrzystej miękkości. Droste robił ogromną różnicę między stosunkiem swym do Eweliny a przeżyciami, jakie łączyły go z innymi kobietami. Wydawała mu się jak instrument, na którym można grać tylko cicho. Była taka grzeczna, uprzejma, taka niewinna i nienaruszona. Powstrzymywał się - czuł, że zbyt namiętne słowo, lub zbyt silne poruszenie przerazi ją i oddali od niego na zawsze. Jego małżeńskie życie miało blade, delikatne, pastelowe barwy. Droste przyzwyczał się do tego i zapomniał, że znał gorętsze kolory

- wulgarne barwy niebieskie, czerwone i zielone.

Tego wieczoru panowało dziwne napięcie, drganie w powietrzu, które budziła muzyka, płynąca z radia. Takie nastroje stały się rzadkością; było się żonatym, miało się dzieci... Przed i po i pomiędzy porodami były miesiące oszczędzania żony i spokoju. Ewelina usiadła na krawędzi krzesła Drostego, a kiedy przytuliła się do niego - zdawało się, że wszędzie, na całej jej skórze, biją drobne pulsy. Budziło się w nim uczucie słodkie i czułe, pod którym ukrywała się namiętność. Znowu spojrzął na Ewelinę zdumiony. Oddawała mu się, nie wiedząc o tym. - Mała myszko -szepnął czule - mała myszko...

Tej nocy był bardzo szczęśliwy - szczęśliwszy, bardziej zadowolony i zaspokojony, niż kiedykolwiek w ciągu całego swego małżeńskiego życia. Leżał koło Eweliny, z ręką opartą w ulubiony sposób na jej biodrach, i marzył czym mogłoby być ich życie wspólne, gdyby Ewelina dawała z siebie więcej. Wiele kobiet zaczyna żyć dopiero po drugim dziecku. Przesunął ręką po jej twarzy; usta jej były ciągle jeszcze otwarte. Pragnął zobaczyć swoją żonę z tą nową twarzą, z tymi otwartymi ustami - ale nie odważył się zapalić światła.

- Dobranoc, mała myszko - szepnął. Wdzięczny jej był za to ukojenie, które mu dała, i za to, że może teraz zasnąć bez narkotyku.

Ponieważ nie wziął weronalu, obudził się wcześnie. Rolety wydymały się delikatnie w otwartych oknach, na dworze było jeszcze szaro i cicho - tak cicho, że można było słyszeć ćwierkanie wróbli, a wóz z mlekiem, który turkotał po bruku ulicy, zdawał się wnosić na Diisseldorferstrasse niezwykle i nieprawdopodobny hałas. Droste leżał cicho przez jakiś czas i patrzył na swoją śpiącą żonę. Wyglądała zmęczona nawet we śnie.

Poduszka jej była pognieciona, a kołdra zsunęła się na ziemię. Droste ostrożnie ją podciągnął i przykrył Ewelinę. Potem przez dwadzieścia minut zastanawiał się, o co będzie pytał i co będzie mówił na procesie. Układał dialogi, w których świadkowie i obrońca dawali mu akurat te



mci, które mu były potrzebne. Wreszcie wstał wstrzymując oddech aby nie obudzić Eweliny, i z pantoflami w rękach poszedł na palcach do łazienki, aby zająć się swym ochryłym, rozpalonym gardłem. Gdy ubrał się i wszedł do jadalni, aby zjeść śniadanie, Clarchen siedziała już wyczekująco na jego krzesło. Śniadanie rozpoczynało się codziennie tą samą ceremonią. Szedł nie patrząc, zatopiony w myślach, do swego krzesła i -udając że nie spostrzega Clarchen - siadał na jej małych miękkich, ciepłych kolankach. Potem zeskakiwał jak gdyby ukąszony przez skorpiona i obróciwszy się, aby zobaczyć kto to jest, dostrzegł Clarchen i wybuchł strasznymi wyrzutami pod adresem młodej damy, która spletała mu takiego ligła Młoda osoba piszczała i śmiała się, aż jej łzy kapały z uciechy. Potem Droste brał ją na kolana i karmił ją swym własnym śniadaniem, kładąc łyżeczką jedzenie w małe łapczywe usteczka; następnie, gdy wytarł jej z brody żółtko jajka, szli trzymając się za ręce, do pokoju dziecięcego aby zobaczyć, co robi jej mały braciszek, który parując, wilgotny jeszcze, grzał się w swych pieluszkach Codziennie razem oburzali się na to nie zachowujące się jeszcze zupełnie w porządku dziecko, po czym Droste, pocałowawszy ich oboje, szedł do bawialni, aby uporządkować teczkę i przygotować się do pójścia do sądu. Była to godzinka, w ciągu której dzieci należały do niego, i to pozostawiało mu potem zawsze przez pierwsze godziny rozprawy delikatne, ciepłe uczucie zrównoważenia.

Tego ranka jednak zrównoważenie zostało naruszone. Zadzwonił telefon i do pokoju weszła Weronika z miną którą Ewelina nazywała „jej mina”. Weronika cierpiała na stałą nieufność wobec swych państwa. Przez całe życie służyła tylko w lepszych domach”. Nigdy też nie była zupełnie pewna, czy Drostowie naprawdę stanowią „lepszy dom” toteż najdrobniejsza okazja wystarczała do wzbudzenia w niej podejrzenia, że gotuje dla ludzi, których pozycja

socjalna jest o wiele niższa od Hammelsów w Goettingen, albo od Bottelheimsów na Alsenstrasse. Sędzia i jego żona mieli stałą trudność z przekonaniem Weroniki, że oni, radcowie Sądu Krajowego, są ludźmi rzetelnymi, dobrze wychowanymi i pochodzącymi z dobrych rodzin.

- Telefonowała gazownia, że jeżeli rachunek nie zostanie zapłacony, to zamkną państwu gaz - oznajmiła Weronika.

- Wielki Boże! - wykrzyknął Droste. - Nie został jeszcze zapłacony? Ależ ja...

Weronika patrzyła na niego tak, jak on zwykł patrzeć na włamywacza, próbującego wykazać fałszywe alibi. Drzwi zatrzasnęły się za nią. Droste pobiegł do swego biurka. Leżał tam rachunek za gaz, spoczywając majestatycznie obok czeku, który Droste wypisał na jego opłacenie. Był tak zirytowany, że poszedł prosto do sypialni i obudził Ewelinę. Później było mu przykro z tego powodu. Wyglądała tak niewinnie i bezradnie. Posłusznie zrobiła wysiłek, aby natychmiast wstać i naprawić swój błąd. Jeszcze, gdy jechał autobusem do Moabitu, przez głowę przemknęła mu przelotna refleksja, że małżeństwo to dziwna instytucja. W nocy trzyma się w ramionach drżącą kochankę, a rano robi się awanturę z powodu rachunku za gaz. Dziwne!

Ilekcio rozprawa trwa parę dni dłużej, sala sądowa nabiera czegoś swojskiego, familijnego. Te same twarze na ławie przysięgłych, na trybunie dla prasy, w części przeznaczonej dla publiczności. Tym samym krokiem wchodzi oskarżeni i ta sama mucha dokucza prokuratorowi, co przez dni poprzednie.

Pierwszą rzeczą, która nastąpiła w ten czwartek, była wiadomość, że Brösiga nie można sprowadzić do sądu. Świadek Brösig - jak informował papier, leżący przed Drostem, a następnie niższy urzędnik sądowy, do którego należało doręczanie wezwań świadkom - świadek Brösig rzeczywiście był właścicielem małej działki w kolonii Grüne Weide, ale sprzedał swoją małą posiadłość przed przeszło pięcioma mie-

siacami i pojechał do Wittenbergu, gdzie pracuje w jakiejś piarni.  
Adwokat Rupp zerwał się z miejsca.

- Sądzę, że sąd może obejść się bez tego świadka - wykrzyknął. -  
Oskarżony powiedział mi już, że w istocie nie spędził on nocy w  
mieszkanu Brósiga. Było to niezręczne i bezsensowne kłamstwo. Ale tu  
nie zachodzi kwestia ustalenia jego alibi. Wiemy w każdym razie, że  
Rupp nie był w domu w nocy, poprzedzającej śmierć jego matki. Wiemy  
również, że był w domu, kiedy jadła ona tę zupę, która przyniosła jej  
śmierć. W istocie nie ma znaczenia dla rozprawy wzywanie Brósiga na  
świadka. Wprowadziłoby to jedynie nowe opóźnienie. <sup>J</sup>

- Jestem tego samego zdania, panie obrońco - rzekł Droste. - Ale mimo to  
wszyscy chcielibyśmy wiedzieć, gdzie oskarżony spędził naprawdę noc z  
czternastego na piętnasty października.

Ruppowa siedziała wyprostowana, patrząc na męża z o warty ustami,  
Najwidoczniej kłamstwo męża zaskoczyło ją zupełnie.

Rupp podniósł się z wolna i przygotowywał się do udzielenia odpowiedzi  
na pytanie. Obrońca wyglądał zmartwiony i zadowolony jednocześnie - z  
miną, która wyrażała: „Już wy tam zobaczycie”.

- Jeżeli pan sędzia chce wiedzieć, to spałem na ławce w Tiergarteme -  
powiedział Rupp.

- Rozumiem. Ale dlaczego nie był pan w domu?

- To proste. Bo nie mogłem znieść już dłużej tej nędzy kobieta zadreślała,  
się i zamęczała... i te krzyki przez całą

- Chce pan powiedzieć, że nie mógł pan już dłużej patrzeć na cierpienia  
swej matki? - powiedział Droste, nadając jego odpowiedzi formę gotową  
do zaprotokołowania.

- Nie nie to mam na myśli. Mówię o żonie. Nie kłopotalem się bardzo o  
matkę - powiedział Rupp i popatrzył na

przysięgłą Budecker. Gdy to powiedział, tępa twarz Ruppowej przybrała tak bardzo ludzki pełen pokory i wdzięczności wyraz, że wyglądała teraz jak twarz innej zupełnie kobiety. Ruppowa wyjęła chusteczkę i tarła ją między palcami.

- A dlaczego pan powiedział, że był pan u Brósiga?

- Ze względu na żonę. Żona moja, widzi pan, myślała, że pracuję z Brosigiem - i nie chciałem żony czarować...

- On chce powiedzieć: rozczarować - wtrącił obrońca.

- Rozumiem. A skąd pochodziły kartofle, które pan przyniósł ze sobą do domu?

Rupp milczał i zaczął się lekko pocić. - Czy muszę na to odpowiedzieć? - zapytał.

- Nie - powiedział Droste - ale prawdopodobnie będzie dla pana lepiej, jeżeli pan odpowie.

Upłynęła chwila, zanim Rupp przygotował sobie odpowiedź. Na jego niskim czole zarysowała się zmarszczka, wargi poruszyły się jak gdyby czytał odpowiedź z książki.

- Ukradłem te kartofle, panie sędzio - rzekł w końcu. - Teraz to już wszystko jedno, więc może pan wiedzieć. Odsiedziałem to już tym siedzeniem w areszcie śledczym. Ukradłem kartofle na targu na Wittelnbergplatz: wracałem wczesnym rankiem z Tiergartenu, gdy je wyładowywano - pamiętam dobrze, byłem sztywny i zziębnięty od spania na ławce - i pomyślałem sobie: No trzeba skądś wystarać się o żywność dla żony i dzieciaków, tak czy inaczej...

Rupp stał się bardzo wymowny. Żona patrzyła w jego usta wzrokiem osoby głuchej lub nieprzytomnej, jak gdyby wsłuchiwała się w dochodzącą z oddali muzykę.

Droste stawiał jeszcze tu i ówdzie jakieś pytanie, nawet asesora Mullera rozochocił się i zadał kilka pytań, ale w końcu musieli dać spokój tej sprawie. Rupp siadł z powrotem, prawie w aureoli męczeństwa dokoła swej okrągłej głowy.

Również i tego dnia nie mogli dojść do mów końcowych, gdyż jeden z rzeczoznawców zagłębił się w niemający końca wykład na temat umysłowości brzemiennych kobiet. Był to

jego ulubiony konik i nie sposób było go zatrzymać. W każdym razie jasne było, że jego ogólne i szeroko ujęte zapatrywania mogły mieć dodatni wpływ na ten poszczególny wypadek Ruppowej. Droste stawał się senny; nie mógł tego powstrzymać. Starał się uważnie słuchać, co mówił rzeczoznawca, ak wbrew swej woli zaczął myśleć o stu innych rzeczach. Znowu pojawiła się myśl o rachunku za gaz i wierciła mu w mózgu. Ewelina przemknęła szybko - bezradny srebrzysty cień. Potem przyszedł mu na myśl tytuł filmu,

o którym czytał; chciałby któregoś wieczoru iść z Eweliną do kina, by zobaczyć ten film. W końcu spostrzegł, że pogrążył się w obliczanie miesięcznych wydatków domowych, podczas gdy profesor uwikłał się w gąszczach psychoanalitycznych.

Zarządził przerwę obiadową i zatelefonował do domu, że rozprawa będzie trwała długo. Wciąż miał jeszcze nadzieję, że uda mu się tego dnia dojść do końcowych przemówień.. Znużony prokurator na pewno załatwi się prędko ze swoją mową o godzinie piątej, a jasne już było prawie, jaki będzie werdykt. Zabójstwo i łagodzące okoliczności dla Ruppowej, uwolnienie dla jej męża. Droste podszedł do bufetu i napił się wody selcerskiej. Był znudzony i niezadowolony.

O godzinie czwartej - właśnie gdy miał wezwać Ruppową do złożenia ostatecznego zeznania - podbiegł Perlemann

1 położył przed nim list.

- Pilne - szepnął. Droste odwrócił list; wyglądał jak większość anonimowych doniesień. Tania koperta, niezdarne pismo, błędy ortograficzne w adresie. Otworzył list, kierując usprawiedliwiający uśmiech w stronę prokuratora.

**WYSOKI TR YBUNA LE!**

*W związku z morderstwem chcę się zgłosić jako ważny świadek. Nie gonię za pieniędzmi i wynagro-*

*dzenie dla świadków nie może mnie skusić. Chcę tylko przysłużyć się sprawiedliwości gdyż mogę dowieść, kto jest prawdziwym mordercą. Widziałem tego człowieka na własne oczy. Znajduję się na sali sądowej, gotów każdej chwili, gdy zostanę wywołany z nazwiska. Proszę Wysoki Trybunał mego zeznania me lekceważyć oczekując łaskawej decyzji*

*\* Pozostaję z poważaniem*  
*Marcin Kern*

Droste obeznany był z kwiecistym stylem, jakim nie-wykształceni ludzie zwykli wyrażać się w piśmie. Uśmiechnął się i wzruszył ramionami, a potem wręczył list asesorom. Nie miał najmniejszej ochoty dać nowemu świadkowi sposobności do produkowania swych nudnych głupstw. Nastąpiła krótka dyskusja; przysięgła Budecker wpadła w zdenerwowanie. Zdawała się być zdania, że przesłuchanie tego dobrowolnego świadka przeistoczy całą żalosną historię Ruppów, razem ze świekrą i trucizną na szczury, w jakąś cudowną, niebiańską sielanekę, i że z jakiegoś zupełnie nieoczekiwanego kąta wyczarowany nagle zostanie prawdziwy, czarny jak węgiel morderca. Przybyła do tej sali żadna sensacji i bardzo chętnie gotowa by była poświęcić tej sprawie jeszcze ze dwa tygodnie. Droste westchnął głęboko - i zaczęto szukać w sądzie Marcina Kerna. Marcin Kern był to chudy mężczyzna średniego wzrostu ze szklanym okiem, o którym już przy podawaniu personaliów zdołał powiedzieć, że stracił je na wojnie. Z początku me zaprzysiężone świadka, co zdawało się go bardzo martwić, i od razu wezwano go, aby powiedział wszystko, co wie.

Marcin Kern oświadczył wówczas, że widział oskarżonego Ruppę wieczorem, a raczej w nocy z czternastego na piętnasty października, oraz że Rupp niósł maty pakunek który mógł tylko zawierać truciznę na szczury. Po kilku pytaniach

okazało się, że twierdzenie jego o truciznie na szczury było tylko przypuszczeniem, nie mającym żadnych podstaw. Ale to przynajmniej zostało stwierdzone, że Rupp w nocy z 14 na 15 października zatrzymał się w piwiarni u wdowy Ohnhausen przy Rittergasse. Kern zatrudniony był tam przez krótki czas w barze. Rupp widywał tam często. Zdawało się, że żywił do niego głęboką i na niczym nieopartą nienawiść. Noc tę pamiętał tak dokładnie, ponieważ następnego dnia, 15 października, został z posady zwolniony.

W krzyżowym ogniu pytań, Rupp przyznał na koniec, że tak było istotnie. Rzeczywiście był w szynku pod „Niebieskim Jeżem”. Pakunek, który świadek widział, była to flaszczyka z lekarstwem z Kasy Chorych dla jego matki. Jeden przyjaciel zaprosił go na kieliszek wódki, potem Rupp poszedł do Tiergartenu, gdzie spał na ławce.

- Czy ten przyjaciel także wyprowadził się do Wittenbergu? - zapytał prokurator drwiąco.

Droste spojrzął na leżący przed nim list świadka, chętnie zarysowałby go wszędzie kciukami winogron. Obserwował spod spuszczonej powieki Ruppową. Obudziła się ze swego otępienia. Na jej bladej twarzy widać było więcej piegów, niż kiedykolwiek. Szeptła coś do swego obrońcy, potrząsała głową. Twarz jej wykrzywiona była jak gdyby od bólu, a ona sama przyciskała rękę do boku, jak gdyby straszliwie cierpiała. - Miejmy nadzieję, że nie urodzi dziecka tu, w sądzie - pomyślał Droste. Czuł, że coś wisiało w powietrzu; coś, co mógł tylko wyczuć, a czego nie mógł sobie uświadomić.

Godzina piąta minęła. Przerwał rozprawę.

- Oskarżona jest wyczerpana - powiedział, spoglądając usprawiedliwiająco w stronę trybuny prasowej. - Jutro przejdziemy do końcowych przemówień.

Oburzony był na tę niemiecką używaną w sądzie, do której sam przywykł; był przecież miłośnikiem piękna i wyrafinowanej kultury: książki, muzyka, bezradna słodycz Eweliny...

Spojrzał ze smutnym wyrazem oczu na Ruppową, która wpatrywała się na zmianę to w jedną, to w drugą swoją rękę z miną istoty nieprzytomnej. Strażnik więzienny musiał trącić ją w ramię, zanim zrozumiała, że ma być teraz wyprowadzona z sądu.

Sala sądowa opróżniła się szybko.

Droste zadowolony był, gdy, powróciwszy, zastał w domu Mariannę. W przedpokoju poczuł zapach kalafiorów, Weronika znowu pozostawiła otwarte drzwi do kuchni. Marianna była głodna i zadowolona.

Opowiedziała całą masę anegdotek - jedną po drugiej - tak jak przychodziły jej do głowy i przypisywała je różnym sławnym ludziom. Droste zaśmiewał się... aż bolało go gardło; pieczeń miała smak zbyt ostry. Spojrzał na Ewelinę i powziął podejrzenie, że nie rozumie najlepszych puent w historiach Marianny. Stwierdził, że Ewelina wygląda tego wieczoru lepiej, niż zazwyczaj. Policzki jej były trochę zaróżowione, a białka oczu miały niebieskawy odcień, tak jak przed urodzeniem dzieci. Droste był estetą. Znajdował zadowolenie w lekkich odcieniach. „Symfonia Pastoralna”... Szary krajobraz Corota... Oczy Eweliny; jej delikatne i zawsze trochę opuszczone ramiona...

Właśnie, gdy Droste miał zaproponować, że zabierze je obie do kina, wystąpiły z wiadomością, że jadą na weekend do Geltow. Na chwilę doznał uczucia rozczarowania. Miałby ochotę zatrzymać Mariannę i poprosić ją, aby przyszła na rozprawę. W tej samej chwili jednak doznał również ulgi. Odroczył rozprawę, ponieważ miał niejasne, niewyraźne uczucie, że do rana będzie musiał wyjaśnić sobie dokładnie nową sytuację, która polegała na tym, że Ruppowa chwycono na kłamstwie nie tylko wobec sądu, ale i wobec własnej żony. Droste czuł, że samotny wieczór będzie mógł doskonale zużytkować dla siebie samego.

Marianna dotrzymywała mu towarzystwa, gdy Eweliny nie było w pokoju. Od razu poinformował ją o tym, w jakim stadium znajduje się obecnie proces.



- Gdybym była na twoim miejscu, obejrzałabym sobie wdowę Ohnhausen
- rzekła Marianna paląc papierosa w długiej, zielonej cygarniczce.
- Po co? - zapytał Droste.

Marianna namyślała się przez chwilę, ale odpowiedź jej miała niewiele wspólnego z pytaniem.

- Nie jesteś zbyt dobrym psychologiem, Puszel! - powiedziała w końcu. Brzmiało to przesadnie ironicznie i niejasno. Ale użyła nazwy z ich dawnych wspólnych dni i Droste doznał nagle pragnienia, by jej dotknąć i poczuć ją w swych ramionach.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał z niemądrą miną.

- Jesteś jednym z tych szczęśliwych ludzi, którzy nie wiedzą nic o zazdrości - powiedziała Marianna, patrząc na niego w zamyśleniu. Zanim jeszcze zdążył odpowiedzieć, w drzwiach ukazała się Ewelina, ubrana do drogi. Widział jak bardzo była podniecona i uśmiechnął się czule, gdyż wzruszyło go, że wycieczka do Geltow mogła być dla niej tak wielkim wydarzeniem.

Gdy były już na schodach, dał im swoje błogosławieństwo i wrócił do mieszkania.

- Otwórz okna, Weroniko - powiedział. Walczył z sobą trochę, ale dał za wygraną i zapalił fajkę. Teraz, gdy całe mieszkanie miał sam dla siebie, było ono o wiele większe i o wiele wygodniejsze. Nastawił radio, wyłowił z eteru „Czwartą Symfonię” Czajkowskiego i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju.

Było po wpół do dziesiątej, gdy nałożył palto i wyszedł z domu. Wieczór był chłodny; północno-wschodni wiatr unosił kurz i kręcił nim w powietrzu. Droste zatrzymał pierwszego spotkanego policjanta i zapytał go o Rittergasse. Powiedziano mu, że to niedaleko od Alexanderplatz, wobec czego pojechał koleją podziemną. Czekał w chłodnym zaduchu węglowym podziemnej stacyjki, wsiadł do pustego

pociągu; pojechał, wysiadł, czekał, przesiadł się, jechał, przesiadł się znowu, jechał, wysiadł... Przez cały czas w myślach miał pustkę. Powtarzał w głowie jak refren idiotyczny wierszyk, reklamujący w wagonach pastę do' obuwia - i nie myślał o niczym. Był to odpoczynek, jakiego zażywał rzadko.

Teraz stanął na Alexanderplatz i rozglądał się dokoła: Tutaj biło jedno z wielu serc Berlina; światło, hałas, ruch, ludzie, ścisk, twarze, głosy, trąbki samochodów, gazety, reklamy. Jakaś ćma nocna krążyła wśród tego wszystkiego. Droste wziął taksówkę i pojechał na Rittergasse pod numer 10. Przejeżdżał przez nieznane sobie ulice, brudne i źle oświetlone, których nazw nie słyszał nigdy, ale po drodze rozpoznał więzienie dla kobiet, które zwiedzał raz jako młody asesor. Za zakrętem wygląd dzielnicy zmienił się na lepsze; nieco dalej - z wielu domów wychodziły dziewczęta, a potem znowu szarość spotęgowała się - i auto stanęło. Droste rozejrzał się naokoło i znalazł „Niebieskiego Jeża”. Była to mała restauracja w suterenie, wyglądająca jak tysiąc innych w Berlinie. Gdy sędzia zszedł ze cztery stopnie w dół, zaczął już żałować, że wybrał się na tę wyprawę na północ. Był to skutek zbytniego wyczerpania, pomysł lunatyka. Oszklone drzwi zawieszane były żółtawą firanką. Gdy Droste je otworzył, uderzył w niego typowy zapach zimnych smażonych kartofli, rozlanego piwa i dymu cygar. W pierwszym pokoju był bufet. Za kontuarem, pokrytym cynkową blachą, stał pomocnik i nalewał piwo. Był zdrowy i zadowolony, o silnych muskularnych ramionach, obnażonych po łokcie i nieco wytatuowanych. Przypominał bardzo Ruppą -nie z twarzy, ale z typu. Paru mężczyzn stało przy bufecie; mimochodem popatrzyli na Drostego - i pili dalej. Sędzia powitał ich nieco zaambarasowany i przeszedł szybko do sali za bufetem. Tutaj stało pięć stołów: okrągły pośrodku pokoju, długi przy ścianie, oraz trzy mniejsze, które stały, gdzie tylko dało się je pomieścić. Przy dwóch grano w karty.

Rodzaj znaku klubowego - młodzieniec z lanego żelaza, trzymający podniesioną flagę - stał na długim stole. Siedziało przy nim grono stałych bywalców --lepsza klasa rzemieślników, którzy rozmawiali o polityce i robili przy tym dowcipy. Droste usiadł przy piątym stole i zamówił szklankę piwa. Usługiwał mu niechlujny kelner z wielkim zezem. Potem przyszło jeszcze trzech mężczyzn i usiadło przy okrągłym stole - Pani Ohnhausen! - zawołał któryś z nich. W odpowiedzi na to otworzyły się w tylnej ścianie pokoju szklane drzwi, zawieszona bawełnianą zasłoną w czerwonej kratkę -i weszła właścicielka lokalu.

Pani Ohnhausen była kwitnącą osobą, liczącą mniej więcej trzydzieści pięć lat. Była kobieca aż do nieprzyzwoitości i zdawała się nie mieć o tym pojęcia. Wszystko w niej było zagięciem, dołeczkiem, skórą, płcią. Ubrana była lepiej, niż można by się spodziewać po kobiecie z tej sfery. Wszyscy mężczyźni zwracali ku niej oczy. Pozdrowiła trójkę przy okrągłym stole i położyła rękę na ramieniu jednego; podczas gdy rozmawiała z innymi. Potem podeszła do stołu swych stałych gości - i jak można było wywnioskować - sama opowiedziała najlepszy dowcip. Jeden z siedzących aż uderzył w stół z uciechy, a drugi - szczuplejszy i starszy - omal nie udusił się od śmiechu.

Droste przyglądał się spod opuszczonych powiek, aż źrenice jego oczu stały się podobne do główek od szpilek,

W pani Ohnhausen nie było nic prowokacyjnego. Miała naturalną uprzejmość gospodyni wobec klientów, a jednak robiło to wrażenie czegoś nieprzyzwoitego. Droste spoglądał za nią, gdy jej pulchna postać zatrzymała się na chwilę przy drzwiach, a potem poszła do bufetu. Dla Droste'go, w jej pełności kształtów, w jej ufnym w siebie głodzie życia było coś odpychającego, jak w jakimś przytłaczającym wszystko zapachu, albo zbyt krzykliwym kolorze. Pomimo to nachylił się i - zajrzał sponad swej szklanki z piwem do bufetu.

Pani Ohnhausen stanęła teraz koło posługacza w barze. Stała tam, kołysząc się lekko, nieomal zgrabna pomimo swej tuszy. Patrzyła z uśmiechem na ramiona mężczyzny. Był to uśmiech leniwej, zaspokojonej kobiety, przyglądającej się zabawie małych zwierzątek.

Droste wstrzymał oddech... Ta kobieta i posługacz... Ta kobieta i Rupp... Powoli wciągnął oddech znowu, a potem zakaszłał. Bolało go gardło. Wypił piwo szybko, rozkoszując się jego chłodem i goryczą. Zapłacił i wstał.

Teraz wiedział, jaki ma brać kierunek następnego dnia.

## **VII. PIĄTEK: ON.**

Rokowania z członkami Chambre Syndicale des Importeurs des Fruits ciągnęły się bezlitośnie przez cały ranek. Gdy na koniec przyszło do podpisywania kontraktu, Franciszek był tak zniecierpliwiony, że nie miał nawet czasu na osuszenie bibułą swego podpisu. Franchetot pedantycznie wziął suszkę i wszystko załatwił za niego w porządku.

Franciszek Davis zbiegł jak szalony ze schodów do taksówki - i na Gare du Nord. Miał niemiły posmak. To, że na koniec udało mu się wepchnąć Francuzom czterdzieści tysięcy skrzyń swoich pomarańczy po skandalicznej cenie, było jednym z tych wątpliwych sukcesów, które kosztują drożej, niż zwyczajna porażka.

Jadąc taksówką, przeżuwał jeszcze po trosze swoje obliczenia. W końcu jednak udało mu się odrzucić poza siebie jednym ruchem całą tę sprawę i przygotować się na przyjazd Eweliny. Radował się myślą o niej. Radość nagromadziła się w nim tak intensywnie, że go to aż zdumiało. Droga do stacji zdawała się nie mieć końca i Franek trzymał oczy utkwione niecierpliwie w zegarku na ręce. Był na pół przytomny ze strachu, że spóźni się na pociąg i bez przerwy obsypywał szofera różnego rodzaju zachęcającymi groźbami i obietnicami.

Pozostało mu wspomnienie o Ewelinie jako o osobie bez-

radnej. Jeżeli minie się z nią, mogą się w ogóle nie spotkać. Uśmiechnął się na myśl o jej smukłej postaci, która zawsze wyglądała, jak gdyby wiatr ją skądś przywiał. Jeżeli nie przyjadę w porę na dworzec, zajmą się nią panie z Ligi Opieki nad samotnymi dziewczętami - pomyślał. Nagle myśli jego przeskoczyły od Eweliny do Pearl, jego żony.

Pearl nie znosiła, by wychodzono po nią na stację. Twierdziła, że zawsze po długiej jeździe pociągiem robi się wrażenie nieumytej, i że okrucieństwem jest spotykać kobietę, zanim się umaluje.

Pearl była uosobieniem bezwzględnej samodzielności; była chłodna, energiczna i zajmująca. Mówiła i robiła dużo rzeczy nieoczekiwanych, ale nigdy nic takiego, co by było choć trochę nie na miejscu. Franciszek ożenił się z Pearl, ponieważ uważał ją za najpiękniejszą dziewczynę, jaką kiedykolwiek widział. Była wymagającą żoną i Franek pogodził się z tym faktem. Małżeństwo z nią stało się zajęciem dość wyczerpującym, nie pozostawiającym zbyt wiele czasu na odpoczynek. Było w nim coś chłodnego, jasnego i szklanego, sama Pearl nazywała ich dom na Long Island: „Aquarium”. Zważywszy wszystko, cudowną rzeczą było mieć Pearl za żonę, toteż Franciszek był mężem bez zarzutu - tam, w Ameryce... Ale gdy jechał do Europy - popuszczał sobie cugli. Większość jego przyjaciół zachowywała się tak samo i drobne przygody miłosne po drugiej stronie oceanu nie miały znaczenia. Franek nie mógłby żyć bez kobiet - i jak wszyscy mężczyźni tego rodzaju - czuł się z tego dumny. -Tydzień bez kobiety niszczy mi zdrowie - zwierzał się przyjaciołom. Teraz rozdzielony był z Pearl już od przeszło trzech tygodni. Cieszył się szalenie, że ją zobaczy jutro, w sobotę, na „Berengarii”!...

Gdy Franek doszedł w myślach do tego punktu, zatrzymał się i roześmiał pobłaźliwie z samego siebie. Auto zatrzymało się przed stacją: Ewelina! Oczekiwanie przygody z Eweliną przemieszało się zupełnie i splotło z radością zobaczenia

Pearl. Serce waliło w nim, rzeczywiście waliło. Zadowolenie to miało nienormalną cechę, było skutkiem dwu krzyżujących się z sobą pragnień, zamiast jednego nudnego, szczerego i uczciwego.

Zapłacił szoferowi i popędził na stację. Ręka jego skierowała się ku włosom i krawatowi. Spędził dziesięć poważnych minut, zastanawiając się nad jego wyborem; wybrał niebieski z niewyraźnym złocistobrazowymi kropkami, który doskonale pasował do tonu jego cery. Jak wszyscy mężczyźni, był próżny, w sposób bardzo silny i bardzo dziecinny, i jak u wszystkich mężczyzn próżność ta koncentrowała się na tym jednym, małym kolorowym przedmiocie, który jest dla nich dozwolony. Krawat jego był hołdem dla Eweliny; próbą wywarcia na niej natychmiastowego i silnego wrażenia.

Pearl ze swej strony знаła na pamięć wszystkie jego krawaty i robiła ironiczne żarty na ich temat, no - ale oni byli małżeństwem.

Było dwie minuty po nadejściu pociągu, gdy wszedł na peron. Wzdłuż całego pociągu całowano się, witano, tragarze nieśli pakunki. Słychać było płacz i śmiechy, krzyki i gwizdanie. Francuzi podróżują mało - przyjazdy i odjazdy są dla nich wielkimi zdarzeniami, które też muszą być należycie obchodzone.

- Halo! - rzekła Ewelina - i on odwrócił się szybko. Jak głupiec, szukał wzrokiem białej sukni, chociaż nikt nie był ubrany na białą w ten chmurny majowy dzień. Ale widział ją trzy razy - również i ostatni raz w białej sukni - i tak pozostała mu w pamięci.

- Halo! - powiedział i uśmiechnął się. Wydawała mu się prawie obca, bardzo dystygowana w czarnym sportowym kostiumie i w białej bluzce. Nie używała pomadki do ust, bez niej usta miała bezbarwne, prawie białe.

- Wygląda pani zachwycająco - powiedział po francusku. Był nieco zaambarasowany.

- Gdzie są twoje rzeczy? - dodał i przeszedł na angielski.

Wskazała mu tragarza, który stał z jej walizką, czekając spokojnie.

Franek wziął Ewelinę pod rękę - i poszli.

Zrobiła na nim wrażenie nieco bardziej obce, aniżeli się spodziewał - tak, jak gdyby nigdy nie siedzieli razem w gorącej kabinie kąpielowej. Ale ostatecznie - obca czy nie obca -przyjechała do Paryża i mają przed sobą dzień i noc, aby poznać się lepiej. Na razie prowadził rozmowę: - Znasz Paryż? - i - Jak przeszła podróż? - i - To cudowne z twojej strony, żeś przyjechała.

Na to powieki jej lekko zatrzepotały i powiedziała z odcieniem frywolności. - Uważałam, że mała przejażdżka dobrze mi zrobi.

Siedzieli w taksówce w milczeniu. Franek ostrożnie wziął ją za rękę, która była zimna, i trzymał ją mocno. Patrzyła z przejęciem przez okno, jak gdyby te nie mające końca niezbyt ponętne ulice, przez które przejeżdżali, były jakoś specjalnie interesujące.

- Darling - szepnął czule. Uśmiechnęła się.

- Wszystko to jest zupełnie nierealne - powiedziała. Nie pocałował jej jeszcze. Małżeństwo z Pearl nauczyło go nie demonstrować swych uczuć. Madame przyjęła Ewelinę dyskretnie i grzecznie - i Ewelina zachowała się akurat tak, jak zachowałyby się Pearl.

Franek zauważył w duchu, jak to miło mieć miłostki z dystyngowanymi kobietami.

Przypomniął sobie z rozbawieniem i przestrawieniem, jak kilka razy w życiu musiał się rumienić z powodu niewłaściwego wyboru towarzyszk.

Winda wyjątkowo działała, zatrzymała się jednak na drugim piętrze i resztę drogi odbyli pieszo. Franek poszedł za Eweliną. W ciągu paru minut, kiedy szli z drugiego piętra na trzecie, po raz pierwszy świadomie uchwycił prawdziwy obraz jej osoby. Była o wiele ładniejsza, niż myślał. Franek umiał ocenić prawdziwą wartość.



- Tutaj mieszkamy - rzekł otwierając drzwi. Był jeszcze trochę zakłopotany i starał się nie dać tego po sobie poznać.

Mała bawialnia ze zwykłymi, obitymi jedwabiem meblami. Na kominku z imitowanego marmuru stało jakieś popiersie z imitowanego marmuru. Franek czuł się nieswojo, albowiem pokój ten miał w sobie wstrętą banalność, jaką odznaczają się stare, renomowane hotele, szczycące się swym konserwatyzmem.

Ewelina podeszła szybko do okna i wyjrzała na ulicę. Franek odebrał od służącego jej walizeczkę i zamknął drzwi.

- Dachówki... - powiedziała od okna. Wszystko to było bezsensowne. W następnej chwili wziął ją w ramiona. Drżała. On także zaczął drżeć. Oswobodziła się i podeszła prędko do kominka. - Józefina! - zawołała, jak gdyby witała swoją krewną.

- Kto? - zapytał Franciszek zdumiony.

- Józefina Beauharnais - odpowiedziała Ewelina, gładząc figurkę po gipsowych policzkach.

- Wy, Niemcy, jesteście tak wykształceni - wymamrotał Franciszek.

Błede wargi Eweliny uśmiechnęły się do niego.

- Jak długo możesz tu zostać? - zapytał. Była to tylko zwykła grzeczność, gdyż za wszelką cenę musiał być następnego dnia na „Berengarii”.

- Jutro wieczorem muszę być z powrotem - odpowiedziała.

- Możesz polecieć samolotem i wrócisz na czas z łatwością - rzekł.

Ewelina patrzyła na niego w zamyśleniu, jak gdyby nie usłyszała. - Nie myślmy o jutrze - powiedziała i zamilkła.

Franek wziął walizkę i zaniósł ją do jej sypialni. Gdy tylko otworzył drzwi, wionął ku nim zapach róż - cały pokój był pełen tego zapachu.

Franek uświadomił sobie ze zmarszczką, że Madame miała genialne natchnienie, aby postawić na stoliku nocnym bukiet czerwonych róż. Był to

gatunek ciemnych róż, które więdną szybciej, ale pachną silniej, niż wszystkie inne. Ewelina przytuliła do nich twarz -Och, dziękuję ci - powiedziała. Zabrzmiało to porywczo i trochę przesadnie. Franek cieszył się, że kwiaty zrobiły jej przyjemność. Dla jego umysłu symboliczne ofiarowanie róż było w najwyższym stopniu niesmaczne. Z dreszczem pomyślał o komentarzu, jaki zrobiłaby Pearl na temat tego rodzaju galanterii.

Zostawił ją samą i poszedł na drugą stronę małego pokoju. Rolety były na wpół zasłonięte - to także bezwstydną ze strony tej Madame... Łóżko nie stało też, jak zwykły przedmiot z drzewa, ale jak trzecia natrętna, żywa osoba... Franek otworzył wytapetowane drzwi.

- Niestety, mamy tylko jedną, wspólną łazienkę - powiedział. - Te francuskie hotele nie stoją pod tym względem na wysokości. Mój pokój jest po drugiej stronie. - Zakasłał i dodał: - Biorą nas tu za małżeństwo. Ewelina popatrzyła na niego z uśmiechem, wyrażającym prawie litość.

- Doprawdy? -zapytała... - ależ ty jesteś przeciwieństwem żonatego mężczyzny.

- Tak myślisz? - zapytał. W tej samej chwili uświadomił sobie, że Ewelina bierze go za człowieka nieżonatego. Był to zwykły przypadek, że nigdy nie mówił o swym małżeństwie. Zawahał się na ułamek sekundy, ale nie był to czas na opowiadanie Ewelinie o Pearl, poza tym - rozstrzygnął - to nie obchodziło jej nic, absolutnie nic.

Poszedł do łazienki i odkręcił kurek z gorącą wodą.

- Pewnie będziesz chciała się wykapać - powiedział. Ewelina przyjęła to z wdzięcznością. Odpakowała swój

mały neseser i zaniósła rzeczy do łazienki. Teraz leżały tam -jej pasta do zębów obok jego, jej gąbka obok jego. Ewelina zauważyła tę bliskość z dziwnym uczuciem. On także czuł w tej chwili, że stali się sobie bardziej bliscy. Chodził za nią z łazienki do sypialni i z powrotem; tam i tu. Z walizki wyjęta

została nocna koszulka - cienka i biała, z koronką koloru kości słoniowej - i spoczęła na łóżku. Franek uśmiechnął się ze zdumieniem i przyjemnością. Miał przesądne poglądy na temat bielizny Niemek, i było to dla niego wielką przyjemnością i wielką ulgą, że Ewelina posiadała takie same kokietyjne przedmioty, jak Pearl lub Marion.

- Już - rzekła i spojrzała na niego wyczekująco. Ukląkł i chciał zdjąć jej z nóg buciki.

- Mogę ci pomóc? - zapytał.

- Nie.

- Nie?

- Nie, proszę cię.

Franek pomyślał nad tym przez chwilę.

Czasami psuje się wszystko, gdy się usłucha kobiety, a czasami gdy się jej nie usłucha. Spojrzał w twarz Eweliny. Oczy jej były ciemne i błękitne i bardziej promienne, aniżeli myślał, ale pełne strachu. Pocałował ją szybko w kostkę nogi i powstał. W każdym razie mężczyzna klęczący stał się komicznym obrazem w naszych prozaicznych czasach.

- Postaraj się, aby to nie potrwało długo, kochanie - rzekł lekko - nie trzeba, abyśmy się spóźnili na świętą godzinę dejeuner .

Szybko chwyciła jego rękę i przyłgnęła pocałunkiem do dłoni, potem zacisnęła na niej swoje palce, jak na monecie. Franek, stojąc potem w swoim własnym pokoju i telefonując do Marion, miał wciąż jeszcze w ośrodku nerwowym ręki to niespodziewane uczucie palenia.

Teraz, gdy Ewelina naprawdę przyjechała, trzeba było odwołać zaproszenie Marion na ten wieczór. Nie zrobił tego przedtem z obawy, aby nie zostać na lodzie. Czuł się nieswojo, czekając na połączenie.

- To nie jest zupełnie w porządku - pomyślał przelotnie, ale nie umiałby powiedzieć, czy zarzut ten dotyczył jego zachowania wobec Marion, czy wobec Eweliny. Ostrożność

ma w sobie zawsze coś nieszlachetnego, ale handel pomarańczami uczy człowieka ostrożności.

- Hallo, hallo, Joujou? - zabrzmiał w telefonie usłużny głos Marion. - Nie widziałam cię od wieków... Flora robi wielkie przygotowania na twoje przyjęcie dziś wieczór.

Franek opanował się: zawsze działało to na niego jak wstrząs, gdy Marion nazywała go nazwami zabawek, zwierząt, lub jarzyn.

- Kochanie - rzekł - stało się nieszczęście.

- Mon Dieu! - wykrzyknęła Marion z ogromnym przerażeniem. - Coś złego?

- Nie tak okropnie złego... żona moja przyjechała. Nie mogę zobaczyć się z tobą dziś wieczorem, a wyjeżdżamy jutro z samego rana - nie będę mógł nawet pożegnać się z tobą.

Marion nie od razu odpowiedziała. Ale przyjęła to z dobrą miną.

- Jak to miło dla ciebie, że żona twoja jest tutaj - odpowiedziała pogodnie.

- Kiedyż odpływa twój okręt? A którym pociągiem odjeżdżasz? Kiedy przyjedziesz znowu do Europy? Przyślij mi depeszę zawczasu.

Franek zamruczał do tuby jakieś słowa podziękowania i kilka czułości.

Stawał się niecierpliwy, gdyż otworzyły się drzwi łazienki - stanęła w nich Ewelina patrząc na niego pytająco. Urwał od razu i pozwolił mówić samej Marion.

- Adieu, mon petit. Cudownie było z tobą. Baw się dobrze. Bon voyage - Franek prawie nie słyszał, był już z Eweliną.

Wyglądała trochę inaczej, miała w sobie więcej blasku i była bardziej promienna, niż przedtem. Gdy całował ją, poczuł smak różu na jej ustach.

Aha - pomyślał - to coś nowego w tej małej kobietce z Berlina. W najmniej stosownej chwili przypomniał mu się jej mąż - i puścił ją.

- Czas na déjeuner - powiedział i wyprowadził ją z pokoju.

Na dole nastąpiła krótka zwłoka. Madame wręczyła mu telegram. Z Londynu, od Pearl: - „Korsarz ledwo doczekać się może poznania ciebie” - brzmiała depesza. Franek stanął zastanawiając się kim może być ten Korsarz. Nowy pies -przyszło mu do głowy. Musiał się uśmiechnąć. Ewelina stała przy nim i przyglądała mu się.

- Interesy - powiedział.

- Kobiety psują cię na każdym kroku - rzekła nieoczekiwanie. Patrzył na nią speszony. W Berlinie była łagodniejsza i bardziej sentymentalna. Pomadka do ust dodawała pikanterii nie tylko jej twarzy, ale całej istocie. - Zazdrosna? - zapytał z ożywieniem.

Nie odpowiedziała nic. Rzucił telegram do najbliższego kosza na śmieci. Jak każdy Amerykanin, Franek szczyił się, że zna dobrą małą restauracyjkę, w której nie ma ani jednego Amerykanina. Usadził Ewelinę na długiej kanapce pod ścianą w „Chez Rosset”, starannie dobrał menu i mówił, mówił za dużo i za prędko, jak nawet sam zauważył, śmieszne, że czuł się trochę zdenerwowany; ale sytuacja nie wydawała mu się taka zupełnie prosta, jaką powinna być.

Ewelina przyjechała od razu do Paryża w odpowiedzi na jego grzeczne telefoniczne wezwanie; to była odpowiedź, która mówiła sama za siebie. Ale jednocześnie Ewelina była taką drobną, delikatną i wątłą istotą, że budziła w nim onieśmienie. Nie mógł odnosić się do tego zupełnie tak jak do każdej innej miłości; było to raczej, jak pierwszy dzień miodowego miesiąca.

- Jak celofan... - powiedział Franek. - Pani otulona jest cała w celofan, czysta i nietknięta...

Ewelina wypła łyk wina i uśmiechnęła się. Wydawało się, że w tej sytuacji czuje się zupełnie pewna siebie.

Jestem głupcem - pomyślał Franek - niewątpliwie te cnotliwe panie z Berlina robią dość często takie wyprawy do Paryża. - Ujął jej rękę pod stołem. Nosila swoją obrączkę

ślubną. Ręka jej była chłodna, jak zawsze, i lekko drżała. Przelotny dreszcz znikł. Ewelina zaczęła mówić po francusku, co mu sprawiało przyjemność.

Nagle z kąta sali wyszedł jakiś mężczyzna, wyglądający niewątpliwie po niemiecku; podszedł do ich stołu i przemówił do Eweliny. Franciszek patrzył na tego jegomościa z niesmakiem. Miał rzadkie włosy koloru piasku i cwikier; policzek jego szpeciły trzy straszne blizny. Mówił do Eweliny głośnym gardłowym tonem, a twarz Eweliny - gdy odpowiadała mu - przybrała dziwnie bolesny wyraz.

Zasłona kryjąca dyskretnie drzwi do pokoju dla pań rozchyliła się i młoda, ale dziwnie nieponętna kobieta przyłączyła się do nieponętnego mężczyzny. Frankowi żal było Eweliny, że ludzi tego pokroju zalicza do grona swych znajomych. Kiedy oboje odeszli, wyglądała wyczerpana. Franek zapłacił rachunek i wyprowadził ją na ulicę. Białe słońce świeciło przez chmury.

- Co teraz? - zapytał z niezdecydowaniem.

- Tak, co teraz? - powtórzyła Ewelina.

- Wiesz oczywiście, co wszyscy kochankowie w Paryżu robią o tej porze?

- powiedział szybko. - Pytanie to trochę zarumieniło jej policzki. Może tylko czeka na to? - pomyślał

Franek. . .

- Wiem... zapuszczone rolety i tak dalej - powiedziała. - Czy podoba ci się taka miłość po południu?

Słowa jej miały akcent doświadczenia. „Czy podoba ci się?” -

powiedziała! Mówiła o „miłości po południu” jak znawca o temperaturze poszczególnych gatunków win. Franek szybko ujął ją za ramię i przycisnął je do siebie.

- Ale ja nie jestem takim typem-dodała.

Był zupełnie oszołomiony. - Jakim typem nie jesteś, a jakim typem jesteś? - zapytał. Stawał się trochę niespokojny.

Do Lasku Bulońskiego - pomyślał. Lasek Bulonski

jak wiadomo, ma niesłychanie zbawienny wpływ na rozwój przygód miłosnych.

Gdy tylko wsiedli do taksówki, niebo pociemniało i znowu zaczął padać deszcz. Krople uderzały o daszek auta. Ewelina w milczeniu wyglądała przez zroszone deszczem szyby. Stopniowo pomarańcze opanowały na nowo umysł Franka. Kontrakt... czterdzieści tysięcy skrzyń... każda ze stratą dwóch i jednej trzeciej centa - to dochodzi do dziewięciuset trzydziestu trzech dolarów z centami - strata blisko tysiąca dolarów. Nie licząc kosztów podróży. Ale to był początek na gruncie europejskim; zważywszy wszystko, zadowolony był, że to zrobił.

Zebrał myśli, gdy auto stanęło. Deszcz ustał znowu, ale wszystko ociekało jeszcze wodą. Franek ujął ramię Eweliny i gdy szli po mokrym żwirze do Pré Catalan splótł swoje palce z jej palcami. Wszystko to następowało automatycznie. Szkoda właściwie, że w miłości powtarzają się stale te same rzeczy, ale z drugiej strony dobrze jest również, że ustaliła się pewna rutyna. Dzięki niej wszystko jest prostsze i łatwiejsze. Franek czuł w sobie niepokój; wydawało mu się trochę śmieszne, że spędzają czas w przemoczonym od deszczu Lasku Bulońskim. Usiedli na zimnych, wilgotnych, żelaznych krzesłach i Franciszek zamówił dla Eweliny gorącą czekoladę. Jutro będzie już po wszystkim. Szkoda - pomyślał znowu. Może coś rzadkiego i cudownego mogłoby powstać z tego, gdyby miał czas zająć się Eweliną. Jakie ona ma śliczne srebrzyste rzęsy...

- Jesteś dla mnie zupełną zagadką - rzekła wypowiadając nagle głośno własne myśli. Przypatrywała mu się bacznie; twarz jej znajdowała się blisko jego. Cera jej - tak bliska - była gładka; gładka jak matowy metal.

- Powiedz mi, jak żyjesz? Skąd pochodzisz i dokąd idziesz? Co myślisz? Nie wiem o tobie nic.

- Wielki Boże, ależ to wywiad! - wykrzyknął z przerażeniem. Ale mimo to zaczął z wahaniem mówić o sobie. Nie

robił tego .nigdy przedtem. W miarę jak mówił, wypadki i rzeczy zaczęły nabierać barw i stawać się bardziej interesujące, aniżeli sam o nich myślał. Biuro w Nowym Jorku i podróże w interesie; statek w zatoce Long Island; stare plantacje w południowej Karolinie - Boże Narodzenia, gdy przychodzili Murzyni i śpiewali w polu dokoła wielkich ognisk; polowania, jazda konna; gaje pomarańczowe w południowej Kalifornii i dom w Santa Barbara. Jego młode lata w Chinach, na Kubie, na wojnie. Nie tak źle - pomyślał opowiadając jej to wszystko. W końcu zatracił się w swoich pomarańczach - założył eksperymentalną plantację, mającą na celu poprawę gatunku; były już słodkie i bez pestek, a teraz o to chodzi, aby miały również i aromat hiszpańskich, a potem...

- Czy nie myślisz absolutnie o niczym innym, gdy absorbują cię twoje interesy? - zapytała.

- Co masz na myśli? Nie... chyba nie. Tacy są wszyscy mężczyźni - powiedział.

Wyjęła mu nagle papierosa z ust, pociągnęła go kilka razy mocno, a potem oddała z powrotem. Było w tym coś odruchowego, jakaś nieoczekiwana intymność, pod wpływem której poczuł się niezaspokojony, niecierpliwy i pełen pragnienia.

- Opowiadaj dalej - powiedziała.

- Czy nie masz już dosyć? - zapytał z uśmiechem.

- Nie - powiedziała potrząsając głową. - Widzisz... tak wiele jest rzeczy... tak wiele muszę wiedzieć, abym mogła myśleć o tobie... później. -

Milczała przez chwilę i patrzyła mu prosto w twarz. - Pokarm dla wyobraźni - powiedziała uśmiechając się. - Abym sobie mogła wyobrazić cię... później... gdy odjedziesz.

- Nonsens - powiedział szybko. - Jesteśmy razem... nie ma żadnego później.

Ale nie dała się odwieść od swych myśli.

- Na przykład powinnam znać twoje ubrania. Znam



trzy... i żakiet wieczorowy. Ilekroć myślę o tobie, widzę cię w żakiecie wieczorowym. Powinnam zobaczyć jak jeździsz konno. Masz konie... czy jesteś bardzo bogaty?

- Och nie, po prostu nie jestem biedny, to wszystko -rzekł uśmiechając się na przekór samemu sobie.

Rozmyślała nad tym przez chwilę. - Wy, Amerykanie, macie inne pojęcia - powiedziała. Wzruszył ramionami.

- Jeszcze są kobiety? - rzekła. Franek zajęty był w tym momencie obserwowaniem jej nosa. Wewnątrz nozdrzy miała delikatna różowość, jaką widuje się u młodych klaczy arabskiej krwi.

- Co? - zapytał speszony. Nie powtórzyła pytania; patrzyła tylko na niego.

- Tak, oczywiście, są również kobiety od czasu do czasu -powiedział niezbyt chętnie.

- Powiedz mi, czy jest jakaś ważniejsza od innych? To znaczy... czy zdradzasz dziś ze mną jakąś kobietę? - zapytała.

Ma oczy jak małe dziecko - zauważył nagle. - Oczy jej mają najwyżej pięć lat.

- Tak - odpowiedział. Na ogół nie lubił kłamać. Ewelina przyjęła jego odpowiedź w milczeniu. Potem powiedziała: - Dobrze.

- Ty również masz męża - powiedział.

- Tak, ja również.

- Czy twój mąż wie, że jesteś w Paryżu?

- Tak. Naturalnie - odpowiedziała Ewelina.

- Czy wie, że ja jestem tutaj także? - zapytał Franek. Nie otrzymał odpowiedzi. Znowu wziął ją za rękę, którą przedtem cofnęła. Była zupełnie zimna i z wolna, gdy trzymał ją w milczeniu, ocieplała się pod jego dotknięciem.

W ciągu minut, które nastąpiły - gdy tak siedzieli spoglądając na ławki, sponad których unosiły się srebrzyste opary - Franek Dawis uświadomił sobie ze zdumiewającą jasnością, że żyje. Było to uczucie, w którym mieszały się: podnie-

cenie i spokój równocześnie. Czuł siebie samego i ciszę w sobie, o której już prawie zapomniał.

... Żyło się: hodowało pomarańcze, sprzedawało się pomarańcze, podróżowało się, robiło się pieniądze, wydawało się je, miało się ambicje, ożeniło się, osiągało się sukcesy... Giełda, samochody, kluby, poker, golf, radio - wszystko to było dobre. Wszystko normalne i potrzebne - tak, jak niosło je człowiekowi życie. Ale to tu - to popadanie w tęsknotę i znajdowanie w niej równocześnie głębokiego zadowolenia; ten swobodny oddech, ta głęboka cisza wewnętrzna i ten głęboki niepokój wewnętrzny; ten chaos, który jest życiem:

**O** tym się zapominało, gdy się żyło... Żyło się zbyt głośno

1 zbyt prędko, aby to odczuwać. I nagle znalazło się to wśród oparów nad łąkami; w ręce Eweliny, która pod jego dotknięciem stawała się ciepła, w cichym oddechu Eweliny, która oddychała zgodnie z jego oddechem.

- Połóż znowu rękę na moim sercu - usłyszał nagle swój głos. - Kocham cię - szepnął, gdy Ewelina patrzyła na niego zdumiona. I oto to śmieszne słowo wydobyło się z jego ust zupełnie nieoczekiwanie. Odruchowe kłamstwo.

- Ja wiem, ja wiem - odpowiedziała Ewelina przyświadczając, mu, jak dziecku. Zaczarowana chwila załamała się i przeszła.

Franek spojrzął na zegarek na ręce. Blisko piąta. A pociąg pośpieszny do Cherbourga odjeżdża o ósmej, trzydzieści rano. Już zapadał zmrok.

Ewelina wyglądała, jak gdyby mieli bezmiar czasu przed sobą, nim pójda do łóżka. Westchnął. Wezwał kelnera i zapłacił. Lasek pełen był dziecięcych głosów, śpiewania ptaków, sygnałów samochodowych, par miłosnych. Paryż był cudownym miejscem dla zakochanych.

- Do hotelu? - zapytał Franek po prostu z grzeczności. Ale okazało się, że Ewelina miała pomysły typowo niemieckiego pochodzenia.

- Muszę najpierw pojechać do Sainte Chapelle - oświad-

czyła i sama nawet rozmówiła się z szoferem. Franek był tym zupełnie skonfundowany.

- Czy gniewasz się o o coś? - zapytała zaraz, gdy tylko usadowiła się obok niego.

- Nie, tylko jestem niecierpliwy - odpowiedział zmuszając się do uśmiechu. Słuchała go tak, jakby śpiewał jej jakąś arię.

Franek miał niejasne uczucie, że słyszał już gdzieś o Sainte Chapelle.

Mruknął coś pod nosem na temat niemieckiego szalu na punkcie kształcenia się. Gdyby Pearl nie nauczyła go panowania nad sobą, mruczałby zupełnie głośno. Jechali wzdłuż Sekwany i przez most św. Michała - i zatrzymali się przed starym budynkiem.

- Przyjeżdżałem setki razy do Paryża i nigdy jeszcze tutaj nie byłem - poskarżył się.

- Nie chciałabym być kiedykolwiek w Paryżu i nie przyjść tutaj - odpowiedziała Ewelina.

Szła przodem, jak gdyby czuła się tu, wśród tych szarych kamiennych sanktuariów, jak u siebie w domu, przeszła małe podwórze i weszła do kaplicy. Franciszek pociągnął raz jeszcze pośpiesznie papierosa, a potem rzucił go i poszedł za nią.

Gdy znaleźli się wewnątrz pustej kaplicy, w której przez niebieskie szyby przeciskały się ostatnie promienie dzieńnego światła, Franek zdjął kapelusz i mimo woli przygładził włosy. Było to tak, jak gdyby znajdowali się wewnątrz kryształu. Cisza, świętość - mimo braku ołtarza. Ewelina stała przez kilka chwil w milczeniu, ze ściągniętymi brwiami, jak gdyby ciążył na niej jakiś przymus. Potem poszła przed nim krętymi schodami do górnej sali. Tutaj światło wpływało jeszcze bardziej czyste, bardziej niebieskie i bardziej intensywne. Franek miał uczucie jak gdyby go zamknięto w milczeniu i w kryształowym czarze tego miejsca - i bronił się przed nim. Czuł się tu jakoś śmiesznie w swym granatowym ubraniu i pięknym krawacie.

Dobrze i pięknie, ale bar u Ritza także jest niezły -pomyślał buntowniczo. Potem rozkrochmał się trochę i pozwolił, aby błękitne światło spłynęło i na niego.

Ewelina stała zupełnie nieruchoma; jej włosy zazwyczaj srebrzyste, były teraz także błękitne. Franek stanął za nią i ujął w ręce oba jej łokcie. W tej chwili coś się w nim zerwało i o władnęła nim niecierpliwa tęsknota za nią, tak, jak wówczas w kabinie kąpielowej. Stała nieruchoma w jego uścisku. W tej chwili jakiś człowiek ubrany na czarno zjawił się w rzeźbionych drzwiach, prowadzących na małą galeryjkę, chcąc prawdopodobnie zamknąć już kaplicę. Ewelina odwróciła się. Stała tuż przy Franku i patrzyła w twarz - nie w oczy, ale w usta.

- Chciałabym spać przy tobie - rzekła łagodnie. - Nie -dodała, zanim zdążył odpowiedzieć. - Naprawdę spać. Mam wrażenie, że nie spałam od czasu...

- Tak, darling? - zapytał. Ale nie dokończyła zdania. Milcząc zaprowadził ją do taksówki. W tym wszystkim było dla niego coś niezwykłego. To jest czulsze, słodsze - pomyślał szukając odpowiedniego słowa. W taksówce opanowały go wprawdzie na nowo myśli o czterdziestu tysiącach skrzyń pomarańcz i o tym, że sprzedał je o dwa i pół centa poniżej właściwej ceny.

Teraz w jednej chwili zapaliły się naraz wszystkie lampy wzdłuż Sekwany. Ewelina oparła się ciepło i lekko o jego ramię. Skupił całą energię - i udało mu się zapomnieć o pomarańczach.

## VIII. PIĄTEK: ONA

Rano, kiedy przedział doprowadzono już do porządku, okazało się, że pani Selma była wprawdzie zbyt korpulentną, ale równocześnie niezmiernie uprzejmą, dobroduszną i doświadczoną życiowo kobietą, z ironicznymi zmarszczkami pod oczami, charakteryzującymi dobrych znawców ludzi. Ewelina nie wiedziała, jak przetrwać te ostatnie denerwujące godziny przed przyjazdem do Paryża, gdyby nie towarzystwo i pomoc tej damy. Od chwili, gdy Franek do niej zatelefonował, Ewelina znajdowała się w stanie katastrofy; jakiegoś wielkiego, nawet śmiertelnego niebezpieczeństwa. Przybyła do Paryża nie jak pasażer wagonu sypialnego drugiej klasy, ale jak ktoś wyrzucony tam przemożną siłą eksplozji - prosto na Gare du Nord, w sam środek dymu, sadzy, dźwięków obcego języka, zapachu obcego miasta, w wir nieznanej i nieodgadnionej przyszłości. Właśnie pani Rabbinowicz była tą, która jej przyjazdowi nadała trochę zwykłych norm i porządku. Pani Rabbinowicz знаła Paryż bardzo dobrze; jeździła tu cztery razy do roku, aby kupować nowe modele dla swej krawieckiej pracowni w Bukareszcie. Nakarmiła Ewelinę herbatą i bułkami, znalazła jej tragarza, wcisnęła jej w rękę adres hotelu i numer telefonu na wypadek, gdyby znalazła się w trudnościach. A kiedy zobaczyła Ewelinę stojącą na peronie z rozczarowanym i bezradnym

wyrazem, wzięła ją pod rękę i poprowadziła z sobą ku wyjściu.

- Czy nikt na panią nie czeka? - zapytała.

A Ewelina odpowiedziała bladymi wargami: - Nie wiem, zdaje się, że nie...

. Ewelina kupiła bilet z pieniędzy przeznaczonych na gospodarstwo i pozostało jej jeszcze tylko dziewiętnaście marek; suma nie wystarczająca absolutnie na opłacenie biletu z powrotem. Ale szczególna rzecz: myśl o powrotnej drodze ani na chwilę nie przyszła jej do głowy. Ewelina była na to za bardzo oszołomiona, gdy wyjeżdżała z Berlina. Jeżeli Franek nie spotka jej na stacji, zostanie bez pieniędzy, zagubiona w Paryżu. Przez całą noc przewidywała to dokładnie i lękała się tego tak bardzo, że teraz była prawie pewna, że się to stanie. Albowiem przechodziło jej siły wyobrazenie sobie, co się będzie musiało stać, jeżeli Franek naprawdę wyjdzie po nią na stację.

I szła tak wsparta na ramieniu tej obcej kobiety, pani Selmy Rabbinowicz z Bukaresztu - prawie nieświadoma, wypchnięta ze stacji, mała istotka kobieca.

Nagle zobaczyła Franka. Zobaczyła go całego - wszystkie najdrobniejsze szczegóły w nim jednocześnie. Miał na sobie ciemnogranatowy garnitur, którego nigdy przed tym nie widziała, kapelusz na bakier, wciśnięty na czoło. Palił papierosa i stał na końcu peronu, wśród tłumu ludzi. Ewelina zapomniała, jak brązowe były jego ręce... Istotnie były brązowe. Stała nieruchomo i wciągnęła głęboko oddech. Takie szczęście...

- Oto jest - rzekła. Pani Rabbinowicz poszła w ślad za jej wzrokiem i uśmiechem - popatrzyła na Franka i uśmiechnęła się także. Uśmiech ten wydawał się Ewelinie dobrym i niesłychanie mądrym.

- A więc wszystko już w porządku. Życzę przyjemnej zabawy w Paryżu - powiedziała pani Rabbinowicz - widzę, że teraz obejdzie się już pani beze mnie. - Z tymi słowami

pani Rabbinowicz zniknęła; wszystko zniknęło; Ewelina stała na błyszczącej, świetlistej gwiazdzie sama z Frankiem. Rozglądał się po peronie. Wyglądał tak - zdawało jej się - jak gdyby spodziewał się zobaczyć kogoś innego, niż Ewelinę. Nie zauważył jej, chociaż stała tuż przy nim. Miał szerokie, luźne, skrojone po amerykańsku ubranie. Poczowała znowu obcy zapach jego papierosa. Tragarz Eweliny stał, trzymając jej walizeczkę i pytając o coś, czego nie rozumiała. Uśmiechnął się grzecznie i czekał obok niej. Ewelina drżała teraz na całym ciele. Usiłowała coś powiedzieć, ale w tej chwili nie była w stanie. Stała czekając, zwrócona bokiem do Franka. Wielkie fale szczęścia przepływały z jego ciała do jej. Nie widział jej. Pociągnął szybko za krawat, a potem poprawił kapelusz.

- Halo - rzekła Ewelina.

- Halo - powiedział Franek.

W ciągu tych dwóch minut, kiedy szła obok Franka do taksówki, stała się o wiele lat starszą i mądrzejszą i bardziej doświadczoną. Czuła to z dziwnym, bolesnym spazmem wewnątrz duszy. Zrobiła kontrolę nad samą sobą - prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu. Franciszek mówił po francusku i ona odpowiadała po francusku. On był grzeczny i ona była grzeczna. Nie stało się nic romantycznego - nie było żadnego wybuchu, żadnych wyjąkanych podziękowań, nic z tych nadzwyczajnych rzeczy, których Ewelina spodziewała się niejasno. Nawet zanim jeszcze doszli do taksówki rozumiała, że jej przybycie do Paryża znaczyło dla Franka zupełnie co innego, aniżeli dla niej. Przejeżdżała wprawdzie przez miasto ze snu na szklistych chmurach, i ulice nie wydawały jej się rzeczywiste, lecz jak obrazy, przesuwające się po ekranie w kinie - ale on zdawał się uważać za coś rozumiejącego się samo przez się, że przyjechała do Paryża. Więcej jeszcze - brał to zupełnie lekko; zdawał się nie rozumieć wcale, jaką olbrzymią rzeczą było dla niej, że pozostawiła za sobą swe małżeństwo, męża, dzieci, czteropoko-

jowe mieszkanie na Diisseldorferstrasse, całe życie i całą egzystencję. Ale - rozmyślała Ewelina w swej świeżo odnalezionej mądrości - tak to właściwie jest... Mężczyźni nigdy nie wiedzą nic. Ani ten, którego się zostawia, ani ten, do którego się idzie.

To zrozumienie uczyniło ją starszą i dało jej nową, szczególniejszą jakąś pewność siebie, dotychczas nieznaną. Odchyliła się w tył i wyjrzała przez okno. Poczowała, że Franek wziął jej rękę i zdjął z niej szybko rękawiczkę. Gdy dotknął palcami jej otwartej dłoni, przeniknął ją jak gdyby gorący ciężki prąd. Na chwilę wstrzymała oddech, aby uświadomić to sobie w całej pełni. Tymczasem rozmawiali niemądrze, śmiesznie. Tak, miała przyjemną podróż. Nie, dziękuję, nie jest zmęczona. Wczoraj padał deszcz w Berlinie.

Wczoraj - pomyślała Ewelina - wczoraj byłam w domu; dziś jestem w Paryżu. A gdzie będę jutro? - pomyślała nagle i nieoczekiwanie. - Jutro pojedę z powrotem do domu - pomyślała. Ale zaraz potem poczuła z dziwną, nową dla siebie jasnością, że nigdy nie potrafi wrócić. Zobaczyła siebie stojącą przy barierze statku i odjeżdżającą z Frankiem. Nigdy jeszcze nie płynęła statkiem. Żal jej było owej małej walizki, spoczywającej na ławeczce z przodu. Miała tylko jedną nalepkę hotelową i to w dodatku z Dortmundu. Nie była przyzwyczajona do niczego większego niż wyjazdy na weekendy do Geltow, a teraz wyrwała się na romantyczne przygody. Pojechałaby wszędzie gdziekolwiek Franek by jej rozkazał. Ewelina chwyciła ukradkiem rączkę walizki, jak gdyby była to ręka skromnego, ale zaufanego przyjaciela.

Mały szarosrebrny placyk w sennym słońcu... gołębie spacerują po bruku tam i z powrotem. Taksówka stanęła. Ewelina przeszła bardzo wyprostowana przez małe obracające się drzwi, które Franek puścił przed nią w ruch. Nie wiedziała, jak się należy zachowywać wchodząc do hotelu z kochankiem. Nie wiedziała również, że wygląda dumnie, jak książ-



niczka. Spotkała zadumane, badawcze spojrzenie Madame. Uśmiech, odsłaniający złotą plombę. Winda, schody, korytarz, pokój. Podeszła szybko do okna. Odetchnęła głęboko. Lękała się czegoś, co teraz musiało nadejść zaraz - wielkie, nieznane, przytłaczające - lękała się miłości.

- Prawdopodobnie zechcesz się wykąpać - usłyszała zamiast tego głos, dochodzący skądś, z pokoju poza nią.

- Tak, proszę - odpowiedziała i zaczęła sekundę zanim się odwróciła. Szczególnie, że dopiero w tym momencie właśnie zbudziła się ze snu i uświadomiła sobie, że naprawdę znajduje się w Paryżu. Nie w mieście ze snu, ale w bardzo rzeczywistym Paryżu. I właśnie to wysokie okno z typowym zamarkowanym balkonem na froncie uzmysłowiło jej Paryż. Przy takim oknie stała już raz w podróży poślubnej z Kurtem. Wtedy także pełna była lęku. Zabawne - pomyślała - do Paryża zawsze przyjeżdża się z mężczyznami.

- Muszę rozpakować się trochę - powiedziała Frankowi.

- Dobrze. Czy mogę pomóc?

W chwilę później znajdowała się w jego ramionach i całowała go. Spadała szybko przez bezmiar purpurowej mgły; potem pojawiały się olbrzymie paprocie, puszcze pierwotne, a potem wylądowała znowu w pokoju hotelowym.

Poczuła, że ktoś był świadkiem tego nieprzytomnego pocałunku i odwróciwszy się, spotkała się z uśmiechniętą twarzą z dołeczkami przemądrej Józefiny Beauharnais. Zły gipsowy odlew Houdona stał na kominku. Ewelina podeszła, do niej, a kolana jej drżały jeszcze i były ciężkie od uścisku, aby szukać u niej oparcia, jak u doświadczonej siostry. Bardzo wyraźnie przypomniła sobie w tej chwili lekcję z historii sztuki, na której profesor Damhauser pokazywał to popiersie, traktując je w sposób dość bezceremonialny. Przypomnił się jej trzeszczący szelest szarej alpagowej sukienki, którą wówczas nosiła. Życie jest dziwaczną rzeczą i odległość między ową Eweliną, uczącą się w szkole historii sztuki, a Eweliną, która znajdowała się z kochankiem w pa-

ryskim hotelu - była wprost nieprawdopodobna i fantastyczna. Wydawało jej się, że poznała Józefinę Beauharnais w dobrym towarzystwie, a teraz spotyka się z nią znowu w dwuznacznych i podejrzanych okolicznościach; spotkanie zawstydzające i przykre dla obu stron. Jej świadomość samej siebie była dziwnie rozdwojona, jak gdyby stała obok siebie i przypatrywała się sobie.

, Tak to było z Eweliną. Czowała, że się poniża, że przez swoją podróż do Paryża traktuje się sama bezceremonialnie. Tylko że nie mogła na to nic poradzić - i że było to dla niej najzupełniej obojętne, dokąd ją los pędzi - i że nie chciała niczego innego, jak tylko spełnienia - i że nie wiedziała, jak to spełnienie ma wyglądać - i że była gotowa przyjąć każde poniżenie, aby tylko dojść do tego nieznanego spełnienia.

Z lekkim bólem poczuła, że upadła odrobinę w opinii Franka przez to, że przyjechała. Wszystko tu wydawało jej się dwuznaczne i trochę zbrukane. Madame w hallu z namalowanymi na fioletowo powiekami; zniszczone jedwabne pokrycie mebli, zielony fartuch lokaja, przesadna dyskrecja, z jaką usuwał się od drzwi - nawet sama tapeta ścienna, na której niebieskie ptaszki fruwały nad różowymi koszykami, pełnymi bujnego kwiecica. Na suficie była ciemna plama od uszkodzonej rury wodociągowej. A Józefina przez cały czas śmiała się pogardliwie.

Franek wziął z drugiego końca pokoju jej małą walizeczkę i zaniósł do jej sypialni. Gdy Ewelina poszła za nim, zobaczyła jak mięśnie jego naprężyły się pod granatowym ubraniem. Doszło do tego, że ilekroć Ewelina patrzyła teraz na Franka, widziała jego ciało, a nie ubranie. Wszystko stało się takie cielesne, zatrute słodką trucizną namiętności. Franek zamruezał kilka słów usprawiedliwienia; był zakłopotany, a to dodało jej trochę odwagi.

Sypialnia jej była ciężka od zapachu ciemnoczerwonych róż, których olbrzymi pęk stał koło łóżka. Od razu wszystko się polepszyło. Róże były jak owa mimoza, która wcisnęła

się do Diisseldorfstrasse. Miała swój sens i znaczenie. Może w ten sposób Franek wyrażał swoją miłość. Może słowa przychodziły mu z trudem i poza swoim tupetem był nieśmiały.

- Och, dziękuję ci - rzekła czule. Miała sypialnię dla siebie; to było ulgą. Lękała się łóżka i starała się go nie widzieć. Franek także udawał, że w pokoju nie ma nic podobnego.

Następną niespodzianką było, że zameldował ją jako swoją żonę. To podniosło jej opinię o hotelu, ale podziałało na nią, jak lekkie poniżające uderzenie biczem. Wszystko stało się jeszcze bardziej dwuznaczne i ciemne. W każdym razie zabawnie było myśleć o Franku w roli męża.

- Jesteś zupełnym przeciwieństwem żonatego mężczyzny - rzekła, gdy pomagał jej rozpakowywać walizkę i zanosił jej rzeczy do łazienki.

- Tak? - powiedział stając w drzwiach z jej pastą do zębów w ręce - a co, jeżeli mogę zapytać, jest przeciwieństwem żonatego mężczyzny?

- Ty - powiedziała śmiejąc się.

Obcy mężczyzna - pomyślała - ten, o którym ona nie wie nic... ten, który przychodzi z daleka i jest inny: kochanek. Nie mogła tego wypowiedzieć. Wzdrygnęła się przy tym słowie jak młody koń przy pierwszym skoku. A potem przeszła ponad tym. Dobrze - myślała - mam kochanka. W myśli tej była duma i pogarda. Podeszła do drzwi łazienki. Na wieszaku wisiała jego piżama. Zrobiona była z ciężkiego chińskiego jedwabiu - wyblakły zielony kolor. Odsunął na bok swe przyrządy do golenia, aby zrobić miejsce dla jej „cold creamu”. Oto leżały teraz jej przybory toaletowe obok jego. Ona patrzyła na nie i on patrzył na nie... Była w tym wielka jakaś poufałość - prawie taka, jak gdyby wszystko już się stało. Ewelina wróciła szybko do swej sypialni.

Wzdrygnęła się, gdy Franek ujął jej stopę, aby pomóc jej

w zdejmowaniu bucików. Spostrzegła ze zdumieniem, że daleka jest od gotowości do tego, co miało się stać. Spojrzała na niego błagalnie. Zapragnęła gorąco, aby rzucił się na nią, przemógł ją i zgwałcił, porwał z sobą. Ale wstał, oczyścił odrobinę kurzu z kolan i zostawił ją samą. Grzeczny, uступliwy i nieco dotknięty.

Woda w wannie była ciepła i dobra. Ewelina wzięła garść kąpielowych soli Franka - sole kąpielowe były luksusem, na który nie mogła sobie pozwolić na Diisseldorferstrasse - i wyciągnęła się cała, daremnie usiłując rozluźnić naprężone mięśnie. Gdy tak leżała wśród aromatycznej woni lawendy, zaczęła robić sobie wyrzuty. Kobieta prawdziwie wyrafinowana nie użyłaby nigdy jego soli kąpielowych. Postarałaby się o zupełnie odmienny zapach, o możliwie największy kontrast, o coś egzotycznego, o ambre pomyślała naiwnie - albo

o piżmo. Czytała gdzieś, że kobiety wątpliwej reputacji lubią używać tych zapachów. Podczas gdy nacierała kolana pianą z mydła, poczuła nagły przypływ samokrytycyzmu. Wydała się sama sobie haniebnie źle przygotowana do tego, co przed nią stało. Sztuka kochania - ten frazes wiercił jej mózg. Czyta się o sztuce kochania. Ale nie mogła sobie wyobrazić absolutnie nic z tego. Przeżycia, jakie się ma w małżeństwie, nie mają nic wspólnego ze sztuką miłości. A przecież są kobiety, które doprowadzają mężczyzn do ruiny swą sztuką miłości, a mężczyźni zdają się być jeszcze zachwyceni tą ruiną. Jeżeli Franek spodziewa się po niej sztuki w miłości, w takim razie jest ona bankrutem i istotą straconą.

Spoglądała z melancholijnym i ironicznym uśmiechem na kawałek mydła, który trzymała w ręce. Było to mydło dla dzieci - ten sam gatunek, jaki kupowało się dla Bärchen

i Clärchen, jedyny rodzaj, jaki znosiła jej cienka i wrażliwa skóra.

Patrzyła z wyrzutem na tę skórę, przez którą wszędzie przeświecały niebieskie żyłki - i nie była pewna, czy ma to uważać za zaletę czy za defekt. Na ogół był to najzupełniej niezadowolający rodzaj skóry, taki, który miał tendencję do

nerwowego marznięcia, albo do pokrywania się gęsią skórą.  
Słyszała, że Franek telefonował w swoim pokoju i szybko wyskoczyła z wanny. Zobaczyła swoje ciało w lustrze drzwi i przyjrzała mu się krytycznie. Zabrało to resztę jej spokoju. No, taka jestem - pomyślała - i zaczęła wciągać na siebie bieliznę. Wszystko to razem było zupełnie jak strach przed egzaminem. Spędzenie nocy z Frankiem znajdowało się przed nią, jak zadanie egzaminacyjne, do którego nie była dobrze przygotowana. Zapaliła światło i chwyciwszy pudełko z różem, starannie nałożyła na policzki trochę koloru w formie trójkątów. Paryżanki są tak bardzo umalowane. Ewelina westchnęła, gdyż nie miała pomadki do ust - potem wzięła troszeczkę różu na koniuszek palca i tym posmarowała sobie wargi. Od razu wyglądała bardzo po francusku. Ze świeżym zapachem zawiązała kokardę na bluzce i naciągnęła swój mały kapelusik głęboko na lewe oko.

W tej samej chwili przyszło jej do głowy coś, pod wpływem czego stanęła jak wryta. Rachunek za gaz. Znowu zapomniała zapłacić ten rachunek! Pozostawiła go - niezapłacony i groźny - na biurku Kurta. Gazownia zacznie robić przykrości. Kurt znajdzie rachunek, zatelefonuje do Geltow i okaże się, że jej tam nie ma... szare lawiny stoczyły się przed przerażonymi oczami Eweliny, grzebiąc Diisseldorfer-strasse.

- Tylko nie zemdleć! - powiedziała sobie głośno. Był to rozkaz ostry, kategoryczny. Nie zemdlą. Poza tym, jest tam przecież Marianna, aby wyciągnąć ją z tego kłamstwa. Szybko upudrowała sobie twarz, zagryzła umalowane usta, które stały się chłodne, i przybierając wesołą pozę, odpowiednią dla kobiety w jej sytuacji poszła do Franka.

Franek rozmawiał po francusku, telefonował do kobiety. Ewelina nie mogłaby określić, co powiedziało jej, że na drugim końcu linii jest kobieta, ale była tego pewna - i to ją zraniło. Jakże mało wiedziała o Franku.

Wydawał się zadowolony z jej wyglądu. Ujął ją pod ramię i wyprowadził z hotelu, pod prześwietlającym, jak rentgen, wzrokiem Madame, na Place de la Bourgogne. Na dworze było chłodno, ale Franciszek nie nosił palta. Poszli tym razem pieszo i beztroski nastrój, który zdawał się unosić z parującego chodnika, z liści drzew i ze świergotu ptaków, zawładnął także i nią. Musiała się śmiać z Franka, że tak poważnie traktuje déjeuner, ale on utrzymywał, że to jest właśnie po parysku. Zaprowadził ją do małej restauracyjki na lewym wybrzeżu i mówił o niej tak, jak gdyby chodziło o tajne miejsce spotkań mrocznych konspiratorów lub o wyspę na południowych morzach jeszcze przed jej odkryciem. Ale był to tylko długi, na wpół ciemny pokój, ze zwykłymi kanapkami wzdłuż ścian, pachnący rybą i gorącym masłem. Franek poszeptał coś z maitre i z sommelier. Przyniesiono hors d'oeuvres, a potem upłynął długi czas zanim podano dalsze dania. Ewelinie przychodziło z trudnością zachowywać się zupełnie naturalnie, czuła się jak aktorka dyletantka na złej scenie i w złej roli. Jednocześnie była szczęśliwa w nowy, zuchowaty i bezwstydnym sposób. Franek siedział tuż przy niej na kanapce i od czasu do czasu brał jej rękę pod stołem i ścisnął ją tak, aż obrączka ślubna wpijała się jej w ciało. Gdy Ewelina zaczęła jeść flądre w sosie ze śmietaną, którą Franek zdawał się cenić bardzo wysoko, Ewelina poczuła utkwione w sobie czyjeś oczy. Spojrzenie pochodziło z kąta w cieniu, na końcu pokoju.

- Co się stało, kochanie? - zapytał Franek.

- Nie wiem... jakiś mężczyzna patrzy na mnie.

- To oczywiście. Paryżanin uważałby za niegrzeczne nie patrzeć na kobietę, która wygląda tak, jak ty.

Ewelina potrząsnęła głową. - To nie to - rzekła nieswojo - ta twarz jest mi znana, chociaż nie wiem skąd. ,

Franciszek nalał jej wina. - Nikt tutaj nie przychodzi - rzekł niedbale. - Nie wiem, czy lubisz burgunda, to jest męskie wino.

Ewelina wypięła posłusznie, a potem znowu spojrzęła na koniec pokoju.

- To doktor Eckhardt - rzekęła.

- Poczęła, że usta jej - umalowane wargi, a nawet podniebienie - stały się zimne, skóra jej ścierpęła.

Dr Eckhardt był jednym z asesorów, z którymi mąż jej znajdował się w ciągłym kontakcie. Dr Eckhardt ożenił się niedawno - teraz przypomniała sobie, że zastanawiali się nad tym, czy mają mu posęłać prezent ślubny, czy też tylko telegram z życzeniami. Niewętpliwie ta mała, ciemnowłosa kobieta przy nim była jego żoną i znajdowali się w podróży poślubnej. Istniała nadzieja, że dr Eckhardt mógł jej nie poznać. Goręczkowo i gęłośno mówięła po francusku - tym uroczym poprawnym francuskim językiem klasztornym, którego nauczyęła się jako dziecko. Usięłowała grać wobec Eckhardta rolę paryżanki, ale bezskutecznie. Już zbliżał się ku niej - przedział we włosach, blizny od pojedynku, stuknięcie obcasami - caęły ceremoniał byłego studenta.

- Nie, doprawdy! Pani Droste w Paryżu? Co za niespodzianka! Czy mąż pani jest tutaj także? Nie, oczywiście w Berlinie. Wiem o tym. Nasza podróż także jest już na ukończeniu. Pięćne dni Aranzuezu, co? Byliśmy w Algierze - i żona moja staęła się na wpół Maurytankę.

Trwało tak w dalszym ciągu - nieodparte, jak przeznaczenie.

- Doktorze Eckhardt, pozwoli pan, że przedstawię panu pana Davisa? - wyjąkała Ewelina sztywnymi wargami. Franek skłonił się z amerykańską uprzejmością, a Eckhardt zaprodukował ukłon oficera w rezerwie.

Wyględał tak jak gdyby czekał na dalsze wyjaśnienia. Ewelina wydobyęła z siebie drobne, słabe kłamstewko.

- Jestem w Paryżu z przyjaciółką... pamięta pan Mariannę? - rzekęła błęgalnym tonem.

Dr Eckhardt nie był w stanie uspokoić się.

- No, co za zbieg okoliczności - powtórzył znowu. -

Pierwsza znajoma twarz od trzech tygodni. Od razu powiedziałem żonie. Czy to nie pani radczyni Droste? A jak długo łaskawa pani pozostaje tu jeszcze? O, tylko dzień lub dwa - cudowne miasto, oui, c'est Paris! No, spotkamy się więc w Berlinie. Co za zbieg okoliczności.

Pani Eckhardt wyłoniła się teraz z damskiej toalety i Eckhard przedstawił jej ich w bardzo wymownych słowach, wreszcie odszedł. Stuk obcasów, potrząśnięcia rąk, ukłony. Do widzenia w Berlinie!

- Stało się - rzekła Ewelina, gdy to przeszło. Połknęła „Crêpe Suzette”, z którego zarówno maître, jak i Franek, wydawali się bardzo dumni. Już jest po wszystkim, nic nie powstrzyma teraz doktora Eckhardta od opowiedzenia jej mężowi, że spotkał ją w Paryżu.

W ostatniej chwili zapytała Eckhardtów, gdzie mieszkają. Zatrzymali się w hotelu „Athénée”. Ewelinie przemknęła przez głowę myśl, aby pójść do niego i wydobyć przysięgę, że nie powie nic o tym przypadkowym spotkaniu; coś dramatycznego krążyło po jej głowie podczas, gdy parzyła sobie język gorącym, słodkim „Crepe Suzette”. Kobieta klęczała przed mężczyzną i łkając śpiewała przy tym arię. Ale to była przecież opera. Tosca.

Dobrze - pomyślała wyzywająco. Może tak jest lepiej. Teraz już jest po wszystkim. To „wszystko” obejmowało nawet zapach z kuchni w mieszkaniu na Düsseldorfstrasse, zapomniany rachunek za gaz, aparat do inhalacji, skrzypiące buciki Fräulein. Ale nie było w tym dzieci, ani czulej dbałości Kurta.

- Czy Niemcy naprawdę jeszcze uprawiają te pojedynki na szable? - zapytał Franciszek, który nie spostrzegł nic, prócz blizn na dobrze ułożonej, prawniczej twarzy Eckhardta.

- Coś powiedział? - zapytała. Musiała najpierw uświadomić sobie, że Franek mówił po angielsku. Przyglądała mu się, gdy otrzymał rachunek i wsunął pieniądze pod ser-



wetkę. Stał się nagle tak bardzo dla niej obcy, że mogła wyobrazić sobie, iż nie widziała go nigdy przed tym. On zdawał się odczuwać również coś podobnego, gdyż, gdy wyszli tylko na ulicę, nie wiedział, co ma z nią począć. Zrobił lekkim tonem parę propozycji, które jej podróży do Paryża nadawały piętno frywolnej drobnostki. Stała zupełnie bezbronna, starając się dopasować do jego tonu. Usłyszała własne odpowiedzi udzielane w sposób najzupełniej obcy jej naturze.

- Ja nie jestem takim typem - rzekła już z rozpaczą.

- Jakim typem nie jesteś a jakim jesteś? - zapytał z rozbawieniem. Ramię jego pod ramieniem Eweliny było ciepłe i przycisnęło się miękko do jej piersi.

Uciekać - pomyślała w przerażeniu - wsiąść do następnego pociągu i odjechać stąd, zanim cokolwiek się stanie. Wyznać wszystko Kurtowi. Nie, nie jestem typem odpowiednim do tego... Dziewiętnaście marek... nie mogę powiedzieć teraz: „Proszę cię, daj mi pieniądze na bilet z powrotem”. A poza tym, nie chcę odejść od niego. Boże, jestem przecież taka szczęśliwa, taka szczęśliwa... ostatecznie to jest Franek... Kocham cię, Franku, tylko oszalałam odrobinę ze strachu. Franku, ochroń mnie... Franku, to nie jest takie łatwe... nie, to tak ciężkie, jak góra... a ty nie rozumiesz!

Zaprowadził ją znowu do samochodu - i pojechali - najpierw wzdłuż Sekwany, potem przez most, koło fontanny na Placu Zgody, a następnie włączyli się w sznur samochodów, sunących przez Pola Elizejskie.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

- Do Pré Calatan, w Lasku - odpowiedział spokojnie. Od razu Ewelina zrozumiała jasno, gdzie chciałyby być i gdzie jest jej miejsce. Był tu gdzieś w Paryżu mały kościółek - pusta kapliczka z oknami o cudownych kolorowych szybkach; czarodziejska kaplica, która wzruszyła ją tak bardzo w czasie jej podróży poślubnej, że musiała płakać. Wydawało jej się, że odwiedzenie tej kaplicy rozwiąże wszystko,

wszystko uczyni prostym i jasnym. Ale nie mogła sobie przypomnieć nazwy tego kościoła i taksówka unosiła ich coraz dalej. Teraz znajdowali się już w alejach Lasku, a teraz mnieli staw, po którym ludzie wiosłowali na łódkach, a potem Franek zatrzymał taksówkę i pomógł jej wysiąść. Ledwie Ewelina zaczęła iść jedną ze ścieżek z ręką w ręce Franka, opadł z niej cały przymus i skrępowanie. Kwitły kasztany. Żłote krzewy laburnum dopiero co zaczynały otwierać swoje złociste pąki. Świat był dobry, jeżeli człowiek patrzył nań tylko i czuł, a nie próbował go analizować. Ręka Franka w jej ręce i nic innego. Mała chmura deszczowa przeszła, gdy byli w taksówce, ale teraz słońce ukazało się znowu. Gałęzie ociekały jeszcze wodą i czuła zapach mokrego żwiru, malowane żelazne krzeselka, na których usiedli, były chłodne i wilgotne. Ewelina patrzyła na usta Franka, gdy milczał. Były to najpiękniejsze usta, jakie widziała w jakiegokolwiek twarzy; tam, gdzie wargi zaciskały się jedna na drugiej, powstawała linia - mocna i zdecydowana - która napełniała Ewelinę zachwytem. Nawet to, że ubranie jego podnosiło się i opadało wraz z jego oddechem, wydało jej się czymś nadzwyczajnym. Poczowała cudowne, gwałtownie pragnienie móc wejść w niego, jak do zamkniętego domu albo do muszli.

- Opowiedz mi o twoim życiu - powiedziała niezgrabnie. Uśmiechnęła się pobłaźliwie i jak gdyby trochę niecierpliwie.

- O moim życiu? - powtórzył. - Co tu jest do opowiadania? Nie ma w tym nic interesującego, po prostu stuprocentowo normalne życie Amerykanina... no, wiesz! Co chcesz wiedzieć? Każdy szczegół? Jakież to ciekawe stworzonko! No więc, wstaję rano i wypijam sok pomarańczowy - przyzwyczajenie, któremu się nie hołduje dotychczas w Europie i które mam tu zamiar wprowadzić. Potem jadę pociągiem do Nowego Jorku, do biura. Zajęłoby mi zbyt wiele czasu jechanie samochodem - mieszkamy na Long Island. Jak tam wygląda? No, mniej więcej, tak jak w Anglii - znasz Anglię?

Coś w tym rodzaju, tylko więcej stacji benzynowych i masę brudu, zanim człowiek dostanie się do miasta. Biuro - no, ale wiesz przecie, jak wygląda biuro. Tablice statystyczne na ścianach, biurko, poczta, listy do podpisu i tak dalej. Jest tam smok, który mnie strzeże - panna Mitchell, moja prywatna sekretarka. Siedzę więc tam i staram się sprzedawać ludziom pomarańcze.

Zapalił papierosa i spojrzął poprzez zarosłą trawą przestrzeń, zastanawiając się najwidoczniej, co jeszcze pozostaje do powiedzenia. Tymczasem Ewelina starała się wyobrazić sobie biuro i miasto i prywatną sekretarkę, ale nie udawało się jej to zbytnio.

- Mam dwa psy - oznajmił Franek - jednego małego szkockiego teriera, komicznego psiaka, który się nazywa Jerry i duńskiego doga. Konie mam także, ale to w mojej posiadłości w Południowej Karolinie - na południu. Musisz tam kiedy przyjechać na Boże Narodzenie... Spodobałoby ci się. W odpowiedzi na to absurdalnie naiwne zaproszenie, Ewelina przytaknęła, jak robiła słuchając dziecinnego szczebiotu Clarchen. Franek jednak znajdował się w zapale opowiadania i zdawał się uważać to za rzecz zupełnie prostą, by żona sędziego Droste przyjechała do Południowej Karoliny.

- Zabieram tam zawsze z sobą grono przyjaciół... bawimy się świetnie ... polujemy i jeździmy konno... wiesz... a na Boże Narodzenie czarni zjeżdżają się ze wszystkich stron. Ci, którzy nie mają koni - skądś je wydostają, albo wypożyczają muły, albo coś w tym rodzaju. Wtedy rozpalamy przed domem wielkie ognisko i siedzimy dokoła niego przez całą noc sylwestrową, a Murzyni śpiewają. Ci czarni chłopcy umieją śpiewać - wierz mi! O północy siadamy wszyscy na konie i pędzimy przez lasy i moczary do wschodu słońca. Strasznie lubię tam przyjeżdżać. Myślę, że kiedy się już zestarzeję, to zamieszkać tam na stałe. Jest to stary dom,

wybudowany przez moich dziadków, wiesz... w stylu kolonistów... z wielkimi, wysokimi, białymi filarami na froncie i ze starymi, bardzo starymi dębami w ogrodzie, na wiosnę kwitną magnolie, ale wtedy nie można wychodzić... pełno grzechotników.

Zapisał się w opowiadanie o grzechotnikach, a Ewelina zatraciła się w patrzeniu na jego profil. A więc to było życie, które nazywał nieciekawym, normalnym. Jej wydawało się ono tak romantyczne, że wstrzymywała oddech, gdy o nim opowiadał. Człowiek obcy, cudzoziemiec z dalekich, dalekich stron.

- Na wiosnę jestem zazwyczaj w Santa Barbara. Wiesz, gdzie to jest? Nie? To taka dziura w Kalifornii, na wybrzeżu Pacyfiku, cudowne miejsce. Babka moją jeszcze tam mieszka - bardzo stara, ma blisko dziewięćdziesiąt lat. Prawdziwa „senora”. Jeżeli chcę się jej przypodobać, mówię z nią po hiszpańsku. Mówię okropnie po hiszpańsku, gorzej jeszcze niż po francusku. Dom także jest zupełnie hiszpański, jest to jeden z najstarszych domów w Santa Barbara, schody, balkony i wspaniałe patio. Jako dziecko przyjeżdżałem tam bardzo chętnie. Pamiętam, kiedy była „fiesta”, babka moja nakładała swój pełny strój hiszpański, mantylę, wysoki grzebień i wszystko, a w nocy były serenady. Ale teraz jadę tam tylko dlatego, że muszę. Aby doglądać gajów pomarańczowych i pilnować interesów. Zabawne... ojciec mój był całkowicie Anglikiem i nie miał w sobie nic ze swej matki; ale trochę z niej przeszło na mnie. Przyglądał się swoim rękoma, które miały jasną, złocisto-brązową barwę. Ewelina patrzyła na nie także. Ledwie mogła powstrzymać się, aby tych rąk nie całować, zrobiła to już raz, czy dwa razy - i za każdym razem wzbudziło to ten sam przerażony i zakłopotany uśmiech na twarzy Franka.

- Co ci się stało w palec? - zapytała, dotykając lekko wskazującego palca jego lewej ręki, w której trzymał papierosa; palec był sztywny i zagięty.

- Pamiątka z wojny - rzekł niedbale - ściętno jest przerwane, ale to nie dokucza mi bardzo. Brałem udział w tym świństwie jako lotnik, a potem pracowałem trochę jako tłumacz. Teraz - widzisz - mówi się tak dużo o pokoju i na ogół wojny są same w sobie absurdem. Ale dla jednostki jest to dobre i pouczające - to znaczy, dobre jest dla człowieka młodego. Podobało mi się tam. Szkoda, że teraz tak niewiele latam. Myślałem dawniej, że to będzie mój zawód. Byłem' w Chinach i pomagałem organizować pierwsze linie lotnicze. Powinnaś pojechać ze mną kiedyś do Chin - jeżdżę tam prawie co drugi rok. Podobałoby ci się. Szanghaj..., co to za miasto! No, ale teraz pogrążony jestem aż po uszy w pomarańczach, których nikt nie chce kupować. Ale mam przy tym swoją ulubioną pasję: eksperymentalny gaj w Fernando Valley i jeżeli uda mi się tylko osiągnąć rezultaty, których...

W ten sposób to szło. Cały świat w tym był, a jednocześnie brzmiało to tak prosto, jak opowiadanie dziecka. Ewelina nie dawała mu spokoju i wciąż pytała go o to lub owo. Ale nie umiała złożyć z tego całego obrazu. Było to wszystko bezbrzeżne i robiło na niej wrażenie, uderzania skrzydeł ogromnego ptaka. Jak gdyby ktoś chciał oglądać nieograniczony niczym, szeroki krajobraz przez maleńką dziurkę w murze.

Rachunek za gaz - myślała drwiąco. - Düsseldorfstrasse. Kariera Kurta. Zdawało jej się, że słyszy ciche, nerwowe chrząkanie Kurta, ale za nic na świecie nie mogła przypomnieć sobie jego twarzy. Nie, w tym momencie Ewelina Droste nie była w stanie przypomnieć sobie twarzy swego męża, któremu zaślubiona była od sześciu lat. Wróciła z powrotem do Franka. Jak ona go kocha! Pogładziła koniuszkiem palca jego zniekształcony palec. Tęskniła do jego pocałunku, ale to nie uchodziło tutaj. Wzięła mu papierosa z ust i gwałtownie zaciągnęła się nim trzy razy. Popatrzył na ten dziwny objaw pieszczoty z podniesionymi brwiami. - Masz rzęsy żigola - rzekła żartobliwie. Były jed-

wabiste, podkrecone do góry nad zdumiewająco przejrzystymi oczami. Zdawało się, że tego nie słyszał. Wciąż jeszcze myślał o swoich pomarańczach - Gdyby tylko miały trochę więcej kwasu - mruknął. Ewelinie przyszło do głowy, że nie wspomniał o najważniejszej rzeczy w swym życiu. Przełknęła ślinę.

- I są jeszcze kobiety - rzekła. Nie brzmiało to jak pytanie; po prostu jak uwaga. Nie zaprzeczył temu. Zwrócił ku niej twarz i przytaknął jej niedbale. Ewelina czytała w jego oczach, że nie myślał o kobietach, ale o jednej określonej kobiecie. Przeszyło ją to ostrym, niespodziewanym bólem. Utkwiła w nim oczy i zapytała: - Jedna kobieta?

Zawahał się przez chwilę, ale powiedział: - Tak.

Ewelina mogła dojrzeć w jego źrenicach odbicie swej twarzy, maleńkie i wyraźne. Była to bolesna, drobna ulga, że jej nie oszukiwał; ból wyładowywał się - bezradna poczuła, jak łzy cisnęły się jej do oczu i chłodne, mokre, z delikatnym pieczeniem zawisły na skraju powiek.

- Ostatecznie ty także masz męża - powiedział teraz Franek; brzmiało to dziecinnie i Ewelina poczuła nagły spazm radości na myśl, że był zazdrosny; tak, on także.

- Czy twój mąż wie o tym, że jesteś w Paryżu? - zapytał. Było to tak zdumiewające, najzupełniej wariackie pytanie, że Ewelina nie wiedziała, jaką dać odpowiedź.

- Tak - powiedziała na koniec wyzywająco i wyniośle. Gdy Franek przyznał, że są kobiety i że jest jedna kobieta, zaczęła marznąć i dostawszy tej okropnej gęsiej skórki, zamierała z chęci wypytywania go jeszcze o tę kobietę. Ale to była jedna z tych rzeczy, których nie należało robić. Mówi się zawsze o rzeczach obojętnych, a zamilczą te, które są najistotniejsze.

Ale teraz coś się stało. Franek położył na stole swoją rękę na jej ręce, która stała się zimna, sztywna i lepka pod działaniem tego chłodnego, wilgotnego wieczoru majowego i uczuć zazdrości. Spokój, opieka, ciepło, miłość, zupełne zespolenie

się... Ręka jej uspokajała się pod jego delikatnym uściskiem. Wciąż jeszcze Ewelina przez pryzmat zwisających łez, widziała łąkę, ale ludzie, znajdujący się na niej wydawali się jej pogodnymi, kolorowymi plamkami, jak na obrazach impresjonistów. Opary mgły podnosiły się znad wilgotnej ziemi; dwie małe dziewczynki biegły po ścieżce, bawiąc się w „łapanego”. Juliette dépêche toi - zawołał ktoś od stolika. Mam nadzieję, że Glärchen nie przemoczyła sobie nóżek - pomyślała niespodziewanie Ewelina. Była to zupełnie bezsensowna myśl w chwili, gdy przy jej ręce pulsowała krew Franka i wszystko zatapiało się w harmonii. - Clärchen nigdy nie przemoczy sobie nóżek, dopóki Fräulein, jak skała, pozostawać będzie na swym stanowisku i czuwać na Düsseldorferstrasse.

Naraz uzmysłowiła sobie wszystko: pokój dzieci, cieplarniane powietrze dookoła małego łóżeczka Bärchen, zapach, dotknięcie dziecka; z uczuciem słodkiego, łaskotliwego bólu Ewelina poczuła, jak twardej brodawki jej piersi z tęsknoty za Bärchen. Karmiła to hałaśliwe, żarłoczne dziecko przez sześć tygodni i potem dopiero dała temu spokój. Ciągłe jednak przeżycie to stanowiło cząstkę jej istoty. , To niemożliwe - pomyślała Ewelina z przerażeniem - to nie może być prawda, że uciekłam od dzieci. To niemożliwe, że siedzę tu, w Paryżu, z obcym mężczyzną. Wszystko to śni mi się tylko i lada chwila Kurt obudzi mnie i zapyta o rachunek za gaz. A tak silne i rzeczywiste było to uczucie snu, że Ewelina zamknęła oczy i poruszyła głową naprzód i w tył, aby poczuć ciepło swej poduszki.

Gdy wróciła do Franka z długiej podróży, oszołomiona i przerażona - zobaczyła na jego twarzy nowy wyraz. Wydawało się, jak gdyby zasłona, pokrywająca ją do tej chwili, zniknęła odsłaniając nagą duszę.  
- Teraz twoja ręka jest ciepła - rzekł łagodnie. A po pauzie dodał miękko.  
- Czy znowu położysz ją na mym sercu?

Czy zrobiłam to już kiedykolwiek? - pomyślała zmieszana. Zdawało się jej jak gdyby dopiero teraz, w tej chwili, zaczęła kochać Franka - i jak gdyby on dopiero teraz zaczął **ją** kochać. Nie mogła otrząsnąć się z sennej o ciężkości. Zazwyczaj już przed zemdleniem zdawało jej się, że wszystko cofało się tak bardzo daleko i stawało się takie maleńkie. -Tylko nie zemdleć - powiedziała sobie raz jeszcze - i to jej pomogło.

Franek zapłacił i poprowadził ją wśród stolików, koło pawilonu, do rzędu taksówek. Wsiadła. Cała ta historia miłosna przepojona była zapachem taksówek, zniszczonej skóry, ludzi i stęchłego dymu papierosów.

„Musisz pojechać **ze** mną do Chin” - powiedział Franek. - „Musisz pojechać **ze** mną do Południowej Karoliny”. Otwierało to perspektywę cudownej przyszłości. To zadziwiające - pomyślała • Ewelina - jak mało rzeczy mówi się w miłości, które naprawdę robią człowieka szczęśliwym.

- Cierpliwie usadowiła się na zniszczonej, wybitej skórą ławeczce.

- Nie masz nic przeciwko temu, abyśmy pojechali teraz do hotelu? - zapytał Franek, gdy wsiadał do taksówki.

Ewelina spadła poprzez wiele promiennych nieb na twardą ziemię. Nie - pomyślała z przerażeniem i z chęcią obrony. - Nie to, proszę... tylko nie to. - Przed oczami jej stanęła tapeta w Hotelu Bourgogne, rozchylone w uśmiechu złote zęby Madame, łóżko...

- Nie, muszę najpierw pojechać do Sainte Chapelle -zawołała. Strach i rozpacz zbudziły naraz w jej pamięci zapomnianą nazwę. Kolorowe szyby w oknach - to był pretekst dla zwłoki. Ewelina zastanawiała się przelotnie, niepewnie nad swoim własnym ciałem. Odczuwało ono poprzednio taką gorącą tęsknotę do Franka, a teraz cofało się chłodno i niechętnie, ilekroć się zbliżał.

Franek zrobił złośliwy grymas twarzy, prawdopodobnie miał słuszość. Szybko wydała polecenie szoferowi - i jechali przez całą drogę w milczeniu.



Ewelina utkwiała oczy w swojej ręce w białych rękawiczkach z kozłowej skóry, które leżały na jej kolanach, jak zapomniane zabawki. Franek nie sięgnął po nie; palił papierosa.

Gdybym tylko mogła mówić z nim po niemiecku -pomyślała Ewelina z rozpaczą. To męczy - pomyślała -szukać dostępu do duszy człowieka w obcym języku a to, co on mówił, rozumiała też tylko niedokładnie i z lukami. Musiała poprosić go jeszcze o pieniądze na powrotną drogę - i myśl o tym ciążyła jej ciągle na sercu. Rzuciła ukradkiem spojrzenie na jego zegarek. Kwadrans po szóstej - próbowała obliczyć, jak długo jeszcze będzie razem z Frankiem.

- W jaki sposób wrócę do Berlina? - zapytała w końcu nieśmiało.

Franek wyglądał tak, jak gdyby myślał o pomarańczach. -O... to już załatwione - rzekł grzecznie. Polecisz samolotem jutro o dziewiątej trzydzieści, zamówiłem bilet dla ciebie; będzie już w hotelu, gdy wrócimy.

- Dziękuję ci - powiedziała Ewelina grzecznie.

- Nie trzeba myśleć o jutrze... - rzekł z nową czułością. Auto stanęło.

Okazało się, że pomysł pójścia do Sainte Chapelle nie był zupełnie szczęśliwy... Zbyt wiele wspomnień o Kurcie krążyło wśród okien z kolorowych szyb i pod kopulastym sklepieniem - o Kurcie, smukłym, delikatnym, bezbronnym i cierpiącym cieniu, o Kurcie, z którym w tym właśnie miejscu dzieliła zachwyty i wstrząsające uczucia, o Kurcie, z którym związana była głębszym, czystym i silniejszym węzłem. Ewelinie udało się tak zupełnie zdusić w sobie i zapomnieć o samym wyglądzie Kurta, że wstrząsnęło nią, gdy wyłonił się przed nią na nowo w cudownej kryształowej przejrzystości kaplicy.

Czemu nie mam iść do Kurta i powiedzieć mu, co się ze mną stało? - pomyślała. - Może on to zrozumie i będzie umiał wytłumaczyć! - Przez chwilę wydało jej się to zupełnie zrozumiałe i jasne, że Kurt jest po to, aby ją pocie-

szyc, gdy wróci złamana po rozstaniu z Frankiem. To ten migotliwy błękit, smukłe i niezrównanie szlachetne kontury budynku nasuwały takie myśli... Tak prosto i jasno na świecie się nie działo. Przez chwilę, przez jedną zaledwie sekundę, Ewelina ujrzała siebie stojącą między tymi dwoma mężczyznami, z których każdy szedł swoją drogą i z których żaden nie znał jej uczuć ani myśli. Nie - pomyślała - i zamknęła się w sobie, jak w perłonośnej muszli.

Franek stał za nią w milczeniu, w cieniu kopulastego sklepienia - teraz zbliżył się do niej. Błękitne światło z okien grało na jego twarzy i błyszczało na gładkich włosach. Ewelina odwróciła się od niego i zwróciła się jeszcze raz ku kaplicy, jak gdyby mury te mogły jej coś pomóc. On stał za nią i czekał. To była właśnie chwila, kiedy jakaś fala spłynęła od niego ku niej - żar, jak gdyby stała obok płonącego domu. Z wolna zaczęła drzeć, czuć, palić się. Przyszło to, na co właśnie czekała. Gotowość oddania się, nowe życie, spełnienie... Czuła już potężną burzę w sobie i po niej bezmierne zmęczenie. Odwróciła się i spotkała spojrzenie Franka. Po raz pierwszy od kiedy się znali - poczuła, że mają te same myśli i te same pragnienia.

Chcę spać przy tobie - pomyślała po niemiecku. Musiała to przetłumaczyć, zanim wypowiedziała to na głos.

Gdy znajdowali się w taksówce i jechali do hotelu, Kurt zjawiał się raz jeszcze. Ale ona odpędziła spod zamkniętych powiek delikatną zjawę.

## **IX. PIĄTEK: MAŻ**

Kiedy sędzia zaproponował wezwanie na świadka wdowy Ohnhausen, powstała istna awantura w sądzie. Prokurator zaprotestował w gwałtownych słowach przeciwko sprowadzaniu jednego świadka za drugim, szkiełko błyszczało mu w oku, głos załamał się - co wprawiło go w jeszcze większą wściekłość. Raz w życiu obrońca wziął stronę prokuratora. Bruhne wyglądał tak, jakby miał się udusić, jeżeli będzie musiał dłużej jeszcze powstrzymać wygłoszenie swej końcowej mowy, którą przygotował już od dawna. Rupp wyciągnął z kieszeni niebieską chustkę i otarł sobie twarz, żona jego patrzyła ślepo na swoje ręce z otwartymi ustami i z wyrazem, jaki widuje się czasami na twarzach głuchoniemych. Droste rozglądał się po sali sądowej i czuł, że ręce jego lekko drżały.

W powietrzu nawet czuć było zdenerwowanie. Chwilę przed tym przewodniczący Senatu zajął miejsce na małej trybunie nad wejściem, w towarzystwie jednego z sędziów sądu apelacyjnego, aby przysłuchiwać się rozprawie. Droste wiedział, co to znaczyło. Niewątpliwie do Senatu doszła jakąś drogą wiadomość, że przeciąga niemożliwie proces. Prokurator żonaty był z przyrodnią siostrą przewodniczącego Senatu. Żle jest, gdy pod znakiem zapytania staje nie tylko los więźnia, ale również los sędziego. Każdy proces ma

wpływ na karierę sędziego: na jego powodzenie lub niepowodzenie, awans lub pominięcie, dochód, tytuł, honory.

Nie mogę na to nic poradzić - pomyślał Droste - wiem, że jestem zbyt pedantyczny, zbyt dokładny - w gruncie rzeczy nudziarz i dziwak. Ale to jest moje zadanie: nie spocznię póki nie wydobędę na światło sprawiedliwości i prawdy.

Ława prasowa ziewała i zaraziła ławę przysięgłych.

Jeżeli ta kobieta, Ohnhausen także nie potrafi rzucić nowego światła na tę sprawę, znajdę się w kłopotcie z tym swoim wezwaniem - pomyślał z przerażeniem Droste. Po na wpół opustoszałych ławach dla publiczności przebiegł szept, lekkie poruszenie, jak wokół kamienia, który wpadł w wodę.

- Zbadaliśmy wszystkie fakty mogące mieć znaczenie dla tej sprawy, aż do przesady. - Droste usłyszał głos prokuratora. - Przekonany jestem, że sędziowie przysięgli od dawna już wydali wyrok o morderstwie. Po prostu tracimy czas.

- Proszę nie uprzedzać wyroku, który ma dopiero zdecydować, czy mamy do czynienia z morderstwem czy z zabójstwem. - Droste powiedział automatycznie.

W tej chwili doznał ulgi, dostrzegłszy czerwoną czapkę Marianny.

Marianna siedziała w trzecim rzędzie i trzymała utkwione w niego oczy. Brodę oparła na kostce prawego palca wskazującego, oczy zmrużyła tak, że wyglądały jak szparki, lewą rękę z dużym palcem, zwróconym do środka, zacisnęła w pięść - zwykłe jej zachowanie, ilekroć była czymś przejęta. Uśmiechnęła się, spotkawszy jego wzrok, podczas gdy on z pewną trudnością tylko zdołał utrzymać urzędową powagę. Po tym zwróciła głowę ku lewej stronie sądu, gdzie powstało lekkie zamieszanie.

- W każdym razie obstaję przy sprowadzeniu tego świadka - usłyszał Droste swój głos. W tej samej chwili zobaczył, że pani Ohnhausen, jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znajdowała się już w sądzie. To ona była przyczyną tego małego zamieszania po lewej stronie ław dla publiczności - a teraz stała i poruszała podniesioną ręką,

jak dziecko w szkole. To zadecydowało. Protesty prokuratora i obrońcy zostały przeważone i woźny wprowadził wdowę Ohnhausen przepisową drogą - naprzód przez wyjście w tylnej sali, potem przez korytarz i przez boczne wejście do sali, na ławę świadków. Prokurator rzucił szybkie spojrzenie na przewodniczącego Senatu na trybunie, twarz obrońcy Ruppowa wydłużyła się, jak gdyby węszył już zły obrót sprawy i zaplanowany podstęp w tym nadzwyczajnym zjawieniu się nowego świadka.

Wdowa Ohnhausen wkroczyła na salę. Przyszła ubrana w niebieski wiosenny kostium, zbyt obcisły może na piersiach i ramionach, z pękiem margeritek na niebieskim kapeluszu, z opanowaniem kobiety pewnej wrażenia, jakie sprawia, i przyzwyczajonej do wydawania rozkazów. Dziwna rzecz, że na widok tej pełnej życia kobiety cały sąd ożywił się i zbudził do nowego życia. Jeden z sędziów przysięgłych wyjął z kieszeni chustkę i wytarł nos - zabrzmiało to jak fanfara. Przysięgła, wdowa po pułkowniku Budecker spojrzała z niesmakiem i z antypatią na tę wdowę po szynkarzu Ohnhausen. Na pierwszy rzut oka poczuła do niej niechęć. Dziwna rzecz, że taki sam wyraz odmalował się na pokrytej piegami twarzy oskarżonej. Ruppowa z początku popatrzyła pytająco na męża, a potem przyjrzała się kobiecie w niebieskim kostiumie od stóp do głowy z głęboką, uporczywą i przenikliwą uwagą. Prokurator i obrońca przysłuchiwali się z rezygnacją, jak Droste brał personalia od nowego świadka. Wionął od niej zapach konwalii, dochodząc do ław sędziów przysięgłych. Droste nie zaprzysięgał jej, ale zadowolili się pouczeniem, aby mówiła prawdę.

- Chętnie - rzekła uprzejmie, co przewodniczącego Senatu w górnej łoży sprowokowało do przelotnego uśmiechu.

- Zanim rozpocznie się właściwe przesłuchanie, chciałbym zadać świadkowi pytanie - rzekł cierpko prokurator,

pochyłając się naprzód. - Jak to się stało, że świadek znalazł się właśnie w sądzie? Pani Ohnhausen zwróciła się ku niemu i odpowiedziała:

- Naturalnie, że mnie interesowało, czy cośkolwiek stanie się panu Ruppowi?

- A więc pani zna oskarżonego? - zapytał prokurator. Pani Ohnhausen, jak gdyby zdziwiona bezsensownością pytania, odpowiedziała pocieszającym tonem:

- Oczywiście.

Droste ujął teraz sam w ręce kierowanie rozprawą.

- Czy świadek przypomina sobie, że oskarżony Rupp odwiedził zakład świadka wieczorem czternastego października?

- Czternastego... nie, nie mogę twierdzić. Ale prawdopodobnie przyszedł. Bywał tam prawie codziennie w tym okresie, a więc równie dobrze mógł przyjść także i czternastego października. - W słowach jej zabrzmiała ledwo dostrzegalna drwiąca nuta.

- Niech świadek opowie nam coś o swoich osobistych stosunkach z oskarżonym - rzekł Droste. Ręka drżała mu silniej, gdy sięgnął do kartki protokołu, jak gdyby chciał mieć coś, czego by się trzymał. Dla niego nie było na świecie nic bardziej podniecającego, aniżeli docieranie do prawdy, nawet miłość dawała tylko blade zadowolenie w porównaniu z tą gorączką.

- Tu nie ma wiele do opowiadania - rzekła wdowa Ohnhausen - to nie jest tajemnica, że pan Rupp spodobał mi się od razu. Nie zwracałam nigdy uwagi na plotki Rittergasse. Ostatecznie jestem niezależną, prawda?

Jestem wdową i mogę robić co mi się podoba, czyż nie?

Steiner, jeden z asesorów, uśmiechnął się. Droste nadał szczerzej odpowiedzi pani Ohnhausen prawniczą formę:

- Oskarżony Rupp odwiedzał często zeszłej jesieni zakład Świadka „Pod Niebieskim Jeżem” i spodobał się jej - powiedział.

Reporterzy zastenografowali to.

- Rozumie się, że wtedy nie był oskarżonym - zauważył świadek rozsądnie.

- A więc pan Rupp spodobał się pani? - rzekł Droste. - A jak ułożyły się dalsze wasze stosunki?

Na chwilę wstrzymał oddech. - Jeżeli odpowiedź może świadkowi zaszkodzić lub przynieść mu wstyd, świadek ma prawo uchylić się od udzielenia jej - dodał.

Pani Ohnhausen wzruszyła ramionami, świeża fala perfum wydobyła się z jej pulchnej, pewnej siebie pąstaci.

- Dlaczego miałyby mi przynieść wstyd? - zapytała. - Tu nie ma się czego wstydić; to co robię - to moja sprawa. Przyjrzałam się temu chłopcu i spodobał mi się. Przynosił nam mięso od rzeźnika, póki tam jeszcze pracował, a powiadam państwu, że to był dzielny mężczyzna, ten pan Rupp. Potem, gdy poznaliśmy się bliżej, postanowiliśmy się pobrać. Było nam dobrze razem, a mnie potrzebny jest mężczyzna w domu. Pan Rupp akurat nadawałby się do tego.

- Czy Rupp wiedział o tym projekcie małżeństwa? - zapytał Droste.

- Jak proszę? - powiedział świadek zdumiony.

- Czy Rupp wiedział, że chciała pani wyjść za niego - i czy zgadzał się na to? - powtórzył sędzia. Cały sąd nadśłuchiwał teraz czujnie. Dał się słyszeć szelest kartki, którą oskarżony podał przez ramię swemu obrońcy.

- Naturalnie - powiedziała wdowa Ohnhausen z uśmiechem. - Gdybyśmy się pobrali, za jednym zamachem uwolniłby się od wszystkich swych kłopotów.

- Czy pani nie wiedziała, że Rupp ma już żonę? - zapytał Droste szybko. Pani Ohnhausen rzuciła szybkie spojrzenie na Ruppową na ławie oskarżonych. - Rozumie się - powiedziała.

Oczy sądu poszły w ślad za jej spojrzeniem. Ruppowa siedziała tam akurat, jak przez wszystkie dni przed tym; patrzyła na swoje ręce, jak gdyby była głucha, i nie rozumiała nic.

Drostemu wydawało się, że czerwone włosy oskarżonej stały się nagle brązowe, ciemniejsze niż zwykle. Nagle uświadomił sobie, że włosy jej były mokre od potu i że Ruppowa cierpi, jak w agonii. Nastąpiła cisza, którą świadek przerwał nie zapytany.

- Widzi pan, panie sędzio, pożycie między panem Ruppem a jego żoną skończyło się niedługo, zanim rozpoczął się nasz stosunek. Pan Rupp zawsze latał za kobietami, cała ulica wiedziała o tym. Ale ja potrafiłabym go już utrzymać, gdybyśmy się pobrali. Żona jego nie umiała go utrzymać, a nikt nie może zabrać drugiemu czegoś, czego tamten już nie ma. Ot, co mówię. - Oparła się niedbale o barierę tak, że woźny sądowy cofnął się w kąt z przerażeniem i strachem, a potem ciągnęła dalej poufale: - Nie, nie, panie sędzio, jeżeli kobieta trzyma mężczyznę naprawdę, to żadna inna nie może go jej odebrać. Mąż mój nie poszedłby z żadną kobietą, choćby poprosiła go o to sama Fenusa. Ta kobieta nie pasowała do pana Ruppca zupełnie, mówił mi to setki razy. Zapłaciliby jej odszkodowanie - no, i uwolniłby się od niej. A do mnie by pasował, do mego interesu i w ogóle.

- Skąd Rupp wziąłby pieniądze na odszkodowanie dla swej żony? - wtrącił prokurator. - Świadek wie, że był on bezrobotnym i nie miał żadnych środków. Czy pani dałaby mu pieniądze na przeprowadzenie rozwodu?

Wdowa spojrzała na niego zdumiona. - Ja? Jak to? Ach, nie - zapewniła - widzi pan, miał odziedziczyć pieniądze po matce, a to pozwoliłoby mu uwolnić się od żony...

- Chciałabym coś powiedzieć - oświadczyła nieoczekiwanie Ruppowa. Wszyscy w sądzie zwrócili się ku niej. Tępy, monotony głos, który znało się od szeregu dni, uległ zmianie, załamywał się jak gdyby w łkaniu. Droste, podniecony do najwyższego stopnia, chwycił coś - ołówek, który znalazł przed sobą. Dałby wszystko za papierosa. Tępe uderzenia serca zdawały się rozlegać w jego piersi.



- Chwileczkę, pani Rupp - rzekł. - Gdy tylko zakończone zostanie badanie tego świadka.

Ruppowa nie usiadła, pozostała w pozycji stojącej, z rękami zaciśniętymi na drewnianej płycie, przybitej skośnie do ławy - i kołysała się miarowo w tył i naprzód jak dziecko w szkole, wypowiadające wyuczone wiersze. Droste zwrócił się szybko do świadka.

- Jeszcze jedno - rzekł i poczuł z wściekłością jak bardzo był zachrypnięty. - Czy stosunki pani z oskarżonym były intymnej natury? Świadek w ciągu paru sekund zachowywał milczenie - i patrzył na Ruppę. Mężczyzna nie odpowiedział jej spojrzeniem. Położył rękę na ramieniu swego obrońcy, jak gdyby chciał mu powiedzieć coś bardzo ważnego.

- Może pani odmówić odpowiedzi na to pytanie - powiedział Droste do pani Ohnhausen.

Wdowa skinęła mu przyjaźnie głową.

- Odmawiam odpowiedzi - rzekła.

Na sali wybuchł krótki śmiech, a potem nagle zamarł. Droste wciągnął głęboko oddech, w rozpalonym gardle poczuł chłód wchłoniętego powietrza.

- Czy ktoś życzy sobie zadać pytanie świadkowi? - zapytał, a jednocześnie nie spuszczał wzroku z twarzy Ruppowej, zmagającej się w walce.

Pani Budecker, członkini przysięgłych szepnęła coś asesorowi Steinerowi, a on z kolei powtórzył to Drostemu, który zwrócił się do świadka.

- Sąd chciałby wiedzieć, czy zamiar pani poślubienia oskarżonego jeszcze jest aktualny?

- Nie, rozumie się, że nie - odpowiedziała z miejsca pani Ohnhausen.

Obrońca zerwał się na nogi. Wydawał się zrozpaczony.

- Muszę zaprotestować przeciwko temu, aby używać hipotetycznych historii miłosnych mego klienta do wywoływania przeciwko • niemu uprzedzenia. Nie mają one nic

wspólnego z oskarżeniem - wykrzyknął zwracając się do sędziów przysięgłych.

Przewodniczący Senatu wstał w swojej loży. Przez cały sąd przeszedł dreszcz podniecenia. Jedna tylko pani Ohnhausen spokojnie, nieomal z wyrazem rozbawienia na twarzy, kołysała się lekko i wyglądała zupełnie ponętnie ze swoją pulchnością i tuszą, tak samo jak wczoraj, gdy stała przy bufecie.

- Dobrze. Czy nikt nie ma już żadnych pytań? - rzekł Droste spoglądając wokół siebie. - Dziękuję, to byłoby wszystko - ciągnął zwracając się do świadka.

Pani Ohnhausen wykonała ruch, będący czymś w rodzaju ukłonu, po czym woźny wskazał jej miejsce na ławie świadków.

Droste zwrócił się teraz ku pani Rupp. Nie mógł nic na to poradzić, że wyraz jego twarzy był bardzo niejurystyczny, pełen dobroci i litości. Wiedział tak dokładnie, co dzieje się wewnątrz Ruppowej, że poczuł ból w swojej własnej piersi. Poddał Ruppową najokrutniejszym torturom i, dzięki Bogu, skłoniły ją one do mówienia.

- Zdaje mi się, że oskarżona chciała coś powiedzieć - zauważył spokojnie. Pani Rupp kołysała się na ławie oskarżonych naprzód i w tył. Krople potu spadały z jej przemoczonych włosów, co nadawało jej wygląd najwyższego wyczerpania i wysiłku. Otworzyła usta, usiłując coś powiedzieć, ale nie chciało się to uformować w słowa. Droste doznał silnego wzruszenia, jakie opanowywało go zawsze, ilekroć na jakimś oskarżonym wymuszało się zeznanie - czuł podniecenie, które ścisnęło mu gardło, i zimny dreszcz, który przebiegał mu po skórze i wzdłuż całego grzbietu.

- Nie wiedziała pani nic o stosunkach między swoim mężem a świadkiem? - rzekł łagodnie. Ruppowa potrząsnęła głową. Wargi jej wydeły się - i gdy zaczęła mówić, były to nieartykułowane dźwięki, jak próba mówienia osoby niemej.

- Nie wiedziałam nic - rzekła - nie wiedziałam nic, panie sędzio... nic absolutnie. Żyje się i wyłazi ze skóry... wszystko dla męża, a on... Nie wiedziałam nic zupełnie, panie sędzio, nic... o niczym - rzekła zamykając oczy. - Panie sędzio, to on to zrobił. On to zrobił sam, a ja nie wiedziałam o tym nic. Morderca, zbrodniarz, a jeżeli go za to powieszają, spotka go zasłużona kara. Zasłużona kara! - krzyczała. Teraz robiło to wrażenie wybuchu, jak gdyby góra cierpienia poruszyła się na koniec i wybuchła żarem. - Zasłużona kara... i po tym wszystkim co dla niego przecierpiałam... idzie z pierwszą lepszą... i nie wie się nic. Kiedy stara już nie żyła, przyszedł do mnie, objął mnie i powiedział: „Lisiczko - powiedział - teraz będzie nam dobrze”. Nazywał mnie czasem „Lisiczką”, dawniej, na początku naszej znajomości - objaśniła i cień nieomal szaleńczego uśmiechu przemknął na chwilę po jej twarzy; to było okropne, gdy refleks minionej czułości rozświetlił te ruiny ludzkiej twarzy. - „Teraz będzie znowu dobrze” - powiedział, a ja jak idiotka • uwierzyłam mu. A potem, kiedy rozpoczęło się to wszystko z ubezpieczeniem i gdy na nowo mieli badać zwłoki, przychodzę któregoś dnia z prania i widzę go, jak stoi w kuchni i wymiotuje; „Czyś zjadł coś niedobrego?” - zapytałam i ugotowałam mu mocnej czarnej kawy. Powiedział: „To przejdzie”, ale był cały zielony na twarzy. Tej nocy, kiedy dzieci już spały, powiedział mi: „Wyjdź na chwilę na dwór, mam ci coś do powiedzenia”. A ja na to: „Jak to, czyś zwariował, w nocy?” A on na to: „Ze mną już koniec, Lisiczko”, położył mi głowę na kolanach i zaczął płakać jak dziecko. - Teraz otworzyła oczy, z których toczyły się ciężkie łzy... spływały na jej usta, a ona ocierała je wierzchem swej ręki. - Przytulił się do mnie, jak dziecko, i opowiedział mi wszystko: jak nasypał trucizny do zupy i jak matka powiedziała, że to ma dziwny smak spalenizny, a on jej na to: „Zjedz tylko, tam jest lekarstwo” - i ona zjadła. Nie byłam nawet w domu wtedy, panie sędzio, byłam u państwa Hónnecke, którzy przepro-

wadzili się - a jak stara umarła, to była noc. Wtedy siedziałam przy niej i posłałam męża po doktora, ale doktor nie przyszedł aż rano, a kiedy przyszedł - powiedział: „Stara pani nie żyje i możemy dziękować za to Bogu, gdyż z rakiem może być znacznie gorzej, gdy człowiek nie umiera na czas” i poszłam do Honnecków z powrotem. Kiedy mi opowiedział owej nocy, co zrobił, sama omal nie umarłam ze strachu. Pytam go: - „Po coś to zrobił?” - a na to on płacze jeszcze bardziej i mówi: „Zrobiłem to tylko dla ciebie. Abyś miała lepsze życie i dlatego, że nie mogę już patrzeć na twoje cierpienia”. A ja na to: „Uspokój się - mówię mu - me pozwolę, aby ci się stało cośkolwiek”, bo taka wdzięczna mu byłam, że podobną rzecz zrobił dla mnie. Jakże ja mogłam pozwolić mu iść na szubienicę albo do więzienia, jeżeli zrobił to dla mnie? A potem nareszcie usnął przy mnie, jak małe dziecko, a ja rozmyślałam, co mam zrobić, aby mu się nic nie stało...

- Przyszedł do mnie, do mnie - krzyknęła, i w tym krzyku była dziwna mieszanka dumy i najgłębszego cierpienia. -Do mnie przyszedł, na to byłam dość dobra, nie poszedł z tym na Rittergasse, do tej szmaty - ale mnie kazał to wszystko wlec! Com tu przecierpiała... Co ja musiałam przecierpieć, panie sędzio! - powtórzyła bardziej miękko. -Rozpacz o męża i o dzieci i o to maleństwo tutaj - położyła ręce na swe ciężkie ciało i pozwoliła teraz, by po twarzy jej spływały łzy, których nie ocierała. - To cud, że nie zwariowałam... i wszystko dla tego człowieka... a on opowiadał **mi** brudne kłamstwa i oszukiwał mnie przez cały czas... chciał mnie spłacić z tego, co otrzyma za morderstwo i ożenić się z tą szmatą... dla niej to zrobił, nie dla mnie - a ja nie wiedziałam nic, nic nie wiedziałam... Stłoczeni byliśmy w sześcioro w jednym pokoju i człowiek nie wiedział nic o tym, co się działo. To on sam to zrobił i jeżeli go powieszają, spotka go zasłużona kara.

Sąd słuchał bez tchu, jak gdyby patrzył na kulminacyjną

scenę dramatu. Droste także wstrzymywał oddech. Teraz krew spłynęła mu z powrotem do rąk i policzków, które były zimne.

Pani Rupp nagle upadła na ławkę i, ukrywając twarz w dłoniach, zaszlochała głośno, wydając z siebie rwące wstrząsające łkania i bezradne zwierzęce lamentsy. Droste siedział tak, jak gdyby przymarzył do swego sędziowskiego krzesła. Chętnie podszedłby do Ruppowej, wziął w swoje ręce jej moką gwarz i pogładził ją. Bruhne, jej obrońca, coś jej jeszcze tłumaczył. W sądzie zawrzało, gdy tylko Ruppowa przestała mówić; członkowie ławy przysięgłych szeptała coś cicho między sobą; ławy prasowe wyglądały jak las gestykulujących rąk. Droste był wyczerpany - tym głębokim wyczerpaniem, jakie przynosi z sobą zadowolenie. Jednocześnie rozważał już formalności, jakie wyłoniły się w konsekwencji zeznania Ruppowej. Rzucił spojrzenie na prokuratora - teraz na niego przyszła kolej mówienia.

W ciągu całego tego podniecenia Rupp siedział nieruchomy z wyrazem zdumienia na twarzy, jak gdyby wszystko to przekroczyło jego pojęcie. Droste zwrócił się teraz ku niemu.

- Oskarżony Rupp, co pan ma do dodania w związku z tym zeznaniem? - zapytał starając się nadać ostry ton swemu zachrypniętemu głosowi.

Oskarżony podniósł się ciężko i stanął, przestępując z nogi na nogę. Krzyki jego żony wznosiły się ponad gwar sali sądowej.

- Żona moja często ma takie ataki - oświadczył ciężko, a jednocześnie patrzył na panią Budecker, jak gdyby teraz jej rzeczą było przyjść mu z pomocą.

- Czy przyznaje się pan do otrucia swej matki? - zapytał Droste.

Rupp zastanowił się chwilę, po czym potrząsnął głową.

- Nie, to także nie jest prawdą - rzekł - żona jest zazdrosna i dlatego chce to na mnie zrzucić.

Szmer oburzenia, gniewny syk rozległ się w sali. Rupp usiadł prędko. Prokurator stanął.

- Wnoszę o odroczenie rozprawy - wykrzyknął dźwięcznym, efektownym tonem. - Cofam skargę o współudział i oskarżam oskarżonego Alojzego Ruppą o morderstwo z premedytacją.

- Rozprawa jest odroczone aż do zawiadomienia - rzeki Droste. Głos odmówił mu już Zupełnie posłuszeństwa i musiał powtórzyć swoje oświadczenie, zanim zrozumiał je ktokolwiek w sądzie. Sędziowie przysięgli siedzieli w osłupieniu. Szuranie nogami, rozmowy, krzyki, nawoływania, ruch, podniecenie. Sala opróżniała się z wolna. Pośrodku całego tego zamieszania pani Ohnhausen podniosła się i podeszła do bariery.

- Ja już nie będę potrzebna? - zapytała grzecznie.

- Nie, nie, droga pani, może pani na dzisiaj iść już na dobre do domu - odpowiedział asesor Steiner.

Woźni sądowi i policjanci zajęli się teraz Ruppową, która ciągle jeszcze leżała z głową opartą na ławie oskarżonych; krzyki jej nabrały teraz charakteru konwulsji. Droste zebrał swoje papiery i zszedł z fotela. Zupełnie wbrew przepisom podszedł do oskarżonej, gdyż czuł nieokreśloną potrzebę pocieszenia jej jakimś ludzkim słowem po tych wszystkich męczarniach, jakie na nią sprowadził. Ale Ruppowa nie widziała go ani nie słyszała, dawała jedynie w rwących się słowach upust swej rozpacz, że mąż oszukał ją haniebnie i że ona nie wiedziała o niczym.

- Dajcie jej morfinę i postarajcie się, żeby zasnęła - rzekł Droste cichym głosem. Ujął obiema rękami aksamitne wyłogi swej togi i wyszedł z sali. Korytarz pełen był zaduchu i gwaru ludzkiego tłumu. Droste poczuł, że kolana mu się trzęsą - tak bardzo wyczerpało go zwycięstwo.

Nie ulegało wątpliwości, że to było zwycięstwo. Aplikanci składali mu życzenia, a starsi sędziowie zatrzymywali go, gdy szedł do swego gabinetu, i poklepywali po ramieniu.

Przerwa na obiad już minęła, prokuratorowie, sędziowie, świadkowie, oskarżyciele i oskarżeni wracali z obiadu do różnych sal w sądzie. Sprawozdania o procesie krążyły już z ust do ust wśród fachowców po całym budynku.

Perlemann troskliwie przyniósł szklanekę gorącego mleka z wodą selcerską. Droste z wdzięcznością wlał ten mdławy płyn do rozpalonego gardła. Umył ręce, ale mimo to miał uczucie, że nie stały się przez to czystsze. Niezwłocznie potem zastukano do drzwi - i wszedł przewodniczący Senatu. Droste wciąż jeszcze miał na sobie togię, ale zdjął już kołnierzyk i krawat, stał przy małej umywalni, która wpuszczona była w stare odrzwia, i szybko wytarł namydlone ręce, aby przyjąć powinszowania i wyrazy uznania. Przewodniczący Senatu był to starszy pan z farbowanymi wąsami, nosił zawsze płaskie, gotowe krawaty, a wyglądał w swym starodawnym obcisłym „szlusroku”, jak gdyby dopiero co powrócił z konnej przejażdżki w Tiergartenie. - Znakomicie, to było znakomite, panie kolego - oświadczył. - Pańska nowoczesna szkoła psychologiczna osiągnęła jeszcze jedno zwycięstwo - za tym my, starzy rutyniści, już nie nadążamy. Ale doprawdy, skąd pan bierze tyle niehumanitarnej wprost cierpliwości? Cudownie! A więc teraz cały proces zacznie się na nowo, he? Wie pan, przypomina mi to pewną sprawę, którą prowadziłem jako młody sędzia w Mülhausen w Alzacji. Droste nałożył na nowo kołnierzyk i wysłuchał opowiadania o sprawie, która nie miała absolutnie żadnego związku ze sprawą Ruppów. W końcu przewodniczący Senatu odszedł, ciągle jeszcze mrużąc swoje słodko-kwaśne zachwyty, a Droste niezdecydowany pozostał w pokoju; niechętnie odetchnął powietrzem, przesiąkniętym kurzem, wydobywającym się ze starych papierów, tak nieodłącznym od każdej urzędowej kancelarii.

Wszedł Perlemann i z powrotem położył na biurku akta sprawy Ruppów. Droste popatrzył na nie ze wstrętem.

- Niech pan poprosi Eckhardta - rzekł. - Potrzebna mi jest jego pomoc. Perlemann roześmiał się.

- Zapomniał pan znowu, że pan asesor jest teraz w podróży poślubnej - powiedział zadowolony.

Roztrzepanie Droste'go tam, gdzie chodziło o najprostsze sprawy, było źródłem ustawicznej zabawy dla Perlemanna, który potem znowu zabawiał swoją żonę i teściową opowiadaniem o tym, co to „jego sędzia” zrobił dzisiaj nowego. Asesora Eckhardta nie było już od trzech tygodni, a Droste prawie codziennie zapominał o tym.

Twarz mu się wydłużyła. Przyzwyczał się do wspólnej pracy z Eckhardtem. Nie umiał pracować ze Straubem, młodym asesorem, który zastępował Eckhardta. Stojąc przeczytał kilka notatek, które nabazgrał na marginesie aktów, i westchnął.

- Doktor Eckhardt wraca w poniedziałek - rzekł pocieszająco Perlemann, powiesił tożę w szafie i wyszedł z pokoju.

Droste wyjął z szuflady małą fajeczkę, napełnił ją, potem odłożył na bok - i zapalił papierosa. Palił łakomie i wchłaniał głęboko dym. Zadzwoił telefon. Był to prokurator.

- Powinniśmy odbyć dziś po południu konferencję, aby ustalić, kiedy będzie można rozpocząć nowy proces - powiedział smętnie. Okazało się, że teraz, gdy nareszcie dotarto do prawdy w sprawie Ruppów, spowodowało to dla sądu tylko nowe kłopoty.

- Tak, sądzę, że powinniśmy - powiedział Droste przeciągle. Chciał koniecznie wyjść z Clarchen na spacer na świeże powietrze i poczuć jej ufną maleńką rączkę w swojej. Spojrzał na zegarek - blisko trzecia.

- Ostatecznie to już prawie koniec tygodnia - usłyszał głos tamtego po drugiej stronie przewodu.

- Ja też wolałbym teraz iść do domu, gdyż czuję się trochę



zmęczony - odpowiedział Droste z gotowością. Po drugiej stronie propozycję jego przyjęto z zapalem.

- Perlemann! - zawołał Droste, gdyż dzwonek na jego biurku nie działał. Upłynął jakiś czas zanim zjawił się Perlemann, a tymczasem Droste uporządkował swój pokój. Zrobił kilka notatek, kilka starych wrzucił do kosza z papierami. W końcu przyszedł Perlemann.

- Gdzież jest mój kapelusz? - zapytał Droste.

- Pan sędzia przyszedł dziś bez kapelusza - powiedział Perlemann.

- Ale przecież pada deszcz - odpowiedział sędzia, wyglądając przez okno. Czerwony mur więzienia był mokry, a deszcz padał srebrzystymi smugami.

- Rano była piękna pogoda - stwierdził Perlemann stanowczo.

Droste wyobraził sobie siebie, stojącego bez kapelusza na przystanku tramwajowym z włosami mokrymi od deszczu.

- Będę musiał wziąć taksówkę - rzekł niezdecydowany. Perlemann wręczył mu teraz kartkę. Była od Marianny.

„Czy wyjdiesz napić się ze mną kawy?” było na niej napisane. Droste, pod wpływem podniecenia przy zamykaniu rozprawy, zupełnie zapomniał o obecności Marianny. Teraz promieniał zadowoleniem. Kawa i Marianna - były to dwie rzeczy, których właśnie potrzebował. Prędko nałożył palto.

- Ta pani czeka przy klatce schodowej numer drugi - odznajmił Perlemann.

- Potrzebna mi będzie jutro rano kopia protokołu z dzisiejszej rozprawy oraz wieczorne gazety - rzekł Droste i szybko wyszedł.

Marianna siedziała na jednej z tych drewnianych ławek, na których świadkowie i bywalcy sądowi spędzają czas oczekiwania i prowadziła właśnie żywą rozmowę z jakimś rozgorączkowanym młodym człowiekiem, który miał w uchu coś w rodzaju złotego kolczyka.

Marianna lubiła wdawać się w rozmowę z wszelkiego rodzaju ludźmi - w tramwajach,

autobusach, na targach, przy budowach - i chętnie zabawiała potem swoich przyjaciół dowcipnym powtarzaniem wybranych wyjątków z ich soczystych i pieprznych rozmów. Miała na sobie tweedowy kostium, niebiesko-czerwony, nakrapiany szal na szyi i czerwoną czapeczkę, która wyglądała jak sygnał kolejowy.

Na widok Drosteego szybko podeszła ku niemu.

- Żyjesz jeszcze, biedny Puszelu? - zapytała od razu.

- Tak, ledwie.

- Mam na dole swego „Pufika”. Możemy pojechać. „Pufik” była to pieśczośliwa nazwa nie męczącego się nigdy, małego samochodu.

- Dobrze. Pada deszcz - powiedział Droste.

- To tylko deszczyk majowy, ciepły i przyjemny - odpowiedziała Marianna, gdy weszła z bramy w szare strumienie deszczu. To był jej sposób odnoszenia się do wszystkiego.

- Dokąd chciałbyś pojechać? - zapytała, gdy weszli do auta. - Do kawiarni, czy do mego biura?

- Myślę, że na Diisseldorferstrasse.

- A coś tam zgubił?

- Ewelinę... - rzekł niepewnie.

Marianna przyjrzała mu się uważnie. - Zapomniałeś, że Ewelina jest u mnie w Geltow - rzekła surowo. Droste zaczął się śmiać i zakończył ostrożnym kaszaniem, któremu Marianna przysłuchiwała się ze zmarszczką na czole.

- Jesteś zachrypnięty jak kruk - powiedziała. - Nie powinieneś palić... papierosy są w bocznej kieszeni.

Droste z uczuciem wdzięczności zapalił papierosa i włożył go Mariannie między wargi - po czym wziął drugiego dla siebie.

- Dalibóg, zapomniałem zupełnie, że obie spędzacie tam razem weekend - rzekł pogodnie. - Ale w takim razie co ty robisz w mieście?

- I ja chciałabym to wiedzieć. Ci idioci zatelefonowali do mnie, abym przyjechała o dziewiątej, a tymczasem okazało

się, że wszystko jest w porządku. Jakieś drobne nieporozumienie z robotnikami przy betonach. Potem, skoro już tu byłam, poszłam na twoją rozprawę, a ponieważ mam o szóstej zebranie, muszę jeszcze zostać - zakończyła szybko. Mówiąc to, trzymała oczy utkwione w ulicę.

- No, to pięknie z twojej strony - rzekł Droste, sadowiąc się z zadowoleniem. - Jak się ma Ewelina? - zapytał w chwilę później.

- Kiedy odjeżdżałam, spała, skulona jak jeż. Mam nadzieję, że nie zbudzi się przed pierwszą. Znasz Ewelinę - powiedziała Marianna, uśmiechając się do Drostego, który oddał jej uśmiech. - Napisałam dla niej rozkład zajęć na cały dzień i zostawiłam na stole. Przypuszczam, że mniej więcej teraz skończyła śniadanie. Od czwartej do piątej ma bawić się z kotem, a później, w razie pogody, iść na przechadzkę aż do parku.

- Będzie się nudziła, ale to jej dobrze zrobi - powiedział Droste.

- Na pewno - rzekła Marianna.

Nie pytała już Drostego, dokąd chciałby pojechać, ale po prostu zawiozła go do swego biura na Bleibtreustrasse. Asfaltowa powierzchnia ulicy była mokra i błyszcząca, ale słońce pokazało się znowu.

Biuro Marianny mieściło się w domu, otoczonym ogrodem. Przechodzili koło ociekających od deszczu cisów. Marianna otworzyła drzwi. Wnętrze nie przypominało w niczym wyglądu biura. Na olbrzymim stole zapach perfum Marianny, w kącie kanapa olbrzymich rozmiarów z całą kolekcją czerwonych, żółtych i pomarańczowych skórzanych poduszek na czarnym atłasie. Cztery ściany pokoju wymalowane były różnymi kolorami; gdy Marianna nacisnęła kontakt, tu i ówdzie ukazywały się na ścianach oświetlone kwadraty i kule z mlecznego szkła.

Przede wszystkim Marianna powitała złotą rybkę z wachlarzowatym ogonkiem, która pływała w szerokiej szklanej podstawie niskiego stołu.

- Dzień dobry, Laotse - rzekła z szacunkiem. - Jak się pan ma? Czy zawsze jednakowo melancholijny?

Droste poczuł się niesłychanie szczęśliwy w tym wariackim otoczeniu.

Wyciągnął się na kanapie i podłożył ręce pod głowę. Marianna, przechodząc obok niego z maszynką do kawy w kształcie szklanej kuli - pogłaskała go przelotnie po czole.

- Nie potrzebujesz nic mówić - rzekła, gdy otwierał usta. Zadowolony zamknął je znowu - i oczy także - i słyszał wyraźnie teraz delikatny szklany brzęk maszynki do kawy; zaszeleścił papier, woda zaczęła syczeć i gotować się, potem przysunęła się suknia Marianny z suchym szelestem wełny.

- Wiesz, Marianno - rzekł leniwie, nie otwierając oczu - ilekroć mam taką robotę, jak ta sprawa, w gruncie rzeczy czuję się ledwo żywy. Częściowa utrata świadomości. Nawet teraz jestem zupełnie otumaniony, jak gdybym budził się dopiero po zemdleniu. Nie wiem, jak mam to wyrazić, człowiek wżera się w to - tak wżarłem się w tę sprawę Ruppów, aż nie pozostało prawie nic ze mnie samego. Ale to jest jedyny sposób, jedyny sposób. Tylko tak osiąga się rezultaty. W końcu wiedziałem już z góry, co czuje i myśli ta kobieta - i jak zareaguje i co powie - ale to jest coś w rodzaju transu fakira... rozumiesz?

- Masz tu kawę - rzekła Marianna i Droste poczuł blisko swej twarzy gorący, gorzki i ożywczy aromat. Otworzył oczy i usiadł.

- Teraz jest mi już zupełnie dobrze - rzekł ochryłym, zmęczonym głosem.

- To dobrze, że nie stosujesz swoich fakirskich sztuczek psychologicznych wobec ludzi ze swego bliskiego otoczenia - powiedziała Marianna wrzucając mu do kawy dwa kawałki cukru. Droste wypił łyk i roześmiał się. Kawa to było życie, święto i uroczystość.

- Będę uważał, aby tego nie robić - odpowiedział z zado-

wolaniem. - W każdym razie ty jesteś za przebiegła dla mnie. - Wyciągnął do niej filiżankę, aby ją znów napełniła -a z Ewelina to się nie opłaci... Ona jest jak kawałek szkła -dodał.

Uderzył paznokciem swego wskazującego palca w kulę maszynki do kawy, która odpowiedziała delikatnym, czystym i dźwięcznym głosem.

- To Ewelina. Okrąga i przejrzysta...

- Tak? - powiedziała na to Marianna, ale tymczasem Droste znalazł na stole książkę i otworzył ją.

- Weininger - powiedział surowo. - Ukradłaś mi go z biblioteki.

Marianna usiadła przy nim i otoczyła mu ręką plecy. Dotknięcie to było tak zdumiewająco przyjemne, że Droste cofnął się, a ona natychmiast odsunęła rękę.

- Rozumie się, że ukradłam, mój drogi - rzekła przyjaźnie - ktoś musi czytać książki, o których ty potem chcesz dyskutować.

Myśli Drosteego odbiegły daleko, podczas gdy jeszcze przewracał kartki książki.

- To naprawdę głupie, że Eweliny nie ma w mieście. Teraz, kiedy wreszcie mam znowu spokojniejszą głowę, moglibyśmy iść gdzieś dzisiaj wieczorem, a tak i ty także będziesz musiała tam pojechać.

- W każdym razie nie oddam Eweliny przed jutrzejszym wieczorem - rzekła Marianna z naciskiem, który sędziemu wydał się trochę przesadny.

- Czy nie mogłabyś zabrać mnie ze sobą? W takim razie mógłbym przywieźć Ewelinę jutro rano - zaproponował -czuję się jak pusty worek, jak wyżęty ręcznik - dodał usprawiedliwiając się.

- Przykro mi, ale to niemożliwe. Nie mam dla ciebie łóżka, kochanie - powiedziała Marianna uprzejmie.

Gdy zaczęła nad tym rozmyślać, na czole jej ukazała się bruzda.

- Mogłabym zorganizować dla ciebie w klubie czwórkę do brydża - zaproponowała po chwili. Wstała i podeszła do dziwnie czarnego lustra, wbudowanego w jasnozieloną ścianę pokoju, i stanąwszy tam, przyglądała do tyłu włosy wszystkimi pięcioma palcami prawej ręki. Sędzia przyglądał się jej i widział ją podwójnie: raz w rzeczywistości, a raz -jako czarne odbicie w lustrze.
- Najlepiej będzie jeżeli położysz się wcześniej do łóżka i prześpisz się, dobrze - rzekło surowo odbicie w lustrze.
- Nie mogę spać - powiedział sędzia. Marianna odwróciła się szybko i podeszła do niego.
- Możesz spać - zawołała ostro. - Możesz! Nie wolno ci zaczynać znowu z histerią i weronalem, słyszysz?
- Jesteś nietaktowna, Marianno. Nie odczuwasz szacunku dla tajemnic innych ludzi, gdyż sama nie masz tajemnic - odpowiedział spokojnie. Szczególny wyraz ukazał się na twarzy Marianny - i zaraz potem znikł. Ukłękła i zaczęła przyglądać się rybce Lao-tse, która sennie machała przejrzystą płetwą ogona.
- Powiedz o co chodzi. Co ci jest? - zapytała, jak gdyby nie mówiła do Drostego, lecz do rybki.
- Chciałbym spać, ale muszę myśleć - powiedział sędzia powoli.
- To brzmi jak stara piosenka Storma, czy kogoś w tym rodzaju: „Chciałbym spać, lecz ty musisz tańczyć”. Biedny Puszel! Wyrzuć tych Ruppów ze swoich myśli, człowieku! Myśl o tysiącu owie. Licz sto razy do ośmiu. Bierz słodowe cukierki, które ci przyniosłam. Czytaj „Upadek Zachodu”. Ale, na miłość Boską, pozostaw weronał.
- To nie tylko Ruppowa. Ją wydobyłem już z tej historii, choć nie ułatwiała mi tego zupełnie. Ale poza tym mam jeszcze inne troski. Z Ewelina nie jest wszystko w porządku, tak jak być powinno.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Marianna szybko.

Droste podniósł łyżeczkę, którą upuściła.

- Coś z jej krwią nie jest w zupełnym porządku. Wytwarza zbyt mało czerwonych ciałek, czy też zbyt wiele białych. Doktor nie jest zbyt daleki od tego, aby nazwać to złośliwą anemią, a wiesz, co to znaczy. Poza tym nie będziemy mogli nigdy żyć w granicach naszych środków, póki mamy Fraulein. Ewelina jest za słaba, aby sama mogła zajmować się dziećmi. Gdy tylko zamykam oczy nie widzę nic, tylko same kłopoty... i cyfry... i...

- Ewelina przyjdzie do siebie. Czują się akurat tak samo po pierwszym dziecku. A ty będziesz awansował... i to bardzo prędko. Jeszcze parę takich czarodziejskich sztuczek, jak dzisiejsza...

Droste uśmiechnął się. - To nie była czarodziejska sztuczka - powiedział - ty wiesz... W chwili, kiedy dowiedziałem się, że w życiu Ruppa jest coś, o czym żona jego nie wie, zrozumiałem, że to się wszystko wywróci, gdy się o tym dowie. O tym, że kłamał, wiedziałem już od chwili, gdy powiedział, że ukradł kartofle na Wittenbergplatz piętnastego

października. Piętnasty października to był czwartek, nie? - a w czwartki nie ma targu na Wittenbergplatz - i z twarzy jego wiedziałem, że poza tym wszystkim musi się kryć jakaś kobieta. Potem cała reszta była już prosta.

- Człowieku - powiedziała Marianna zmieszana, jak nieraz już, tym splotem statystycznej ścisłości i intuicji w mózgu Drosteego.

Zabębnił palcem w więzienie Lao-tse, której głowa przez okrągłą szklaną ścianę wydawała się wykręcona i patrzyła nieruchomo wypukłymi oczami.

- Ta kobieta stała tam, jak skała, biorąc na siebie winę swego męża. Nie uwierzyłabyś nigdy, ile odwagi i poświęcenia może tkwić w takim biednym stworzeniu. I jak ona to wszystko zbudowała! A potem, w jednej chwili, wszystko się zawaliło.

Przez chwilę milczał i bębnił w szkło przy głowie Lao-tse.

- Zazdrość to czysto zwierzęce uczucie - dodał.
- Nie uznajesz więc zazdrości? - zapytała Marianna patrząc na niego badawczo.
- To kanibalizm... cywilizowana metoda pożerania ludzi - powiedział.
- A ty nigdy nie jesteś zazdrosny, Kurcie? Odpowiedz -tak uczciwie? Uplęnęła chwila, zanim sędzia odpowiedział.
- Może czasami - rzekł w końcu - czasami, gdy okazujesz zbyt wyraźnie, że wolisz Ewelinę ode mnie.

W momencie, gdy to powiedział, już zaczął tego żałować.

- Nie mówię o zazdrości o mnie, ale o żonę - rzekła Marianna szybko, z pewną ostrością w głosie.
- Och... o Ewelinę! - odpowiedział Droste z uśmiechem -Ewelina nie jest odpowiednim obiektem do zazdrości.

Marianna spojrzała na niego uważnie, a potem podała mu papierosy. Droste miał szum w uszach - jak zawsze, kiedy był zmęczony. Może naprawdę będę mógł spać - pomyślał z wdzięcznością. Bezwiednie śledził spojrzeniem Mariannę, gdy chodziła tam i z powrotem i robiła porządki. Ogarnęło go uczucie głębokiego zadowolenia, czuł jak odpręża się w nim jeden miesiąc po drugim. Węzły w moim mózgu rozluźniają się - pomyślał z ulgą.

- Mogę jeszcze zatelefonować do was wieczorem - rzekł czując już, jak bardzo jest śpiący. Widział już siebie, jak leży w łóżku, mając przy sobie filiżankę herbaty i książkę na kołdrze, a potem zakręca światło i zasypia. Właściwe to dobrze, że Ewelina była w Geltow... Zawsze jakieś delikatne, nerwowe naprężenie szło z drugiego łóżka, gdy ona na nim spała.

- Lepiej będzie, jeżeli zatelefonujemy do niej od razu -rzekła szybko Marianna. Stała znowu nieruchomo pod ciemnym lustrem. - Wieczorem lepiej nam nie przeszkadzaj i nie alarmuj nas. Musisz pozostawić Ewelinę w spokoju, aby nabrała odpowiedniego zapasu tych czerwonych ciałek krwi.



Droste czuł się w danej chwili za leniwy na rozmowę telefoniczną, ale Marianna już zamówiła numer w Geltow i teraz czekała na połączenie, z jedną ręką na słuchawce, z oczami utkwionymi w niego z uwodzicielskim, wyzywającym wyrazem twarzy. Droste pamiętał, że miała taką minę już raz, gdy prowadziła samochód z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, na drodze do Arue. Ale nie rozumiał, co to spojrzenie, zdradzające niebezpieczeństwo i awanturniczość, miało wspólnego ze zwykłą rozmową telefoniczną.

- Halo, Ewelino? Czy to ty? - mówiła teraz Marianna. - Spałaś dobrze, co? Czy śniadanie w porządku? I bawiłaś się z kotem? Za mokro jest na spacer... no, więc nie idź, jeżeli nie masz ochoty. Wrócę około ósmej, wtedy zjemy kolację. Słuchaj! Kurt tu jest i pozdrawia cię gorąco. Zaczekaj chwilę. - Marianna zasłoniła ręką słuchawkę telefoniczną i zwróciła się do Drostego. - „Prosi, żeby cię pozdrowić i pyta, czy Barchen awanturował się okropnie.” - Droste potrząsnął głową i uśmiechnął się. - Nie - powiedziała do telefonu. - Nie więcej, niż zwykle. Czujesz się zupełnie dobrze? Nie masz żadnych poleceń dla Kurta? ... Nie zapracowuj się - zakomunikowała sędziemu polecenie Eweliny. - No, zobaczymy się później, maleńka. Jeżeli przyjdą z lodem, weź dwadzieścia funtów. Do zobaczenia wkrótce.

Odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Drostego. Błyski w jej oczach pogłębiły się. - Czy nie chcesz pomówić z nią sam?

Stała tam, jak tancerka na linie, napięta; oddech podnosił jej suknię na piersiach. Droste leniwie ściągnął ramiona, ale w końcu przemógł się i podszedł do telefonu.

Był on jeszcze ciepły od ręki Marianny.

- Halo, mała myszko - powiedział nachylając się. W telefonie rozległ się trzask. - Nie ma odpowiedzi - oznajmił automatycznie głos telefonistki.

- Prawdopodobnie rozłączyła się - powiedział Droste, wieszając słuchawkę.

Marianna, która stała obok niego z zapaloną zapalką w

reęce, zapaliła teraz papierosa i zaciągnęła się dymem, co zabrzmiało jak głębokie westchnienie. Zapadł już zmrok; w mroku tym Droste wiedział, że twarz jej jest bledsza, niż zazwyczaj - bledsza, niż kiedykolwiek.

- Wziąwszy wszystko razem, dzień dzisiejszy był jednym z twoich wielkich dni, Puszel - rzekła podchodząc do niego. - Byłam z ciebie bardzo dumna.

- Tak, to jedyna rzecz, dla której warto być sędzią... Człowiek natęży się i szuka, a potem nagle naga prawda staje mu przed oczami.

Marianna pogładziła go po włosach i odwróciła się.

- Prawda jest skomplikowaną rzeczą, Puszel - rzekła łagodnie - bardziej skomplikowaną, aniżeli wyobrażają sobie młodzi radcy Sądu Krajowego. Brzmiało to tak współczująco, że Droste poszedł za nią dotknięty.

- Czemu to mówisz? - zapytał.

- Och... nie wiem - odparła Marianna. - Tylko kto to może powiedzieć, co jest prawdą? Kto może powiedzieć, że pani Rupp zeznała dzisiaj prawdę? Może jej mąż miał rację, a ona tylko dlatego chce go w to wpakować, że jest o niego zazdrosna. Prawda? Co to jest prawda? - rzekła z krótkim śmiechem.

Droste - gdy tak stał za nią, mając przed oczami jej silne ramiona i słysząc jej słowa, pełne jasnej przenikliwości - poczuł gwałtowne pragnienie, aby chwycić ją w ramiona i całować. Zdusił to pragnienie - tak jak zdusił wiele innych rzeczy.

Zamiast tego rzekł.

- Daj mi przed odejściem jeszcze filiżankę kawy.

## **X. SOBOTA: ON**

Wóz, zaprzężony w parę koni, zaturkotał na placu de la Bourgogne. W mieście panowała jeszcze cisza. Jeszcze było ciemno, zaledwie tyle światła tylko, aby móc rozróżnić wysokie okno.

Franek Davis zbudził się na odgłos turkotu rozlegającego się echem po ulicy i zobaczył okno po niewłaściwej stronie pokoju. Jeszcze na pół spał. Dopiero kiedy usłyszał oddech Eweliny na poduszce obok, przypomniał sobie, gdzie jest. Głowa jej spoczywała ciepło i miękko na jego ramieniu. Franciszek powstrzymał chęć poruszenia się. Czuł chłód; okno było otwarte. Podniósł ostrożnie od oczu lewą rękę i spojrzął na świecąca tarczę zegarka - dopiero wpół do piątej. Namacał kołdrę, która się zsunęła i podciągnął ją ostrożnie na siebie i Ewelinę. Ciało jego było wypoczęte, spokojne i cudownie zadowolone. Franek uśmiechnął się czule w ciemności.

Leżał cicho i myślał o tej nocy - o nocy, która dała mu bardziej namiętne, słodsze zaspokojenie, aniżeli jakakolwiek inna, którą pamiętał w życiu. Ewelina - rozmyślał - Ewelina, droga Ewelina... Czuł jej oddech na swej piersi - chłodny, gdy wdychała i ciepły, gdy wydychała. Ach, przecież ja cię kocham, Ewelino - myślał zdumiony. Spodziewał się małej rozkosznej przygody; nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że znalazł wielkie wstrząsające spełnienie.

Uważał, aby jej nie obudzić. Zamknął oczy i starał się jeszcze zasnąć. Dopiero, kiedy Ewelina w milczeniu objęła jego szyję obiema rękami, przekonał się, że nie śpi. Gdy pocałował ją, usta jej były chłodne, świeże, pachnące. Jak klomb kwiatów po deszczu - pomyślał. Była to dziwna myśl. Wszystko, co dotyczyło Eweliny, było dziwne, nowe i jak gdyby nie należało wcale do jego życia. Czuł jak serce rośnie mu w piersi i wypełnia się szczęściem: był znowu młody, miał siedemnaście lat. Tego wszystkiego nie można wypowiedzieć. Kiedy Ewelina puściła go, leżał przez chwilę w milczeniu, gładził miękkie spadek jej ramion, usiłując znaleźć odpowiednie słowa. Słowa, które znalazł w końcu, nie były niczym nadzwyczajnym - Jak się masz kochanie? - zapytał.

A Ewelina odpowiedziała - Dziękuję. Bardzo dobrze.

W dole na ulicy jakiś człowiek szedł pogwizdując walca. Okno rozjaśniło się nieco. Przez dłuższy czas leżeli w milczeniu, na pół śpiąc; było to tak, jak w łodzi, gdy wyciągnie się wiosła. Cera Eweliny była gładka jak gorący metal albo rozpalone szkło. Rzęsy jej od czasu do czasu ocierały się o jego ramię, jak małe motylki. Franek dziwił się, że dostrzega wszystkie te drobiazgi.

- Czy było dobrze? - zapytała Ewelina znacznie później. Zabrzmiało to dziecinnie.

- Tak - powiedział. - To było cudowne. Bardziej cudowne, niż... niż cokolwiek innego.

Zaczął się zastanawiać nad wszystkimi cudownymi rzeczami w swym życiu.

- Bardziej cudowne - rzekł - niż... niż połów pstrągów, bardziej cudowne niż pływanie nago na wznak... wiesz, gdy rzeka cię unosi, a ty widzisz w górze chmury. - Było to wspomnienie, które odtworzył z czasów swego dzieciństwa. Czuł jeszcze chłód tej wody; jej delikatne kołysanie się; czerwony blask zachodzącego słońca na brzeżkach chmur. - Człowiek jest zbyt rzadko szczęśliwy. Myślę... naprawdę szczęśliwy - powiedział kończąc.

Ewelina przesunęła koniuszkiem palca po linii jego warg, brwi, a potem po linii, od której zaczynają się włosy nad czołem. Wzięła go za lewą rękę, spojrzała na zegarek i westchnęła.

- Tak jak z tobą, nie było mi z żadną - rzekł z wdzięcznością. - Nie wiem, co w tobie jest takiego. Jesteś inna... Dajesz więcej... bierzesz więcej..., jesteś taka, sam nie wiem...

Pierwsze błyski świtu uwypukliły tu i ówdzie zarysy mebli. Poduszki zaczęły się bielić i twarz Eweliny nabrała kształtów.

- Nie jestem inna. Po prostu kocham cię bardziej, niż inne - powiedziała.

- Nie powinnaś tego robić - odpowiedział szybko - i rzeczywiście tak myślał.

Było po piątej. O wpół do dziewiątej odchodzi jego pociąg i wszystko się skończy. Chwile te, jakkolwiek czarowne, nie mogły stać się niczym ważnym ani dla niego, ani dla Eweliny.

Ona miała męża; w tej chwili widział przed sobą ze zdumiewającą wyrazistością sędziego Sądu Krajowego - sympatyczny, smukły człowieczek, o kulturalnej twarzy, która wyglądała jak gdyby nosił binokle, chociaż nie nosił żadnych. Typ dżentelmena - ten mąż Eweliny. Gdy Franek wyobraził sobie tego sympatycznego męża, chwycił go bezmyślny dziki spazm zazdrości - zazdrości kochanka o męża - bezcelowej i głupiej i tym bardziej bolesnej. Opanowała go fala namiętności. Zacisnął zęby i chwycił Ewelinę.

- To na pożegnanie - szeptał.

Oparła ręce o jego ramiona i twarz jej zawisła nad nim poważna i na pół widoczna w ciemności.

- Chcę mieć dziecko z tobą - rzekła ledwie dosłyszalnie. Słowa te uderzyły weń jak kula i odrzuciły go.

Słyszał to już przed tym - od prostytutek w Szanghaju i Hawanie - i za francuskim frontem w czasie wojny. Był to najwidoczniej międzynarodowy trick, używany przez

wszystkie ladaczniczki na świecie, i nie znaczący nic. Inne kobiety - te cnotliwe - pełne były ostrożności i strachu. Histeryczny lęk Pearl, aby nie mieć dziecka, podminowywał ich małżeństwo, Franek uświadomił to sobie po raz pierwszy z oślepiającą wyrazistością. Potem przestał myśleć. Ogarniały go fale, fale, fale, aż w końcu wyrzucony został z uścisku na ciepłe, miękkie wybrzeże...

Ułożył Ewelinę wygodnie na swym ramieniu i przykrył ją. - Darling - szepnął łagodnie, powtarzając raz po raz to słowo - darling, darling... Powieki jego były ociężałe po bezsennej nocy, ale chciał widzieć wyzwoloną, spokojną twarz Eweliny. Będę mógł spać w pociągu do Cherbourga -pomyślał. Paryż budził się ze szmerem, dochodzącym z oddali, i z hukami trąbek samochodowych na rogach ulic w pobliżu. Franek chętnie zapaliłby papierosa, ale bał się urazić Ewelinę. Dopiero kiedy telefon zadzwonił przy łóżku i zbudził go - uświadomił sobie, że jednak zasnął ponownie.

Ewelina siedziała wyprostowana na łóżku: włosy opadły jej na twarz i przykryły policzki. Franek chwycił za telefon -Szósta godzina - oznajmiła telefonistka.

Zdumiało go, że mówiła po francusku. Przed chwilą dopiero z jakąś kobietą, która nie była ani Pearl ani Ewelina, a jednocześnie obiema razem - leżał na piasku na wybrzeżu Florydy. Otrząsnął się - i udało mu się odnaleźć drogę z zaczarowanego uroku minionej nocy.

- Co to? - zapytała Ewelina, wpatrując się w telefon z przerażeniem.

- Nic. Po prostu prosiłem, aby mnie obudzono o szóstej -odpowiedział.

Ewelina westchnęła. - Wszystko ułożone - rzekła, a w chwilę później dodała. - Chciałabym być także mężczyzną. Zapalił teraz papierosa i poczęstował Ewelinę. Potrząsnęła głową. Gdy tak siedziała na łóżku z rękami dokoła kolan wyglądała prawie jak dziewczynka. Pearl rano bynajmniej nie robiła najlepszego wrażenia - przyznawała sama, że

ożywała dopiero między dziewiątą a dwunastą w nocy. Franek nie mógł nic poradzić - porównywał Ewelinę z Pearl i to na niekorzyść tej ostatniej. To nie przytrafiło mu się jeszcze nigdy w jego licznych awanturkach miłosnych.

Poczuł przelotne uczucie wstydu. Nie miał nigdy wyrzutów sumienia, gdy zdradzał Pearl, ale takie porównywanie było nieeleganckie - to czuł. Otrząsnął się z tego przykrego uczucia, wyskoczył z łóżka i poszedł do łazienki. Zimny prysznic zmył z niego minioną noc. Napełnił potem wannę gorącą wodą, zamknął oczy i zanurzył się cały z głową w wodzie. Była to olbrzymia, staromodna, głęboka wanna. W zielonej piżamie, z mokrymi wyszczotkowanymi włosami, chodził tam i z powrotem po salonie i zbierał swe rzeczy. Kołnierzyk i krawat wisiały na popiersiu Józefiny; płaszcz leżał na sofie rokoko, a reszta ubrania znajdowała się w jego sypialni, na nietkniętym łóżku. Roześmiał się cicho na widok tego straszliwego nieporządku. Wrócił do łazienki i z gorliwością oddał się ceremonii golenia. Był głodny i czuł się w doskonałym humorze. Rzucił się do telefonu i zamówił śniadanie, całe masy... Zapukał do drzwi Eweliny i oznajmił po francusku, że Madame musi już wstawać. Poranne słońce zajrzało do pokoju i kładło się drżące kwadratami na podłodze. Gdy Ewelina nie przychodziła, Franek poszedł po nią.

- Czuję się jak jeden z tych małych, czerwonych baloników; mogłabym każdej chwili unieść się w powietrze i pęknąć - oznajmiła Ewelina. Stała pośrodku pokoju w swej długiej koszuli nocnej i wyglądała jak dziecko zagubione w lesie.

- Czy nie masz rannych pantofli? - zapytał surowo. Potrzęsnęła smutnie głową. Miała małe niewinne stopki bez skazy, jakich nie widział jeszcze u żadnej kobiety. Pearl malowała paznokcie u nóg; Marion także. Znowu Pearl...

Wziął Ewelinę na ręce i zaniósł ją do łazienki. Przygodo-

wał się na zbyt duży wysiłek, gdy tymczasem była ona zdumiewająco lekka.

- Ile ważysz? - zapytał. Wzruszyła ramionami. Zostawił ją samą z gąbką i niebieskim ręcznikiem i poszedł pakować walizkę.

Gdy przyszedł na śniadanie jego włosy leżały gładko i porządnie na głowie. Nie miał w sobie nic z tych chaotycznych uczuć, jakie zazwyczaj następują po takich nocach. Andrzej, usłużny kelner pokojowy, wtoczył wedle własnego uznania stolik na kółkach i kręcił się gorliwie po pokoju. Ewelina ubierała się jeszcze. Andrzej zdjął z kominka mały wazonik z kwiatami i postawił go na stole zastawionym do śniadania - między miodem a śmietanką.

- Pewny jestem, że Madame lubi kwiaty - rzekł i spojrzenie jego wyrażało wesołą konspirację jednego mężczyzny z drugim.

Franek nachylił się i podniósł z dywanu małą broszkę, którą Ewelina zgubiła poprzedniego dnia. Była to dziecinna skromna biżuteria - trochę złota z małą okrągłą perełką w środku. Ciągle jeszcze trzymał ją w ręce i patrzył na nią czule - tak bardzo dostosowana była do Eweliny! Gdy ona sama weszła do pokoju, była już zupełnie ubrana, poprawna, w czarnej spódnicy z białą bluzką, miała nawet kapelusz na głowie; a jej srebrzyste włosy wysuwały się z niego, jeszcze bardziej uroczo błyszczące, niż zazwyczaj - tak przynajmniej wydawało się Frankowi.

- Dzień dobry, kochanie - rzekł i odsunął dla niej krzesło. Andrzej z wielkim rozmachem nalał kawę do filiżanek. Potem odszedł, nie czekając na znak ze strony Franka. Wielką ciekawość budziła w nim dama, którą pan Davis sprowadził do hotelu jako swoją żonę...

Franek od razu chwycił rękę Eweliny i pocałował ją. -Dzień dobry, kochanie - rzekł znowu. Miałby ochotę zasypać ją deszczem czułości, ale trudno. Mówi się tylko: „Dzień dobry”, mówi się: „Jak się masz”. Włożył do jej filiżanki trzy



kawałki cukru, jak gdyby ten nadmiar słodczy miał wyrazić jego uczucia; nasmarował jej bułkę masłem i położył trochę miodu.

- Czy zmęczona jesteś, kochanie? - zapytał.

Ewelina była blada i miała wielkie, wielkie oczy. Co za nikczemny pomysł, że teraz odsyła się ją samą do męża. Jadła posłusznie. - Dziękuję ci, więcej nie mogę - rzekła. W poufałościach nocy gotowość i chęć służenia zakwitły w niej, jak wielki tajemniczy kwiat. Teraz zamknęły się znowu, jak kielich nad twardym młodym pączkiem.

- Sadzone jajka? - zapytał Franek.

- Nie, dziękuję. To za bardzo amerykańskie dla mnie - odpowiedziała Ewelina.

Wyjął portfel i wyciągnął z niego bilet do samolotu dla Eweliny, który Madame wręczyła mu ubiegłego wieczoru.

- Słuchaj, najdroższa - rzekł - nie mogę odprowadzić cię do Le Bourgel. Twój samolot rusza o dziewiątej dwadzieścia, a mój przeklęty pociąg o ósmej trzydzieści. Pójdę z tobą na Place Lafayette - auta na lotnisko czekają koło Grand Hotelu - Czy to ci odpowiada?

- Tak, to jej odpowiada - rzekła Ewelina posłusznie. Wyjęła bilet z koperty, rzuciła okiem na wielkie litery, reklamujące linię lotniczą, po czym wsunęła go do swej małej torebki, którą przyniosła z sobą na śniadanie. Czarna skóra ze zniszczonymi trochę brzegami... Broszka z małą perełką ozdabiała teraz skromnie szalik Eweliny.

- Czy latałaś już kiedykolwiek? - zapytał Franek.

- Bardzo niewiele. Raz tylko przez pół godziny, okrężny lot nad Berlinem. Wygraliśmy bilety na tomboli na Balu Sądowników - odpowiedziała Ewelina.

- Ale nie boisz się?

- Czy się boję podróży samolotem? O nie - zapewniła. Było dziesięć minut po siódmej, sekundnik zegarka pędził.

Franek podniósł się i przeszedł koło stołu do Eweliny. Ostrożnie zdjął kapelusz i pogładził pieszczotliwie jej włosy.

- To nie będzie łatwe rozstanie, droga - rzekł cicho.

- Nie - powiedziała.

- Czy ci zimno?

- Nie - powiedziała znowu.

Chciałby ją ogrzać, czuwać nad nią, otulić ją całą czymś ogromnym.

Nagle przyszło mu coś do głowy i poszedł prędko do swojej sypialni.

Miał w torbie podróżnej lekarstwo na morską chorobę, wziął je dla Pearl, gdy tu jechali, chociaż Pearl należała do ludzi, którzy nigdy jeszcze w życiu nie mieli morskiej choroby.

- Oto jest - rzekł do Eweliny, gdy wrócił. Proszę cię, weź przed odlotem dwie takie kapsułki - to cię uspokoi. - Przyglądał się jej, jak je posłusznie połykała.

- Dwadzieścia po siódmej. Musimy przygotować się do pójścia - rzekł miękko.

- Będę gotowa za chwilę - powiedziała Ewelina i poszła do swego pokoju.

Franek zamknął walizy. Zawahał się chwilę przy swej teczce z aktami, gdy dotknął ręką kontraktu, który zawarł z Chambre Syndicale des Importeurs des Fruits. Czterdzieści tysięcy skrzyń. Dwa dolary i pięć centów skrzynia. Cło i koszt transportu.

Zobaczył w lustrze, jak, marszcząc się, mruzczał coś pod nosem do siebie. Schował szybko papier i zatrzęsął tekę.

Kiedy poszedł do Eweliny, stała pośrodku pokoju z jednym bucikiem w ręce i z bardzo nieszczęśliwym wyrazem twarzy - Nie mogę zmieścić do walizki tego drugiego bucika - rzekła.

Musiał się roześmiać - Co za katastrofa! - powiedział. Wziął bucik, wcisnął go do środka i zamknął małą walizkę. Wszystko poszło bardzo łatwo.

Ewelina poważnie przyglądała się tym czynnościom. - Nie zapomniałaś niczego? - zapytał.

Rozejrzała się po pokoju - powoli i z taką samą poważną uwagą. Róże przy łóżku zwiędły; prawie czarne zwisały ze

swoich łodyg, a pokój wypełniony był zapachem wędnących kwiatów. Klosz z owocami stał na komodzie; Franek - jak przypomniawsł sobie teraz - przyniósł je poprzedniej nocy z bawialni. Przesunął szybko ręką po włosach i wyszedł z pokoju. Andrzej sprzątał ze stołu w sąsiednim pokoju. Świecił się od brylantyny i od pragnienia zarobienia dużego napiwku swym taktem, dyskrecją i grzecznością, która jest tradycyjną cechą paryskiego kelnera. Franek położył parę banknotów pod talerz - kelner zniknął wraz ze stołem. Następnie zatelefonował po słuźącego, który miał odnieść rzeczy do wozu i przyniósł sobie ze swego pokoju kapelusz i palto. Dwadzieścia osiem minut po siódmej.

Kiedy wrócił, Ewelina stała na wąskim balkonie salonu, spoglądając w dół na plac ze zrozpaczoną zamyśloną miną.

- Musimy już iść - rzekł miękko.

- Wiem - odpowiedziała.

- Czy żałujesz, żeś przyjechała do mnie? - zapytał. Spodziewał się, że powie „nie”, ale ona, nie zwracając ku niemu twarzy powiedziała:

- To pogorszyło wszystko tak bardzo. Wziął ją za rękę i wciągnął do pokoju.

- Słuchaj, kochanie - rzekł stanowczo. - Nie powinnaś tego żałować. Nie powinnaś myśleć, że to dla mnie zwyczajna bagatela. Nie, to nie bagatela. Gdyby... gdybyś ty nie przyjechała, życie moje byłoby niepełne.

Ominęłoby mnie coś niesłychanie pięknego i ważnego...

Ale to prawda - pomyślał w tej samej chwili zdumiony. - A ty? - zapytał czule.

- Co ja? - powiedziała Ewelina.

- Czy i ciebie nie ominęłoby coś ważnego, gdybyś nie przyjechała?

Szybko wzięła jego rękę i pieszczotliwie pogłaskała nią swój policzek.

Potem usta jej musnęły jego palce, pozostawiając przelotne ciepło

pocałunku. Przycisnął ją do siebie łagodnie i bez pożądania. Było w pól do ósmej.

Winda dla odmiany działała tego dnia. Pożegnanie z Madame. Rachunek, napiwki, auto. Au revoir, au revoir, bon voyage! Słońce świeciło; na placu gołębie goniły za swymi towarzyszkami, okazując nieprzyzwoite miłosne zachcianki. Dźwięczne, śpiewne okrzyki sprzedawców ulicznych. Sekwana. Ulica Castiglione, plac Vendôme. Trzymał rękę Eweliny w swojej a ona prędko ściągnęła rękawiczkę.

- Jaki zabawny masz kapelusz - rzekła.

Trochę tym dotknięty, przyłożył rękę do brzeżka swego melonika.

- A co zabawnego jest w mym kapeluszu? - zapytał.

- Nic, tylko taki obcy. Nie widziałam cię nigdy jeszcze w takim kapeluszu.

- Spójrz na tego człowieka - powiedział Franek.

Na rogu ulicy stał człowiek i w pełnym świetle dnia grał na saksofonie.

- Jest ślepy - rzekła Ewelina. Nędzna melodia biegła przez chwilę w ślad za nimi, a potem utonęła wśród huku samochodów i skrzypienia tramwaju.

- Jesteśmy - powiedział Franek.

Trzy szare samochody stały gotowe przed Grand Hotelem; były lepsze od autobusów, ale gorsze od prywatnych samochodów. Franek kazał wstawić do jednego z nich walizkę Eweliny i stał obok, gdy wyjmowała bilet. Był zupełnie pewny, że Ewelina nie zrobi sceny przy pożegnaniu, ale jednocześnie było mu przykro, że tak cicho i spokojnie od niego odchodzi.

- Czy na pewno nie jest ci zimno? i - czy masz pieniądze. i... - będziesz w Berlinie na piątą.

- Daj mi papierosa - poprosiła go. Zapalił jednego dla niej i jednego dla siebie, a potem włożył jej do torebki całą paczkę. Patrzyła na niego tak, jak przed tym - poważnie i z uwagą.

- Jedziemy już, jeżeli pani pozwoli - rzekł grzeczny mężczyzna w urzędowej czapce.

- Good bye - powiedziała Ewelina i podała mu chłodną rękę. Chciał pocałować ją w rękę, ale wstydził się ludzi, którzy wsiadali, oraz szofera w jego eleganckim stroju.

- Auf Wiedersehen - powiedział po niemiecku.

- Bądź zdrow i dziękuję ci - odpowiedziała Ewelina po niemiecku, ale on nie rozumiał już tego dokładnie.

- Ewelino - rzekł w ostatniej chwili - usłyszę o tobie? Napiszesz do mnie? Potrząsnęła głową - jedną nogę stała już na stopniu auta i uśmiechnęła się smętnie.

- Nie, nie powinniśmy tego przeciągać. - Patrzyła na niego; czuł jej spojrzenie, przesuujące się po jego twarzy, jak coś dotykającego; potem uśmiechnęła się znowu. - Poza tym nie dałeś mi swego adresu - rzekła trochę drwiąco. Wzięła jego rękę i podniosła ją w górę, dmuchnęła szybko w środek dłoni. - To zamiast pocałunku - powiedziała.

Zanim Franek miał czas zrozumieć tę czułą, żartobliwą, małą pieśczętę, Ewelina już wsiadła. Samochód ruszył z miejsca z wielkim hukiem; szedł prędzej i prędzej, aż znikł za zakrętem.

Nie rozplakała się... dzięki Bogu, nie rozplakała się. -Franek poczuł, że jego własne gardło jest trochę ściśnięte. -Droga, słodka, biedna mała Ewelina. - Był trochę dumny z siebie, że zdolny był do tak głębokich uczuć.

załadował swe kufry do jednej taksówki, a sam z Eweliną przyjechał drugą. Teraz obie czekały na niego koło Grand Hotelu.

- Gare St. Lazare - powiedział do młodego szofera, który właśnie skręcał sobie papierosa, i wsiadł do środka. Nigdy nie spóźniał się na pociąg, ale nigdy nie przyjeżdżał na dworzec wcześniej, niż trzy minuty przed odejściem pociągu.

Tym razem miał jeszcze czas na wysłanie dwóch telegramów: jednego do Pearsona w Santa Barbara, drugiego - do swego służącego na Long Island.

Na peronie stała typowa publika, jaka zwykle odprowadza specjalne pociągi, jadące do Cherbourg na spotkanie wielkich parowców.

Amerykanie, wszelkich odcieni i rodzajów; jakaś rodzina japońska, paru młodych Anglików, którzy wyglądali tak, jak gdyby udawali się za ocean na imprezę sportową, jakaś jasnowłosa gwiazda filmowa w drodze z Pa-

ryża do Hollywoodu, obleżona przez fotografów prasowych, którzy nie zdołali wyspać się dostatecznie. Personel pociągu mówił po angielsku. Żegnaj, Paryżu! - myślał Franek, spokojnie torując sobie drogę wśród tłumu. Gdy pokazywał bilet, zdawało mu się, że ktoś na niego patrzy i obejrzawszy się, zobaczył Marion - Marion w granatowym kostiumie, elegancką i wymalowaną bez zarzutu, świeżą jak gdyby dospała swój zwykły sen do południa. Patrzyła mimo niego z takim wyrazem, jak gdyby był jej zupełnie obcy. Spojrzał na zegarek, jeszcze półtorej minuty, podszedł do niej szybko. Stała przy małej barierze, koło której musieli przejść wszyscy wyjeżdżający.

- Halo, Marion - rzekł.

- Halo, Joujou - odpowiedziała.

- Co tutaj robisz?

- To nie żadna owacja dla ciebie, mój drogi. Po prostu jestem tu, to wszystko.

- Jakże miło, że cię jeszcze widzę.

- Jak to nieostrożnie, że rozmawiasz ze mną!

- Dlaczego tak mówisz?

- Czy żona twoja nie jest tak zazdrosna, jak wszystkie Amerykanki?

Franek przypomniał sobie teraz, że Marion przypuszczała, iż znajdował się w towarzystwie swej żony. Zrobił nic nie znaczący gest i rzekł tym samym tonem, co Marion. -O la, la!

- Wolę ci się szczerze przyznać. Byłam niesłychanie ciekawa. Chciałam choć z daleka i niepoznana zobaczyć kobietę, do której należy twe serce - rzekła Marion ironi-

cznie. Oczy jej przebiegły po ludziach, przechodzących koło pociągu. Franek nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Kobiety są pełne niespodzianek. Jak można sobie było wyobrazić, że Marion wstanie z łóżka o siódmej godzinie rano po to tylko, aby zobaczyć Pearl, której wcale nie było w Paryżu.

- Proszę zajmować miejsca! Proszę zajmować miejsca -zawołali konduktorzy z właściwym sobie podnieceniem.

- Do widzenia, Marion - krzyknął Franek i pobiegł szybko. - Która to jest?

- usłyszał za sobą jej pytanie.

Gdy biegł do swego przedziału, do głowy przyszedł mu wariacki pomysł. Szybko obejrzawszy parę kobiet, które właśnie wsiadały - dostrzegł jedną, bez wdzięku, niemłodą, ale ubraną bardzo po angielsku. Zdjął kapelusz i z oficjalną grzecznością pomógł jej wsiąść do pociągu. Gdy wsiadał za nią, rzucił szybko wzrokiem poza siebie. Marion stała tam z otwartymi ustami. Mrugnął do niej i roześmiał się. Odpowiedziała mu tym samym śmiałym grymasem. Pociąg ruszył.

Teraz Marion będzie zadowolona, widząc, jaką mam brzydką żonę - pomyślał. Ten mały epizod zabawił go bardzo.

Później zresztą, gdy koło godziny dziesiątej udał się do wagonu restauracyjnego, został przedstawiony tej damie bez wdzięku. Była to znana angielska poetka, udająca się do Ameryki w celu wygłoszenia serii odczytów. Była mądra i zajmująca; Franek opowiedział jej, że żona jego jest już na „Berengarii” i będzie zachwycona, mogąc korzystać z jej towarzystwa. W wagonie restauracyjnym było gorąco i wesoło - trochę za bardzo głośno z powodu ciągłych okrzyków: „Halo, Bill”, „Halo, Bob” i „Halo, Franek”. Wielu ludzi znało się; było to już prawie jak powrót do domu. Franek spotkał Hugona Bennetta i Dana Webstera i wszyscy przeszli do jego przedziału, gdzie przy butelce prawdziwej Highland Black Label - whisky, którą Dan przywiózł z Anglii - rozmawiali zajmująco o giełdzie.

O godzinie jedenastej Franek oddalony był od Eweliny nie o trzy godziny, ale o całą wieczność - i przebywał już na innym kontynencie, niż ona. Tylko raz wyłoniła się przed nim, jak blady i piękny cień, podczas gdy Hugon opowiadał głośno i z przejęciem o swoich nocnych przeżyciach w Paryżu, a za pociągiem migały łąki, osypane małymi żółtymi kwiatkami.

- Kobiety europejskie wiedzą o wiele więcej o miłości, aniżeli nasze - rzekł wyglądając przez okno. - Mają to wrodzone.

- Amerykanki są po prostu przyzwoitsze, to wszystko - rzekł Dan, który nie mógł się pozbyć niektórych poglądów, godnych Babbitta.

- Amen - powiedział Hugon i wyrzucił butelkę przez okno. Opróżnili ją dosyć prędko. Butelka upadła między kwiaty.

Franek myślał o tym, jak mądra była Ewelina. - „Nie możemy tego przeciągać!” - Skończone, bez adresu, bez listów, bez sentymentalnych, męczących kłamstw. Najcudowniejsze rzeczy nie znoszą powtarzania.

- Byłem kiedyś w Bagdadzie - rzekł Franek - Cudowne miasto. Przez pięć lat pragnąłem tam wrócić. Kiedy na koniec wróciłem - com znalazł? Jedną z tych zwykłych dziur wschodnich, pułapkę dla turystów, smród cebuli. Nigdy nie powinno się wracać!

Tamci patrzyli na niego ze zdumieniem, a potem zaczęli mówić o Tammany Hall.

Coraz dalej od Eweliny... Coraz dalej od Eweliny... Coraz dalej od Eweliny... Pociąg unosił go coraz dalej od Eweliny. Mgła rozwiała się; czar i czułość zniknęły - nie było dla nich miejsca w życiu Franka. Nie znaczy wcale, że zapomni o Ewelinie, ale nie będzie o niej myślał. Może kiedyś, później, powróci do jego myśli - tak jak dziś rano powróciły te chmury z ozłacanymi zachodem słońcem brzegami, które widział jako chłopiec, gdy płynął z prądem, leżąc na wznak;



jak powróciła Lidia, gdy Ewelina położyła mu rękę na sercu. W ten sposób może wróci do jego myśli kiedyś Ewelina -później, gdy będzie trzymał w uścisku inną kobietę.

Tymczasem zasnął. Sen jego był krótki i mocny, a kiedy zbudził się, wybrzeże i domy Cherbourga znajdowały się już blisko. Gdy wysiadł, powietrze było chłodne. Załatwił formalności celne, powitał jeszcze jakichś znajomych i wraz z innymi przeszedł przez mostek na statek, który miał ich dowieźć do okrętu. Wszyscy, których spotkał, porobili w Europie także słabe interesy, ale zdawali się nie martwić tym zbytnio. Franek głęboko odetchnął morskim powietrzem. Cieszył się z tego, że zobaczy Pearl. Ciekaw był psa, którego kupiła.

Na Long Island będą już kwitnąć derenie; poza tym przygotował niespodziankę dla Pearl; kazał przetapetować sypialnię.

Pozostał na małym pokładzie statku, trzymając mocno kapelusz i wystawił twarz na słony chłód powietrza. Brzeg oddalił się. Woda pieniała się zielona i biała przy dziobie statku.

Na „Berengarii” powitała ich orkiestra. Pearl stała przy barierze na pokładzie B. Ubrana była na biało, w niebieskim kapeluszu.

Serce Franciszka biło szybko, gdy zobaczył swą żonę.

## **IX. SOBOTA: ONA**

Wóz, zaprzężony w parę koni zaturkotał na placu de la Bourgoigne. Franek poruszył się, westchnął i zdawał się budzić. Ewelina starała się zrobić jak najłżejszą; ciało miała sztywne i bolał ją krzyż. Udawała, że śpi. Przez całą noc nie zmrużyła oka.

Przy powtórnym westchnieniu Franek podniósł rękę z zegarkiem do twarzy. Mała świecąca tarcza odznaczała się w ciemnościach, było akurat wpół do piątej; sekundnik poruszał się, jak maleńki punkcik na oceanie ciemnej szarości. Ewelina nigdy jeszcze w życiu nie czuła się tak zmęczona. Nie, nawet po urodzeniu Barchen nie była tak śmiertelnie zmęczona. Było to tak, jak gdyby męczyła się przez całą noc, aby wejść na wysoką górę - i za każdym razem zsuwała się w dół, nie mogąc osiągnąć szczytu.

Tęskniła za Frankiem, mimo że leżała przy nim tak blisko, że policzkiem swym wyczuwała jak barki jego podnoszą się i opadają w miarę oddychania, tęsknota jej była jeszcze silniejsza, aniżeli przez te dni, kiedy ona była na Dusseldorferstrasse, a on w Paryżu.

Tamte dni... oddalone były od niej o tysiące lat. Ewelina czuła dokładnie, że jest o tysiąc lat starsza. W stanie przedenerwowania i wyczerpania wszystko wydawało jej się powiększone - przestrzeń i czas. Łóżko ciągnęło się daleko

poza granice wzroku, jak świat. Pięty jej, oparte o stopy Franka, zdawały się znajdować gdzieś na innym kontynencie. Teraz on poruszył się ostrożnie, sięgnął po kołdrę, która spadła i przykrył ją. Nie zauważyła nawet, że było jej zimno, teraz wdzięczna była za ciepło.

Istnieje ogólnie przyjęty pogląd i Ewelina znalazła go w wielu książkach i powieściach, że to, co w małżeństwie jest obowiązkiem, codziennym obowiązkiem, wykonywanym uprzejmie i nie nazbyt przykrym - natychmiast staje się czymś czarownym, jakimś świetlistym wybuchem, rozkoszą nie dającą się z niczym porównać, gdy w grę wchodzi kochanek. Ewelina wiedziała teraz, że to nieprawda. Koniec końcem dzieje się w miłości akurat to samo co w małżeństwie i nawet najczulszy uścisk pozostawia człowieka samotnym.

Jeszcze jedno z ich kłamstw - pomyślała Ewelina z wyrzutem.

Myśląc „ich” rozumiała zawsze, jeszcze od czasów swego dzieciństwa, innych ludzi, większych i dorosłych, którzy zachowywali się tak, jak gdyby znali wszelkie tajemnice. Szczególna rzecz, pani radczyni Droste, dwudziestosiedmioletnia matka dwojga dzieci, ciągle nie przestawała czuć się niedoroślą. Często potrafiła siedzieć długo, w milczeniu zastanawiając się nad sobą i czując, jakie to dziwne, że oto ona, Ewelina, przestała już być tą małą dziewczynką w niebieskiej sukience, którą była przed dwudziestu laty. Te same oczy, kości, skóra i krew, naturalnie trochę większe, ale te same... Te same rzeczy przerażają ją i te same rzeczy dają jej szczęście. Ja - potrafiła myśleć całymi godzinami. Ja, Ewelina! - Było to drobne „ja”, stojące zupełnie samo i trochę samotne; „ja”, które czuło lęk przed wielu rzeczami, ale jednocześnie było odważne na tyle, że milczało o wielu rzeczach, tało wiele - i nie skarżyło się nigdy. Ewelina myślała czasem, że kwiaty są odważniejsze od lwów, albowiem lwy ryczą i bronią się i robią wiele hałasu, a kwiaty nie

wydają dźwięku, choćby były nie wiem jak skrzywdzone. Kwiaty znoszą ciężkie operacje, krwawią i umierają w wazonach - i to wszystko odbywa się tak cicho.

Róże przy łóżku umierały w milczeniu; Ewelina przez całą noc czuła ich chorobliwą woń. Wiedziała, że zawsze już zapach więdnących róż przypominać jej będzie Franka, Franka i maleńką, widmową świecą tarczę zegarka, który tykał tuż przy jej uchu, gdy Franek trzymał ją w uścisku. I storę, która podnosiła się na nocnym wietrze - i deliaktny rysunek, widoczny na suficie aż do godziny trzeciej nad ranem, póki nie zgaszono lamp na ulicy - i chłodny smak winogron, które Franek przyniósł jej tuż przed zaśnięciem.

To były rzeczy niezapomniane, ważne, niezniszczalne. Dotknięcie włosów Franka w ciemności i wyprężona skóra na mięśniach, którą czuła, ilekroć przesuwała ręką po jego piersi. To były rzeczy, które coś znaczyły, o których kiedyś, później, będzie można wspominać.

To są rzeczy, które człowiek widzi, gdy umiera - pomyślała Ewelina.

Miała szczerą nadzieję, że umrze młodo... młodo i niedługo. Długie życie na Dussendorferstrasse, daleko od Franka, było czymś beznadziejnym i nie do pojęcia. Była jak przykuta do niego, jak gdyby przeszła przez ogień i została przylutowana do niego na zawsze.

Gdy Franek podciągnął kołdrę, ręka jego odsunęła się od jej ramienia, na którym do tej chwili leżała. To małe puste miejsce poczuło nagle taką tęsknotę - zupełnie niezależnie, samo w sobie - że aż zaczęło boleć.

Ostrożnie Ewelina podsunęła swoje ramię znowu pod jego rękę. Nie wiedziała, w jaki sposób oderwie swoje zbuntowane, rozbudzone i tęskniące ciało od Franka i przeniesie z powrotem do Berlina.

Próbowała patrzeć na Franka spod spuszczonej powiek, ale było za ciemno; tylko okno tworzyło jaśniejszą plamę w pokoju. Ale nawet w ciemności wiedziała, że Franek jest piękny. Było to dla niej nowe, wstrząsające odkrycie; że ciało mężczyzny jest czymś pięknym - silną, proporcjonalną

budową o matowej skórze i zarzającym ciele. Starła się przypomnieć sobie ciało Kurta, ale ponieważ nie zauważyła nigdy, że Kurt ma ciało - oczywiście nie mogła sobie przypomnieć, jak ono wygląda. Ciało Franka - z drugiej strony - było jej znane jak nowy kontynent, który sama odkryła i przez który przeszła. Uśmiechnęła się mocniej. Na jego piersiach jaśniała linia na brzoju skóry - tam, gdzie przez całe lato osłaniał go kostium kąpielowy. Na prawym ramieniu miał kilka piegów, na lewym - bliznę, pamiątkę po upadku z konia. To jest mężczyzna - pomyślała z zachwytem.

Mężczyzna. Mężczyzna. - Wychodziła z uścisków minionej nocy bardziej jeszcze niezaspokojona, bardziej stęskniona, niż poprzednio. W dziwny sposób czuła się jednocześnie szczęśliwa i rozczarowana.

Teraz Franek ziewnął, poruszył głową na poduszce naprzód i w tył, przetarł oczy i ziewnął. Na koniec Ewelina odważyła się poruszyć. Z chwilą, gdy Franek przekonał się, że nie śpi, wziął jej głowę w obie ręce i pocałował ją. Był to długi pocałunek, jak gdyby wsłuchiwał się w coś, co znajduje się w niej głęboko. W pocałunku tym było tyle bliskości i ufności, i spokoju.

- Jak się masz, kochanie? - rzekł miękko. Ewelinie wydało się, że nigdy nie słyszała niczego równie czułego, jak te słowa.

- Bardzo dobrze - rzekła uśmiechając się. Zaczął gładzić jej ramię i mówić prawie niedosłyszalnie. Rozumiała bardzo niewiele; była zbyt zmęczona i zbyt senna, aby rozumieć po angielsku. Wszystko było takie delikatne i chwiejne jak w hamaku.

Teraz muszę zasnąć - pomyślała Ewelina. - Na hamaku, na okręcie. Na hamaku w dziewiczym lesie. Przez parę minut znajdowała się na Borneo i leżała na piasku obok Franka. Pojadę z tobą - pomyślała - zawsze teraz będę razem z tobą. Rosły tam olbrzymie czerwone paprocie, wśród których spacerowali. Chyba śpię - pomyślała Ewelina. Poczwała, że

Franek ją całuje. - Chciałabym mieć z tobą dziecko - przyszło jej do głowy - i od razu już dziecko bawiło się przy niej na piasku; przyszło bez rodzenia i bólu. Na małych brązowych piersiach miało jaśniejszą skórę od kostiumu kąpielowego. Dziecko Franka bawiło się muszelkami i koralami i mówiło po angielsku, chociaż dopiero przyszło na świat. Śpię - pomyślała Ewelina uszczęśliwiona. - Chciałabym mieć z tobą dziecko - marzyła we śnie, ale nagle obudziła się.

- To na pożegnanie - szepnął Franek. Wzdrygnęła się i oparła o niego, aby zobaczyć jego twarz: w półmroku wydała jej się blada i poważna. To dobrze, że miłość rani ją -i jego także. Na chwilę wróciła do swego snu.

- Chciałabym mieć z tobą dziecko - szepnęła, gdyż nagle wydało jej się, że jest to jedyna rzecz, którą zabrać może z sobą po tej nocy. Potem zatęnęła w jego uścisku i powoli zapadła w sen.

Musiała spać mocno, gdyż kiedy obudził ją ostry dźwięk telefonu - znajdowała się na Düsseldorferstrasse. Muszę wstać - pomyślała w przerażeniu. Rachunek za gaz... Weronika... Bärchen, Fräulein, Kurt. Dziewiętnaście marek z pieniędzy na gospodarstwo, gdzie jest reszta? Otworzyła oczy przerażona, gdyż nie wytrzyma przecież do końca miesiąca, mając tylko dziewiętnaście marek. Potrwało to jeszcze z pół minuty, zanim uświadomiła sobie, gdzie jest.

Zwędłe róże, ogołoczone łodygi winogron, nieznana tapeta ścienna, wilgotna plama na suficie. Hotel paryski. Tutaj nazywano to „Le lendemain” - pomyślała szyderczo. Zmusiła się, by spojrzeć na Franka i od razu zamknęła oczy na nowo, jak gdyby przed zbyt silnym światłem. Był piękny, silny i wyszedł nietknięty z przeżyć tej nocy. Usiadła i przyglądała mu się, jak chodził po pokoju, porządkując swe rzeczy. Zazdrościła mu. Wiedziała, że ona sama była teraz złamana i podcięta, i rozbita - i że nie będzie mogła być taką, jaką była przed tym. Nie potrafiła przypomnieć sobie już, jaka była przed tym.

Franek poruszał się lekko po pokoju w czerwonych rannych skórzanych pantoflach, które przyniósł wieczorem, ale poza tym był nago.

- A teraz pod zimny prysznic - śpiewał - a teraz pod zimny prysznic...

Promieniowało z niego tyle zdrowej wesołości, że Ewelina zaczęła się śmiać. Oddychał głęboko przy otwartym oknie, stuknął się w pierś, wykonał kilka kroków tanecznych, naśladując Murzynów z Variété, z włosami, spadającymi mu na czoło - i Ewelina od razu wiedziała, jak wyglądał, mając lat dwadzieścia. Podszedł do niej, poważniejąc nagle i usiadł na brzeжку łóżka.

- Kiedyś musimy mieć czas dla siebie - rzekł - to jest nic. Musimy pojechać kiedyś gdzieś razem na kilka tygodni -tam gdzie jest cicho... i w pobliżu musi być jakiś wodospad.

Podczas gdy Ewelina zastanawiała się jeszcze, na co potrzebny mu jest wodospad - skoczył z miejsca i znikł. Słyszała go, jak w kąpieli śpiewał, gwizdał, parskał i pryskał wodą.

Ostatnie jego słowa zbudziły szalone, błogie nadzieje. Może to wcale nie jest koniec, ale początek. Może Franek wcale nie myśli o rozstaniu; może już ułożył sobie wszystko i wziął w swoje silne ręce. Znowu odjeżdżała z nim razem okrętem i pozostała przy nim. Siedząc na łóżku z rękami splecionymi na kolanach, z oczami utkwionymi tępo w jednego z ptaków na tapecie - zobaczyła już siebie, spędzającą całe życie przy boku Franka. Rozwiodła się; Kurt w dalszym ciągu był jej najlepszym przyjacielem, zatrzymał Clârchen, małą kobietkę, a ona wzięła Bârchen, ponieważ Bârchen był maleńki i potrzebował jej. Może zresztą i on jej nie potrzebował; prawdopodobnie nie potrzebował jej nikt z tych, którzy ją kochali, prócz Franka.

Kurt ma prawo i swoją karierę, i radio, i muzykę, i książki. A poza tym jest Marianna... Ja nie jestem dobrą żoną dla Kurta - pomyślała ze skruchą. Nie myślała o swej niewierności, ale o zapomnianym rachunku za gaz.

Słońce weszło teraz do pokoju i wszystko wydawało się tak dobre, jak nigdy przed tym. Franek zabębnił w drzwi i oznajmił bezdźwięcznym tonem francuskiego lokaja, że czas już wstawać. Ewelina otuliła się szczerze kołdrą, aby zabrać z sobą jeszcze trochę ciepła, a potem z wielkim wysiłkiem oderwała się od łóżka.

Franek wszedł w swej zielonej piżamie z monogramem wyhaftowanym na kieszonce na piersiach - wraz z nim wszedł chłodny, świeży zapach lawendy.

- Musisz pośpieszyć się trochę, kochanie, bo spóźnisz się na swój samolot - rzekł łagodnie.

Trzęsienie ziemi, grom, zniszczenie. Marzenia Eweliny rozsypały się w gruzy. .

- Będę gotowa za chwilę - usłyszała swój głos. Franek stał przy oknie, patrząc ponad dachówkami na niebo.

- Czy nie masz pantofli rannych? - zapytał surowo; przypomniało to zupełnie głos Kurta w domu. Sprawiała jej trochę ulgi świadomość, że najbardziej różniący się między sobą mężczyźni są w wielu rzeczach tak bardzo podobni: surowi w drobiazgach; miękcy tam, gdzie najmniej można by się tego spodziewać, roztargnieni, gdy się ich potrzebuje najbardziej. Tak samo ziewają - tak samo jedzą i tak samo zasypiają bezpośrednio po pieszczotach; i mają tę samą wspólną cechę, że nigdy nie wiedzą, co kobieta myśli.

Franek uniósł ją z ziemi, zaniósł do łazienki i włożył do wanny, jak gdyby była jakimś martwym przedmiotem; gdy tylko zamknął drzwi, Ewelina zaczęła płakać.

Wypłakiwała się aż do zupełnej pustki w straszliwych, pełnych rozpaczliwych łkaniach, sięgających do samego dna jej cierpienia. To było prawdziwe rozstanie z Frankiem i z miłością; przeżyła je zupełnie sama w ciągu tych dziesięciu minut, kiedy siedziała w kąpieli. Potem otarła oczy, biorąc ogromną gąbkę Franka i wycisnęła zimną wodę na twarz tak, że woda spływała razem z potokiem jej łez. Wówczas poczuła się lepiej.

Uróżowała się i upudrowała starannie, niż



kiedykolwiek, i przyszła na śniadanie. Franek już zaczynał przeistaczać się znowu w tego nieznanego cudzoziemca, który przyjechał do Berlina przed trzema tygodniami i wytrącił jej życie z dotychczasowej orbity. Po gorącej kąpieli poczuła chłód taki, że się trzęsła. Miała nadzieję, że Franek tego nie zauważy - ani tego, że płakała. Jadł z przyjemnością śniadanie, którego obfitość przerażała ją. To także było cudzoziemskie... amerykańskie. Ona sama miała tyle kłopotu z jedzeniem, jak gdyby każdy kęs miał ostre brzegi. Często zastanawiała się, w jaki sposób jedzą naprawdę aktorzy na scenie - czy połykają prawdziwe potrawy, czy też zrobione są one z tektury. Teraz wiedziała mniej więcej, jak się to robi. Sama znajdowała się na scenie.

Scena przedstawiała pokój w hotelu w Paryżu - ona mówiła, że pogoda jest dobra, lepsza w każdym razie, nie wczoraj, jedzenie było prawdziwe, ale smakowało tak, jak tektura, kelner szarżował w swej niemiłej roli; milczenie jego było tak wymowne, że nawet galeria nie mogła nie widzieć, o co mu chodzi.

] wśród tej zabawy, w którą Ewelina się zagłębiła, mijało śniadanie. Lubiła się bawić; na Diisseldorferstrasse miała jeszcze swoją lalkę, Małgorzatę Pummel, którą czasami wyciągała ukradkiem z szuflady, aby się nią pobawić. Rzuciła szybkie spojrzenie na Józefinę na kominku. Józefina uśmiechała się; Ewelina uśmiechnęła się także. Franek nie spuszczał wzroku ze swego zegarka; dał jej bilet do samolotu i zapytał, czy boi się latać. Bała się tego straszliwie, ale to była jedna z tych rzeczy, o których się milczy. Poza tym obawa ta stanowiła tylko część tego potężnego strachu, przez który będzie musiała przejść, gdy tylko Franek ją opuści.

Wejść do samolotu, lecieć, przyjechać, jechać do Geltow, spotkać się z Kurtem, kłamać... Jeden tylko istniał punkt stały w całym tym chaosie: Marianna.

- Przyjedziesz do Berlina około piątej - rzekł Franek.

- Moja przyjaciółka będzie mnie oczekiwać. Pamiętasz Mariannę? - powiedziała.

- Czy to ta z tym prześlicznym ciałem? - zapytał. Ewelina wzruszyła ramionami. Nie wiedziała nic o ciele

Marianny i zdumiało ją, że Franek wiedział o nim.

Ponad wszystko na świecie pragnęła wiedzieć, czy Franek ją kocha; nie tak bezwzględnie jak ona jego - nie; o tym, że tak nie było - wiedziała. Ale czyją kocha? Kiedy przysłał jej mimozę, kiedy telefonował do niej z Paryża, kiedy zasnął przy niej - była tego pewna. Ale teraz, w świetle dnia, gdy siedzieli przedzieleni stołem ze śniadaniem, zaczęła wątpić. Walczyła z sobą, ale w końcu z ust jej wydobyło się pytanie, którego żadna kobieta nie potrafi powstrzymać.

- Powiedz mi... czy mnie kochasz?

Franek przestał jeść i, wzięwszy jej rękę, odpowiedział:

- Tak, kochanie, bardzo. - Nie przekonał jej, lecz cóż innego mógł powiedzieć? W miłości nigdy się nie wie, co jest prawdą.

Palce jej były lepkie od miodu i poszła do swego pokoju, aby je umyć.

Przez jakiś czas mocowała się ze swoją małą walizką. Miała dla niej jeszcze więcej współczucia, niż wczoraj. Stała tam przez parę minut w zamyśleniu i patrzyła na swój paszport: fotografia na nim pożółkła.

Paszport i fotografię otrzymała, gdy wybierała się w podróż poślubną.

Zobaczyła na niej piękną Ewelinę, w sukni w kratkę; broszka z perłą, którą otrzymała od ojca, a którą i w tej chwili miała na sobie, wpięta była w kołnierz. Zdrowsza, szczęśliwsza Ewelina - wprawdzie równie delikatna, ale nie tak chuda i nie taka bezradnie zmęczona, jaką stała się od tego czasu. Dziwne, że zawsze na starych fotografiach wygląda się starszej, niż obecnie - pomyślała. A potem: - Małżeństwo nie zrobiło mi dobrze.

Odłożyła paszport. Ale nie mogła znaleźć miejsca na wieczorowe pantofelki, które zupełnie niepotrzebnie przywiozła z sobą. W końcu Franek przyszedł jej z pomocą i śmiał się z

niej, a ona wyszła szybko na balkon. Zakręciło się jej w głowie i zapagnęła świeżego powietrza, ale gdy popatrzyła na dachy po przeciwległej stronie, a potem w dół na Place de la Bourgogne, zakręciło się jej w głowie jeszcze bardziej. Głębia pociągała ją. - Rzucić się na dół - pomyślała niejasno. Często w swoich snach spadała; leciała poprzez czystą, przejrzystą ciemność - i było to takie przyjemne, śpiewne uczucie. Mdlenie było także podobne do tego. Ach, i miłość - pomyślała w końcu. Miała podejrzenie, że umieranie będzie również takie; spadanie przez śpiewające ciemności bez możliwości dotarcia gdziekolwiek. Od czasu, gdy Ewelina przetłumaczyła sobie na zrozumiały język niespokojne pół-słówka doktora, oraz gdy przeczytała krótkie, ale tragiczne paragrafy o złośliwej anemii w encyklopedii lekarskiej, od tego dnia zastanawiała się często, jak to jest, gdy się umiera. Śmierć należała do tych nielicznych rzeczy, których się nie lękała. To życie był trudne; wymagało energii, przewycięzania, wysiłku. W porównaniu z tym śmierć była prosta; należało tylko dać jej przyjść.

- Musimy ruszać - rzekł Franek w drzwiach balkonu z tyłu poza nią. Odwróciła się do niego, gdyż głos jego brzmiał miękko i czule, tak jak w nocy. Zawrót głowy ustąpił, pozostawiając za sobą przyjemną jasność.

- Wiem - rzekła i poszła za nim do pokoju.

Nagle powiedział coś, na dźwięk czego Ewelina zamarła, stojąc z jedną ręką w powietrzu i z głową pochyloną nieco na boku, jak zwierzę, które zobaczyło coś niespodziewanego. Franek przystąpił do wygłaszania małej mówki pożegnalnej, która miała zsumować cały ich stosunek.

- Nie powinnaś myśleć, że to dla mnie zwyczajna bagatela. Nie, to nie jest bagatela dla mnie - powiedział. Francuskie słowo „bagatela” zabrzmiało lekko i frywolnie pośrodku angielskiego zdania.

W Ewelinie odprężyło się coś i zaczęła się uśmiechać. W zapewnieniu tym było bezdenne nieporozumienie - stwa-

rzało ono między nimi taką obcość i odległość, że nie pozostawało nic innego, jak śmiać się. Stali po obu stronach kominka - a wielka przepaść leżała pomiędzy nimi.

To nie była „bagatela” - tak określił jej przyjazd do Paryża! Rzeczywiście, to nie była bagatela!

Jego ignorancja była tak olbrzymia, że aż Ewelina poczuła litość.

Podeszła do niego i pieszczotliwie pogładziła jego rękę - tę ze sztywnym palcem. Kapelusz jej zsunął się przy tym na bok, podeszła więc do lustra i poprawiła go. - Żegnaj, Józefino! - powiedziała. Zastukano do drzwi i wszedł służący po rzeczy. Miał na sobie zielony fartuch i wszedł jak jeszcze jeden aktor, by odegrać swoją małą rolę, małą, ale nie nieważną. To on otworzył drzwi przed Ewelina, gdy wychodziła z pokoju hotelowego.

Franek miał ciężkie, imponujące walizy człowieka bogatego. Jej własna mała walizka wyglądała w porównaniu z nimi żałośnie i kompromitująco. Walizka kobiety, która szybko zabrała kilka przedmiotów, potrzebnych do nocnego użytku, aby spędzić koniec tygodnia z kochankiem.

- Dziękuję, Maurycy - rzeki Franek, dając napiwek portierowi. - Do widzenia, Jerzy. - Dziękuję, Franchon. Dziękuję, Guy. - Jak widać znał imiona wszystkich tych ludzi, którzy utworzyli wprost szpaler, aż do samej taksówki.

- Do widzenia, pani Davis - rzekła Madame - mam nadzieję, że wszystko było tak, jak pani sobie życzyła. - Ewelina spojrzała na nią zdumiona: z początku nie zdała sobie sprawy z tego, że do niej mówią pod tym obcym nazwiskiem. - Mam nadzieję, że zaszczycą nas państwo znowu - powiedziała Madame, odsuwając chłopca hotelowego i puszczając w ruch obracające się drzwi. - Au revoir! Bon voyage!

Stała przed hotelem i patrzyła jak umieszczano walizy w taksówce i jak goście wsiadali. Zamachała nawet ręką, gdy taksówka zniknęła za zakrętem. Było to staromodne, jak na wsi.

Jazda trwała krótko i ledwie rozmawiali z sobą. Rozstanie nie było takie straszne, jak Ewelina się lękała. Przede wszystkim Franek miał na głowie kapelusz, w którym nie było mu wcale do twarzy i który robił go zupełnie obcym. Tak, że Franek, z którym się rozstawała - to nie był ten sam mężczyzna, bez którego nie mogła istnieć. A ponadto przysłała mgła i przesłaniała ostatnie chwile. W taki sam sposób działał dobroczynny narkotyk - chloroform, który dawało się przy porodzie, gdy bóle były zbyt silne. W pewnej chwili mgła stała się tak gęsta, że Ewelina pomyślała: No, teraz jednak zemdleję. - Prędko chwyciła się za drzwiczki taksówki, które otworzono przed nią, gdy wchodziła, i poprosiła Franka o papierosa. Jakoś to przeszło.

Franek zdjął teraz kapelusz i patrzył na nią. Włosy jego przylegały gładko do głowy, jak hełm ze świecącego metalu; głowę miał małą w stosunku do szerokich ramion.

Gdy odrzucił papierosa, Ewelina zobaczyła z porywem szczęścia, że i on także cierpi; on także. Widziała to w jego ustach, w jego oczach, w drzeniu jego twarzy, nad którym nie mógł w zupełności zapanować. Przy pożegnaniu powiedział parę słów po niemiecku; brzmiało to niezdarnie, lecz czule. Odpowiedziała po niemiecku. Ktoś wepchnął ją do samochodu.

Samochód ruszył. Chwila rozstania minęła i Franek odszedł na zawsze - tak, że ona nie wiedziała nawet, jak się to stało. Miała łzy w gardle, ale nie w oczach. Człowiek potrafi doprawdy znieść o wiele więcej, aniżeli sam przypuszcza - pomyślała - i w myśli tej było trochę dumy.

W samochodzie były ławeczki obite czarną skórą; siedziały tam jeszcze dwie, czy trzy osoby. Droga była długa i nużąca. Z początku przejeżdżało się przez ulice, które były jeszcze Paryżem, ale potem zatracaly z wolna charakter i atmosferę Paryża; były po prostu przedmieściem, pełnym ludzi, biednym, jak w każdym mieście.

Ewelina patrzyła przez okno. Czuła W sobie zupełną

puszkę i wypoczywała w tej pustce. Mężczyzna siedzący naprzeciw niej, obserwował ją przez jakiś czas, a potem zwrócił się do niej w języku niemieckim.

- Czy łaskawa pani jedzie również aeroplanem koloń-skim? - zapytał. Ewelina zdała sobie dopiero teraz sprawę, jakim wysiłkiem było dla niej rozmawianie przez cały czas w obcych językach.

- Jadę do Berlina - powiedziała.

- To dobrze, to jest aeroplan do Kolonii. Dziewiąta trzydzieści. Kolonia, Hanover, Tempelhof - powiedział mężczyzna. - Dobra pogoda do latania!

- Boję się trochę latania - rzekła Ewelina, gdyż tu nie zależało jej już na tym, by wydawać się odważna.

- Wzięłam jakieś pigułki - dodała. - Przyjaciel mój dał mi te pigułki. Uświadomiła sobie teraz, że suchość na podniebieniu i otumanienie w głowie mogły być spowodowane pigułkami, które Franek w nią wmusił.

- Vasano? - zapytał mężczyzna.

- Nie, amerykańskie pigułki - odpowiedziała. - Mój przyjaciel jest Amerykaninem.

Dobrze było móc mówić o Franku nawet w taki zdawkowy sposób.

Mężczyzna nachylił się, aby wziąć od niej niedopałek papierosa, który dał jej Franek. Przytrzymała go mocno. - Dziękuję - powiedziała.

Korzystając z chwili, kiedy obcy pan patrzył w inną stronę, schowała niedopałek do kieszeni palta. Była to ostatnia rzecz, którą dostała od Franka. Miała zamiar włożyć to do swego pudełka z pamiątkami, które przechowywała obok lalki Małgorzaty Pummel.

- Czy dużo pan już latał? - zapytała, gdy mężczyzna zwrócił się ku niej znowu.

- Tak, owszem - odpowiedział. - Jestem starym praktykiem pod tym względem. Muszę często jeździć do Paryża w interesach. Latanie jest znacznie przyjemniejsze od jazdy

pociągiem, nie uważa pani? Latałem też trochę w czasie wojny, a wtedy było to nieco ryzykowne.

Ewelina była zaskoczona i nawet trochę dotknięta. Ponieważ kochała Franka, wyobraziła sobie - najnierozsądniej i sprzecznie z logiką - że był on jedynym lotnikiem w czasie wojny. Miłość robi zawsze ze swego obiektu coś wyjątkowego. Kariera lotnicza Franka, oraz jego blizny stanowiły część tej niepospolitości i romantyzmu, a przede wszystkim tej męskości, które porwały Ewelinę. Patrzyła teraz na człowieka, który także był lotnikiem w czasie wojny. Może nawet strzelał do Franka.

- Nazywam się von Gebhardt - powiedział i ruchem zaznaczył ukłon. Zdawało się go to dręczyć, że dotychczas nie spełnił tego obowiązku grzeczności. Miał jasne oczy i jasne brwi; był wysoki o szerokich plecach, ale o wiele starszy od Franka.

Ewelina zauważyła z lekką niechęcią, że spogląda teraz na mężczyzn innymi oczami. Widziała mięśnie, skórę, kształty, ciało tam, gdzie przedtem spostrzegała tylko ubranie, a często i na to nie zwracała uwagi. Odwróciła się i wyjrzała przez okienko: wydeptana, otwarta przestrzeń, na nędznej murawie wystawiona karuzela. Na drugim końcu łąki tyły domów czynszowych. Z okien zwieszała się wyprana bielizna.

- Jeszcze dziesięć minut - powiedział pan von Gebhardt. Nazwisko to wywołało w Ewelinie niesłychanie niemiłe uczucie, nad którym zaczęła zastanawiać się ze zmarszczką na czole. Gebhardt - myślała - Eckhardt. Eckhardt! - Ogarnęło ją przerażenie. Zapomniała o doktorze Eckhardcie, a raczej jak długo była z Frankiem przygłuszała w sobie niepokojące, bolesne wspomnienie tego epizodu. Ale teraz ten doktor Eckhardt, nieszkodliwy i dość tępy asesor, stanął przed nią znowu jak przeznaczenie. Co się stanie i co ona pocźnie, kiedy Eckhardt wygada się, że widział ją w Paryżu -nie wiedziała zupełnie.

- Może zainteresuje to łaskawą panią? - rzekł pan von Gebhardt podając jej niemiecką gazetę. Ewelina spojrzała niewidzącymi oczami na fotografię palącej się fabryki i pomyślała z przerażeniem i rozpaczą o Kurcie. Co zrobi Kurt, jeżeli dowie się od Eckhardta prawdy, albo jeśli wydobędzie ją sam swoim sędziowskim rozumem, albo - a ta możliwość także nie była wykluczona - jeżeli ona wyzna mu ją sama? Może Marianna będzie mogła mi pomóc! - pomyślała, a jednocześnie przyszło jej do głowy: - W gruncie rzeczy to nie ma żadnego znaczenia. To, co miało przyjść jeszcze po tym, co przeżyła z Frankiem, mogło być już tylko wegetacją - i nie odgrywało roli, czy będzie trochę lepiej, czy też gorzej.

Samochód stanął; pan von Gebhardt wziął jej walizkę i pomógł wysiąść. - Pozwoli łaskawa pani, że zamianuję się sam jej marszałkiem na czas podróży - rzekł ze staromodną kurtuazją. Ewelina przyjęła to z ulgą. Gdy otworzyła torebkę, znalazła w niej paczkę amerykańskich papierosów, które Franek włożył tam przy pożegnaniu. Zapaliła szybko jednego zaciągając się obcym, a jednocześnie dobrze znanym aromatem. Było to prawie tak dobrze, jak czuć rękę Franka na swojej - do czego przyzwyczała się w ciągu tego jednego jedyne i nazbyt krótkiego dnia. Pan von Gebhardt przeprowadził ją przez różne formalności, związane z wyjazdem. Objasniał, opowiadał. Na lotnisku było słonecznie i świeżo; wszyscy wydawali się szczęśliwi.

- Czy mogę przedstawić pani naszego pilota? Pan von Trump - rzekł von Gebhardt. - Pani Droste, żona radcy Sądu Krajowego.

- Skąd pan zna moje nazwisko? - zapytała Ewelina. Cały świat zdawał się wiedzieć o jej eskapadzie do Paryża.

Pan von Gebhardt roześmiał się. - Jestem trochę detektywem, a poza tym przeczytałem je na pani walizce.

Pilot potrząsnął jej ręką. Był to młody, przystojny chło-



piec o brązowej twarzy i brązowych oczach. Jego ciężki strój lotniczy przylegał ściśle do figury. Ewelina podeszła do stosu pakunków, które przyniósł usługujący chłopiec, i spojrzała na swoją walizkę. Tak, widniało tam jej nazwisko z pełnym tytułem jej męża; jej karta wizytowa zwieszała się oprawna w skórę i czyściutka pod przykryciem z celuloideu. Tuż przy niej jaśniała kolorami: niebieskim, białym i czerwonym -okrągła, wielka nalepka z hotelu. Ewelina przestraszyła się. Nachyliwszy się, usiłowała zdrzeć tę zdradliwą nalepkę, ale bez powodzenia. Z wściekłością pomyślała o służącym w zielonym fartuchu, który wyrządził tę krzywdę jej i jej biednej walizce.

Marianna będzie musiała to usunąć - pomyślała znowu. Świat stał, się nagle pełen zasadzek, pułapek i niebezpieczeństw.

Uzucie, że znajduje się w niebezpieczeństwie, w rzeczy samej nie opuszczało Eweliny prawie ani na chwilę od czasu jej wyjazdu z Berlina, z wyjątkiem chwil, kiedy stała w błękicie Sainte-Chapelle i kiedy Franek przyniósł jej winogrona w środku nocy - i rano, kiedy powiedział, że muszą zamieszkać w pobliżu wodospadu. Ale teraz niebezpieczeństwo znowu było wszędzie i Ewelina ze smutkiem odwróciła wzrok od swej walizki ku jasnemu, słonecznemu niebu, a potem ku szaremu lotnisku, na które przylatywały i z którego odlatywały samoloty - i czekając stały rzędem maszyny, wyglądające jak srebrzyste ptaki. Startowanie uwolniło ją od tych myśli. Cudownie było podnosić się w górę - tak jak gdyby samolot posuwał się bezpiecznie po niewidzialnej, lecz pewnej drodze. Ewelina spojrzała na dół - poczuła zawrót głowy i cały wzrok skupiła na wnętrzu kabiny.

Oprócz niej, jechały trzy osoby: jakieś małżeństwo, rozmawiające -jak się Ewelinie zdawało - po czesku, oraz pan von Gebhardt, który siedział naprzeciw niej. Było gorąco i turkot maszyny uniemożliwiał rozmowę. Pan von Gebhardt uśmiechnął się do Eweliny i znowu zaproponował jej gazetę.

Podziękowała mu. Rozglądała się, szukając wzrokiem swej walizki. Pan von Gebhardt uchwycił jej spojrzenie i wskazał przez okno na skrzydła samolotu, błyszczące w słońcu. Ewelina wzruszyła ramionami. Od czasu do czasu widać było przystojną brązową twarz pilota, spoglądającego do kabiny przez małe okienko. Raz wskazał na coś w dole na ziemi - i roześmiał się. Pan von Gebhardt roześmiał się również i popatrzył w dół. Ewelina także popatrzyła na dół. Daleko w dole leżała ziemia, trochę skośna i maleńka, ale równo posiatkowana polami. Powietrze było tak czyste, że mogli widzieć psa, biegnącego drogą, a może to był koń... Ewelina wzięła gazetę. Wdzięczna była, że ma coś, co odrywają od jej myśli. Trochę później Czeszka zachorowała. Spokojnie, bez żadnego odgłosu, wymiotowała do małej papierowej torebki. Ewelina uśmiechnęła się ze współczuciem. Czowała się opanowana i zabezpieczona; zahartowana w ogniu, przez który przeszła, na drobne sprawy życia. Zaledwie czuć było kołysanie samolotu. W dole widać było wsie - okrągłe, stłoczone w swych granicach. Ewelina zapaliła nowego papierosa, wciąż jeszcze w smaku ich pozostało tyle z Franka! Pan von Gebhardt wskazał na napis, że palenie jest wzbronione. Ze smutkiem zgasła papierosa i wzięła się do czytania. Czytała bezmyślnie, nie wiedząc dobrze, co czyta. Jedno zdanie w felietonie zwróciło jej uwagę. „My wszyscy - czytała - umieramy w jakimś momencie naszego życia, choć nie zostajemy pochowani. Przeznaczenie nasze się spełniło, otrzymaliśmy wszystko, co życie miało nam dać - i daliśmy wszystko, co w nas było. To, co następuje potem, nie zasługuje już na nazwę życia. Świat pełen jest ludzi, którzy pomarli, a nie wiedzą o tym. Tylko niewielu dane jest umrzeć wtedy, gdy życie ich się dokonało". Jakie to prawdziwe - pomyślała Ewelina, i upuściła gazetę na kolana. - Jak to jest głęboko, całkowicie prawdziwe! - Zobaczyła przed sobą swą przyszłość - równie nudną jak Düsseldorfstrasse! Pani Droste, pani radczyni

Droste, pani nadradczyni Droste... Barchen stanie się kiedyś drugim Kurtem, a Clarchen - otrzyma staranne wychowanie, jak ona sama. Języki: angielski, francuski, historia sztuki... Ona, Ewelina, obchodzić będzie swą siedemdziesiątą rocznicę urodzin - i wciąż będzie tą samą Ewelina. Może kiedyś zapomni, że odbyła tę podróż do Paryża i robiła szaleństwa. Ale ostatecznie, dotąd nie zapomniała dnia, kiedy jako dziecko pięcioletnie uciekła z domu i biegła za pułkiem żołnierzy, tylko że tamta wielka przygoda jej dzieciństwa nie miała już teraz żadnego znaczenia, wzbudzała jedynie śmiech. Może i ta historia z Frankiem wyda się jej później zupełnie nieważna, trochę nawet komiczna. Myśl ta niosła jej jednocześnie pociechę i smutek. Umrzeć i nie być pochowaną - to jest właśnie to...

Popatrzyła, kto był autorem tych mądrych słów. H. Hirschbach - wcale nie wielki pisarz, nieznane nazwisko o pospłitym, mieszczańskim brzmieniu. Czytała jeszcze trochę, ale to, co czytała dalej, przyniosło jej rozczarowanie. Było to o wiosnie: nie mogła już znaleźć żadnego związku między sobą a słowami artykułu. Pan von Gebhardt poczęstował ją gumą do żucia.

W pół godziny później Ewelina zasnęła i miała cudowny sen. Znajdowała się w niebieskiej zatoce, woda była czysta i głęboka, a dno - tak błękitne jak woda. Ryby o bajkowych kształtach i barwach pływały dokoła, przesuając się gromadnie po przeźroczy - srebrne, złote i jaskrawoczerwone - czerwienią, jaka nie istnieje nigdzie w rzeczywistości. Wielki śpiew dochodził z głębi wody - i wszystko się poruszało tak, jak gwiazdy w górze - z taką samą lekkością. Zbliżył się jakiś okręt, ciągniony przez delfiny; maszty miały tę samą jaskrawoczerwoną barwę, co ryby. Okręt śpiewał również, miał swój własny, wielki i spokojny głos. Ewelina znajdowała się na okręcie wśród nagich ludzi, płynęli szybko ku wystającej z wody wyspie, która rodziła się z głębin wówczas, gdy zbliżali się ku niej. Na wyspie także byli nadzy ludzie, pię-

kniejsi niż ludzie prawdziwi; zrywali owoce z wysokich drzew i rzucali je w powietrze. Owoce lśniły jak metal, i nie spadały z powrotem na ziemię. Unosiły się w górę, jak gdyby pozbawione ciężaru - i znikwały w niebie, wznosiły się i znikwały.

Ewelina nie wiedziała, jak długo spała i jak długo trwa jej sen. Kiedy obudziła się, przepojona była jeszcze jego błogością i czarem. Tylko niewielu ludziom danem jest umrzeć w chwili, gdy życie ich się dokonało - powiedział ktoś, gdy Ewelina trwała jeszcze w zamroczeniu między snem a przebudzeniem. To H, Hirschbach, to on to mówił, ten mały człowiek w okularach i źle ogolony i... Otwierając oczy, uśmiechnęła się jak gdyby przepraszając za całe to zamieszanie.

Wewnątrz samolotu było zupełnie cicho; właśnie ta cisza zbudziła ją. Szum motoru ustał, a oni opadali delikatnie z poczuciem próżni, nie stawiając żadnego oporu.

- Ześlizgujemy się - rzekł pan von Gebhardt wśród panującego milczenia. ... Nagle maszyna zaczęła się chwiać. Czeszka mówi coś bardzo głośno i niezrozumiale, a potem niezwłocznie milknie. Pan von Gebhardt zrywa się i trzymając się mocno kołyszącego się samolotu, patrzy przez szklane szybki.

- Defekt w motorze - mówi miękko.

Ewelina uśmiecha się, pilot odwraca się i patrzy do kabiny, twarz jego nie jest już brązowa, ale biała, zielonkawa i świecąca, prawie fosforyzująca od bladości. Małżeństwo czeskie trzyma się za ręce. Staje się zupełnie cicho; dziwne, jaka cisza panuje w spadającym, pędzącym na oślep w dół aeroplanie. Ewelina siedzi bez ruchu, zdumiona, że nie odczuwa strachu: Pan von Gebhardt zwraca się ku niej; również i jego twarz jest zielona. Jest to wysoki, barczysty mężczyzna, starszy od Franka, a jednak trochę taki jak on: silny i męski. Gdy pędzą, koziołkują, spadają - bierze Ewelinę

w ramiona i przyciska jej twarz do swego ramienia tak, że nie widzi ona już nic.

- Niech pani się nie boi - mówi. Może jeszcze wszystko będzie dobrze. Ewelina leży spokojnie pod opieką tego nieznajomego, opierając się o szorstki kołnierz jego palta.

Widzi... matkę swoją. Małeńkie stopki Barchen. Tapetę w hotelu. Mariannę całą na czerwono. Strumień, w którym brodziła jako dziecko. Widzi swoje własne ręce czternastoletniej dziewczynki i swój cień, gdy była dzieckiem. Nie widzi Kurta, nie widzi Franka. Czarno... czerwono... czerwono tą czerwienią ze snu.

Potem nastąpiło straszliwe tępe uderzenie i trzask, i łoskot. Potem nastąpiła straszliwa jasność i palące, lodowate zimno. Potem nastąpił ból, straszliwy ból, gorszy, niż przy porodzie; ból nie do zniesienia. Potem nie nastąpiło już nic.

## XII. SOBOTA: MAŻ

Wóz, zaprzężony w parę koni, zaturkotał po bruku Dussel-dorferstrasse. Było jeszcze ciemno, tylko wokoło dwóch okien jaśniało mgliste, szare światło. Hałas zbudził sędziego, który natychmiast otworzył oczy. Przez jakiś czas leżał, nie poruszając się, aby nie obudzić Eweliny; potem przewrócił się ostrożnie. Dopiero, kiedy przekonał się, że na drugim łóżku jest cicho i nie słychać oddechu, przypomniał sobie, że Ewelina jest w Geltow.

Weronika oszczędziła sobie kłopotu posłania łóżka Eweliny - i zarysy jego powoli występowały w szarym świetle - płaskie i gładkie pod przykrywającą je kapą. Droste ziewnął głośno i zapalił nocną lampkę, aby zobaczyć, która godzina. Nie było jeszcze wpół do piątej. Na stoliku przy nim leżał stos gazet, nad którym zasnął. Droste wziął tę, którą czytał ostatnią i złożył ją z szelestem. Zupełnie przyjemnie było mieć sypialnię dla siebie samego i móc szeleścić papierami, ziewać, zapalać światło, hałasować i czytać póki się znowu nie zaśnie. Przejrzał sprawozdania sądowe z ostatnich dni; po tym wziął „Vossische Zeitung” z czwartku, aby przeczytać ostatni z serii artykułów, pisanych przez młodego pisarza, nazwiskiem Hirschbach, które go zainteresowały. Czytał przez krótki czas, ale uznał, że artykuł jest słabszy od poprzednich i przez jakiś czas wpatrywał się w klosz lampy

elektrycznej, aż światło oślepiło mu oczy tak, że zaczęły łzawić. Było to złe przyzwyczajenie, jeszcze z czasów dzieciństwa.

W końcu ponownie zakreślił światło, westchnął z uczuciem głębokiego zadowolenia' - i usnął znowu, podczas gdy pokój stawał się stopniowo jaśniejszy i bardziej wyraźny.

O godzinie siódmej obudził się, wstał, wziął kąpiel, ogolił się starannie, przy czym z zaciśniętymi wargami nucił przepiękną melodię z „Niedokończonej Symfonii” Szuberta. Poranek był piękny i jasny, chłodny, ale słoneczny. Droste czuł się tak dobrze i lekko, jak nie czuł się już od dłuższego czasu, przespał zmęczenie i zachrypnięcie - teraz dopiero zaczął cieszyć się z powodu swego sukcesu w sprawie Ruppów. Poszedł do pokoju dzieci i otrzymał nawet od Fräulein pozwolenie potrzymania w ramionach swego małego synka przez dwie minuty, podczas gdy Fräulein przygotowywała poranną butelkę. Wyciągnął staroświecki złoty zegarek swego ojca, który nosił zawsze, i przytknął go 'do ucha Bärchen. Wprawdzie Bärchen powitał ten błyszczący przedmiot okrzykiem zachwyty, ale wrażenie akustyczne zdawało się przekraczać zakres jego pojmowania. Kąciki usteczek opadły w dół i wydał z siebie taki wrzask, że Droste położył go w przerażeniu na stole. - Głupie dziecko - powiedziała Clärchen z wyższością. Ona sama była za duża na to, aby przysłuchiwać się zegarkom, ale nie miała nic przeciwko otworzeniu koperty i przyjrzeniu się, jak tam w środku wszystko tyka i rusza się. Oddychała głośno z przejęcia, a gdy oboje pochylili głowy nad otwartym zegarkiem, Droste poczuł, jak jej ciepłe jasne włoski delikatnie muskają jego skroń.

Śniadanie rozpoczęło się zwykłą ceremonią. Sędzia usiadł - jak gdyby nie podejrzewając niczego - na kolanach dziewczynki i oznajmił ze zdumieniem i oburzeniem, że to coś niesłychanego. Kawa była słaba, gdyż - jāk Weronika przyznawała sama - kawa nie była jej specjalnością.

Maszynaria gospodarstwa została już hałaśliwie puszczone w ruch: odkurzacz huczał w bawialni, na korytarzu słycać było głos 'Fräulein: - Panno Weroniko, woda; z pokoju dzieci dobiegało radosne gaworzenie Bärchen przy kąpieli, a potem zatrzaśnięte drzwi odcięły ten przyjemny hałas. Droste zapalił swego rannego papierosa i puszczał kółka z dymu dla zabawy Clärchen. Clärchen siedziała na jego kolanach i usiłowała przekonać go, że była w piwnicy, gdzie widziała dwa różowe słonie, zrobione z cukru i tak duże jak te w ogrodzie zoologicznym. Rozległ się dzwonek przy drzwiach frontowych. Weronika pobiegła, aby je otworzyć, a potem - nastąpiła nieprzyjemność.

- No... już się stało - rzekła Weronika, wchodząc bez pukania - wiedziałam, że to nastąpi.

- Co się stało? - zapytał przerażony Droste.

- Przyszedł człowiek i zamyka gaz, bo rachunek nie jest zapłacony.

Ostrzegali dosyć i nic dziwnego, że stracili cierpliwość - oświadczyła Weronika z nutą zgorzkniałego triumfu w głosie.

- Do diabła - rzekł sędzia i, zdjawszy z kolan Clärchen, popędził do biurka w gabinecie. Tak, leżał tam rachunek za gaz, a obok niego czek pocztowy na szesnaście marek i siedemdziesiąt cztery fenigi. Ale rachunek nie był zapłacony.

- Pomówię z tym człowiekiem - rzekł.

- Tak, jużesmy próbowały - odpowiedziała na to Weronika z jawnym szyderstwem.

Droste otworzył szufladę, w której Ewelina trzymała pieniądze na wydatki gospodarskie, ale nie było tam nic. Z wściekłością wygrzebał ze swej portmonetki tyle, ile było potrzeba - pozostało mu jeszcze tylko parę marek na jego osobiste potrzeby. Z pieniędzmi tymi poszedł do przedpokoju, gdzie człowiek w niebieskim roboczym kitlu klęczał przy gazomierzu. Okazało się, że odmówił przyjęcia pieniędzy i zostawienia gazu.

- Nie jestem upoważniony - powiedział, a to wielkie



słowo zdawało się sprawiać mu pewną przyjemność. - Nie jestem upoważniony do przyjmowania pieniędzy, tylko wydział finansowy ma do tego prawo. Ja zostałem upoważniony do zamknięcia gazu.

Zamknął i odszedł, pozostawiając za sobą liczne duże ślady butów na linoleum i słodkawo gorzki odór gazu w całym mieszkaniu.

Weronika cierpiała w milczeniu. Twarz jej mówiła, że taki jest skutek, gdy się służy u ludzi, nie należących do dobrej sfery.

- Nie będzie dziś obiadu - rzekła cierpko.

- Idźcie do restauracji - odpowiedział Droste z gniewem.

- Bärchen nie może jeść w restauracji - rzekła Fräulein, która przyłączyła się do tej rozpaczliwej sceny. - Jeżeli Bärchen napije się surowego zimnego mleka, dostanie biegunki, która stanowi przyczynę dwudziestu siedmiu procent śmiertelności wśród dzieci.

W sędzim zagotowało się na to przypomnienie pracy egzaminacyjnej Fräulein na wychowawczynię niemowląt. Zatrzasnął za sobą drzwi; usłyszał że Clärchen i Bärchen jednocześnie zaczęły wrzeszczeć i popędził do telefonu. Cała jego wściekłość skierowała się teraz przeciwko Ewelinie. Głosem żądnym kłótni zażądał połączenia z numerem Marianny w Geltow.

- Muszę natychmiast mówić z Eweliną - rzekł, gdy odezwała się Marianna. Wściekłość spowodowała powrót jego nerwowej chrypki. Marianna nie od razu odpowiedziała.

- Przykro mi, ale Ewelina jeszcze śpi, rzekła gładko po pauzie.

- To trzeba ją obudzić, muszę z nią pomówić.

- Drogi chłopcze - rzekła Marianna - co się stało? Niech mała myszka pośpi sobie. To jest o wiele za wcześnie na nią.

To spotęgowało tylko jeszcze wściekłość Drosteego.

- Ewelina nie jest, ostatecznie, niemowlęciem. Zawsze

traktujemy ją jak niemowlę, a ona przecież już nim nie jest. Ma nawet pewne obowiązki - rzekł z irytacją.

Nastąpiła milcząca przerwa w telefonie, jak gdyby Marianna poszła obudzić Ewelinę. Ale najwidoczniej namyślała się tylko nad sytuacją, bo w końcu rzekła:

- Powiedz naprzód, co się stało, a ja już zobaczę czy warto ją budzić.

Droste wyjechał teraz z historią rachunku za gaz, który od tygodnia leżał na jego biurku porzucony, zaniedbany i zapomniany, przytoczył groźbę Weroniki, że nie będzie obiadu i obawy Fräulein o Bärchen - i skarżył się gorzko na nieodpowiedzialność i niezaradność Eweliny.

Marianna roześmiała się łagodnie.

- No, Puszel - rzekła - jeżeli gaz został już zamknięty, to co Ewelina na to poradzi? Pozwól jej spać. Pomówię z gazownią, znam tam dużo ludzi, w moim zawodzie ciągle się ma do czynienia z gazownią. Obiecuję ci, że Bärchen będzie miał swoje gorące mleko. Czy ci to wystarczy?

Droste go uspokoił zdrowy rozsądek w jej tonie. - Ale, musisz przyznać, że z Eweliną czasami nie można wytrzymać, tak jest nieodpowiedzialna i niepraktyczna.

- Musisz zwrócić się do kogo innego, a nie do mnie, jeżeli chcesz skarżyć się na Ewelinę - odpowiedziała Marianna.

- W każdym razie zbesztaj ją, gdy się obudzi - powiedział Droste już w lepszym humorze. - Przyjadę do Geltow na kolację i odwiozę Ewelinę z powrotem do miasta.

- Zatelefonuję do ciebie przed tym, aby ci zakomunikować, czy nam to będzie odpowiadało - odrzekła na to Marianna. Droste zastanawiał się przez chwilę nad jej odpowiedzią. Odwiedzanie i pozostawanie na kolacji w małym, barwnym domku Marianny było stałym zjawiskiem i nie potrzeba było na to specjalnych zaproszeń.

- A więc zobaczymy się około szóstej - zawołał do telefonu.

- Nie, przed siódmą - rzekła Marianna i rozłączyła się.

Droste wziął palto i przesunął się koło Weroniki i jej odkurzacza do drzwi frontowych. - Załatwiłem to już - rzekł - gaz zaraz otworzą.

Weronika miała taką minę, jak gdyby nigdy nie miała już uwierzyć ani jednemu jego słowu.

Droste pośpieszył do najbliższej poczty, gdzie czekał w kolejce woźnych biurowych i posłańców, zanim mógł pozbyć się swoich szesnastu marek i siedemdziesięciu czterech feni-gów.

Marianna zatelefonowała przed jedenastą do jego biura i poinformowała go, że sprawę z gazownią załatwiła. Rozmawiała z ludźmi, do których to należy, zatelefonowała do Weroniki, robotnik z gazowni wrócił, gaz już idzie, obiad gotuje się - kluski kartoflane z pieczonymi jabłkami - i Bar-chen będzie miał swoją marchewkę.

- A Ewelina? - zapytał sędzia.

- Ewelina jeszcze śpi - rzekła Marianna. Byłam u niej przed chwilą - dodała. - Policzki jej są zupełnie różowe... odpoczynek robi jej dobrze.

Sędzia uśmiechnął się mimo woli, gdy Marianna przedstawiła mu ten obraz śpiącej Eweliny. Uśmiechnął się i westchnął jednocześnie.

Marianna rozłączyła się znowu tak pośpiesznie, jak przed tym rano.

. Droste zaczął pracować nad masą listów i aktów, które nazbierały się w czasie procesu Ruppów. Później miał oficjalną, trochę nazbyt grzeczną konferencję z prokuratorem. Tuż po dwunastej nastąpiła sensacja. Młody motyl-cytrynka przefrunął zygzakowato przez małe podwórze, oddzielające czerwony mur więzienia od pokoju Drostego. Perlemann wpadł w szal histerycznej, dziecinnej uciechy i otworzywszy na rozcież okno, wychylił się do połowy ciała. Potem wybiegł i wrócił spocony z kilkoma kwiatkami, które wziął z bufetu. Były to nędzne kwiatki, takie jakie można było znaleźć na stole w bufecie sądowym. Perlemann postawił je w otwartym oknie jako zaproszenie dla zbłąkanego motyla. Z piętra

ponad nim i z dwóch pięter poniżej, wychyliły się głowy i patrzyły. Zakratowane okna więzienia po drugiej stronie zrobione były z nieprzejrystego szkła, co nie pozwalało uwięzionym tam ludziom na wzięcie udziału w oglądaniu tego wolnego i za wcześnie trochę urodzonego motyla. Dozorca, który "urzędowym krokiem przechodził przez podwórze, zatrzymał się - i zwróciwszy w niebo swą dobroduszną, czerwoną twarz, zaczął się uśmiechać.

W tym czasie Droste również zainteresował się, czy uda się Perlemannowi zwabić motyla na kwiaty i do pokoju. Siedział przy biurku z zagasłą fajką, odsunawszy na bok papiery, i spoglądał z uśmiechem na twarzy na wąski pasek słonecznego światła, w którym to piękne, żółte stworzenie trzepotało się w górę i na dół. Gdy motyl na koniec opuścił się na wyciągniętych skrzydłach i usiadł na jednym z nędznych, na pół zwiędniętych kwiatków, Droste zbliżył się na palcach i patrzył na ten cud w Moabicie: maleńkie oczki, jak klejnociki i drgające, pierzaste różki. Perlemann wyciągnął swoją ogromną łapę. - Mamy cię - rzekł z przejęciem.

Droste chwycił go. - Niech pan nie dotyka - powiedział szybko. Wziął na siebie obronę przed naruszeniem skrzydełek tej niedoświadczonej „cytrynki”. Motyl uniósł się znowu w powietrze i wahając się odfrunął w górę. Wizyta ta zostawiła uśmiech zdziwienia i zadowolenia na twarzy Drostego.

- Jeżeli zacznie padać deszcz, zginie - rzekł Perlemann obrażony.

- Jeżeli zginie, to już nie nasza sprawa - odpowiedział sędzia.

Stary sędzia śledczy Berger przyszedł zaraz po tym i poprosił Drostego o pójście z nim na śniadanie do Nettelbecka. Droste, pod wpływem lekkomyślności, która go nagle ogarnęła, zgodził się z nim pójść.

Miesięczny budżet i tak prawdopodobnie znajdował się już w smętnym stanie nieładu - i wydanie jeszcze dwóch, czy trzech marek nie mogło już zbyt

pogorszyć sytuacji. Po zapłaceniu rachunku za gaz pozostało mu w kieszeni sześć marek. Otworzył drzwi przed leciwym sędzią i puścił go przodem. Pracował pod nim jeszcze jako asesor i wiele się od niego nauczył. Od ostatnich paru lat Berger zeszedł może nieco w cień, ale Droste miał dla niego szczerą sympatię i wiedział, że Berger był jednym z tych nielicznych starszych sędziów, którzy naprawdę cieszyli się z jego szybkiej kariery.

Nettelbeck - była to restauracja wybitnie męska. Nie widać tu było ani jednej kobiety z wyjątkiem starej pani Nettelbeck, która sama wyglądała jak emerytowany generał i stosowała żelazną dyscyplinę w kuchni i w piwnicy. Droste studiował spis potraw głównie po tej stronie, po której wypisane były ceny, i zamawiał z ostrożnością. Siedział wygodnie w fotelu ze zniszczonego czerwonego pluszu, podczas gdy Berger nalewał mu do szklanki zimne, prawie musujące wino reńskie. Miał dobry dzień, z różnymi przyjemnościami, i z zadowoleniem myślał o wieczorze z Marianną i Eweliną.

- Jeden mały ptaszek mi wyśpiewał - rzekł Berger - że ma pan wziąć sprawę Hoffmana. Będzie pan miał z tym zabawę. Hoffman to jeden z najbardziej zajmujących osobników, jakich miałem sposobność poznać w ciągu swej sędziowskiej praktyki. Nie taki ciężki, twardy kasek, jak ci Ruppowie. Mało do roboty, a dużo uznania i szacunku. Będę bardzo zadowolony, jeżeli pan to dostanie.

Chociaż Droste nie przywiązywał zbyt wiele uwagi do plotek, krążących zawsze po sądzie - słowa Bergera pochlebiły mu jednak. Gdyby naprawdę dostał sprawę Hoffmana, miałyby to dla niego wielkie znaczenie.

Oznaczałoby to uznanie i dużą reklamę, a poza tym sama sprawa była bardzo interesująca. Hoffman należał do tych finansowych oszustów na wielką skalę, którzy jak ciury obozowe wloką się za upadającym kapitalizmem i w upadku jego starają się znaleźć korzyści dla siebie.

- Do diabła, ależ to będzie wymagało przysiedzenia fałdów dla zapoznania się z historią finansów i ekonomii -rzekł z pewnym podnieceniem.

Stary sędzia śledczy roześmiał się.

- Tak jest, przyjacielu - rzekł wesoło. - To doprowadzało mnie już nieraz do łez. Ludziom, mającym jak my, osiemset marek pensji i pięćdziesiąt sześć marek dodatku służbowego, nie powinno się przedstawiać pod nos tych ogromnych sum milionowych. No, niech sobie pan przeczyta „Ewolucję pieniądza” Zimmera. Doskonała książka, jeżeli pan chce się zapoznać z tematem.

Sam Berger prowadził wstępne śledztwo w sprawie Hoffmana. Droste zapisał sobie tytuł książki w swej uporządkowanej, pojemnej pamięci. Wino nastroiło go jeszcze lepiej, niż był już nastrojony poprzednio. Chłodny wonny „Pfälzer” i motyl i ciepłe włoski Clärchen przy jego skroni - to wszystko było dobre i tworzyło całość. I Ewelina... Oczywiście o Ewelinie pomyślał później - pomyślał o niej już raczej z obowiązku, aniżeli odruchowo - ale cieszył się ze spodziewanego powrotu Eweliny z Geltow. Nie gniewał się już na nią z powodu rachunku za gaz, jakkolwiek czuł się zmuszony do zrobienia jej wyrzutów, jeżeli samodzielność jej i odpowiedzialność nie miały zanikać coraz bardziej.

W drodze do domu Droste wysiadł z tramwaju na rogu, wszedł do księgarni i kupił „Ewolucję pieniądza”.

Była to dość gruba książka, oprawna w szary papier, z długim i obiecującym spisem rzeczy. Musiał kazać zapisać to na swój rachunek. Drostowie mieli miesięczny rachunek w księgarni, gdyż - chociaż musieli żyć bardzo oszczędnie, tak, że taksówka była dla nich zbytkiem - wydawali dość dużo na książki: na wypożyczalnię książek dla Eweliny, na fachowe czasopisma i książki dla sędziego, na jego abonament kosztowniejszych dzieł historycznych. Książki i potrzeby kulturalne to była typowa i ważna część wydatków wyższych urzędników na Düsseldorfstrasse.

Droste miał jeszcze dwadzieścia minut drogi do swego mieszkania. Przeszedł mały skrawek na OHvaerplatz i rozejrzał się, czy nie zobaczy dzieci - ale nie było ich tam. Również nie zastał ich w domu. Mieszkanie pachniało zaprawą do podłóg; Weronika miała nieszczęsny dar nadawania mieszkaniu codziennie innego zapachu. Droste otworzył okna; zrobiło się cieplej. Usiadł przy radiu i nastawił je. Po krótkim kręceniu, chwycił to, czego potrzebował. Koncert Reńskiego Kwartetu Smyczkowego, nadawany o drugiej po południu dla ociemniałych. Grano Haydna. Usiadł i zaczął przecinać stronice swej nowej książki. Cieszył się spokojem, samotnością, muzyką; nawet dźwięk noża do papieru, przecinającego kartki, sprawiał mu przyjemność.

Zadzwoił telefon. Była to najpierw sekretarka profesora Senftenberga, a potem sam profesor Senftenberg, sławny chirurg, którego poznali w klubie. Chciał wiedzieć, czy Droste i jego żona zechcą zjeść z nim obiad w niedzielę w jego kawalerskiej budzie. Kawalerska buda Senftenberga to była jedna z najpiękniejszych willi w Dahlem. Droste z entuzjazmem przyjął zaproszenie. Polubił gorąco Senftenberga i pewny był, że Ewelina również pójdzie z przyjemnością. - Marianna także będzie - dodał profesor, przez co perspektywa niedzielnego obiadu stała się jeszcze przyjemniejsza.

Ledwie sędzia wyraził podziękowanie i przyjął do wiadomości uprzejme słowa profesora, a potem odwiesił słuchawkę, gdy telefon zadzwonił po raz drugi.

Droste zostawił między kartkami nóż do przecinania papieru, gdyż natrafił właśnie na interesujący rozdział: „Wartość pieniędzy, fikcja i symbol” i ujął słuchawkę z pewną niecierpliwością.

- Halo? - zapytał.

- Tu linia lotnicza Lufthansa, dyrektor Breitenstein. Czy mogę mówić z panem Radcą Drostem? - rzekł głęboki basowy głos o silnym północnoniemieckim akcencie.

- Przy telefonie - odpowiedział Droste niecierpliwie. Głęboki bas odchrząknął.

- Mam panu niestety do zakomunikowania bardzo złą wiadomość - zaczął. - Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli przystąpię prosto do rzeczy, panie sędzio. Nasza maszyna numer trzydzieści sześć uległa strasznej katastrofie.

- Z kim pan właściwie chce mówić? - zapytał Droste.

- Czy to nie sędzia Droste? - zabrzmiała odpowiedź.

- Tak jest - powiedział Droste.

Bas znowu odchrząknął i rozpoczął na nowo:

- Nasza maszyna paryska rozbiła się między Arraumiere i Desancourt, tuż w pobliżu francuskiej granicy, i spaliła się - powiedział teraz. - Na nieszczęście muszę panu zakomunikować tragiczną wiadomość, że pańska żona doznała ciężkich obrażeń. - Przez chwilę panowało milczenie, a ponieważ sędzia nie odpowiadał, głos dodał. - Mamy przygotowaną maszynę w Tempelhofie na wypadek, jeżeliby pan chciał jechać na miejsce katastrofy.

- Co? Co pan mówi? - zapytał sędzia.

Bas w telefonie ciągnął dalej. - Niech mi pan pozwoli osobiście oraz w imieniu Lufthansy wyrazić sobie najgłębsze współczucie. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby...

- Dostyc - rzekł sędzia. - Wasz paryski samolot rozbił się. To wielkie nieszczęście i bardzo mi przykro. Ale omylił się pan, telefonując do mnie. Żony mojej nie było w samolocie.

Bas zdawał się namyślać przez chwilę nad tą odpowiedzią; słysząc było, że mruczy coś do trzeciej osoby, na drugim końcu przewodu.

- Skrzydło, w którym umieszczone były bagaże, odłamało się i nie spaliło z resztą samolotu - powiedział tenże głos. - Między rzeczami znaleźliśmy nienaruszony paszport i adres pańskiej biednej żony.

Zdenerwowało to nagle Drostego do najwyższego stopnia, gdy usłyszał, że ten obcy głos nazywa Ewelinę „jego biedną żoną”.



- Moja żona jest w domu - rzekł bardziej obcesowo, niż miał zamiar.  
- A czy ktoś mógł w jakikolwiek sposób użyć paszportu pańskiej żony? -  
podsunał teraz głos. Ta cała idiotyczna historia tak zirytowała sędziego,  
że żal jego z powodu katastrofy zupełnie znikł. No, zwracać się do kogoś  
pod złym adresem z tego rodzaju fałszywymi alarmami! - pomyślał z  
wściekłością. Jeszcze raz z uporem powtórzono mu, aby przyjechał do  
Tempelhofu, i że czeka tam gotowy do odlotu samolot. Historia wikłała  
się coraz bardziej i wreszcie rozłączył się.

Wziął znowu książkę; tymczasem nóż do papieru wypadł z pomiędzy  
kartek. Ta dziwaczna rozmowa przez telefon zdenerwowała go i  
wprawiła w zły humor. Przeczytał parę wierszy, nierozumiejąc, co czyta -  
potem zamknął z trzaskiem książkę, podszedł do telefonu i połączył się z  
Geltow.

- Chciałbym pomówić z Ewelina - rzekł usłyszawszy głos Marianny. -  
Halo? - zapytał, gdy Marianna nie odpowiedziała od razu.

- Ewelina poszła na spacer - powiedziała teraz Marianna.

- Sama? - zapytał zauważywszy ze szczególnym niepokojem, że znowu  
ochrypł.

- Tak - powiedziała Marianna.

- Ale ja muszę z nią pomówić. Kiedy wróci? Czy nie możesz jej zawołać?  
Ilekcroć chcę z nią mówić, zawsze jest jakaś trudność - powiedział. Teraz  
wpadł już w zupełne zdenerwowanie.

- Nie denerwuj się tak, Pusz - powiedziała Marianna. -Cóż się tam  
znowu stało? Czy gaz idzie, czy nie? Czy mleko Bärchen się przypaliło?  
Czy może Fräulein złamała sobie kark?

Słyszał spokojny śmiech Marianny - i to irytowało go jeszcze bardziej.

- No, jestem zdenerwowany - zawołał niecierpliwie. -Miałem właśnie  
jakiś okropny telefon z Lufthansy. Samolot

rozbił się i jakaś kobieta zginęła, a oni myśleli, że to Ewelina. Taka historia może człowieka zdenerwować, nawet jeśli to jest fałszywy alarm...

- Samolot z Paryża się rozbił! - krzyknęła Marianna jeszcze zanim skończył.

- Tak - opowiedział. - Dopiero w sekundę później jego logiczny umysł zaczął pracować i zapytał skąd Marianna mogła wiedzieć, jaki to był samolot.

- Marianno? - zawołał bez tchu.

W telefonie nikt się nie odzywał. Rozległ się stuk, jak gdyby Marianna rzuciła coś na ziemię lub upadła.

- Marianno - krzyknął sędzia przerażony. Szumiało w słuchawce czy też w jego uchu. Potem usłyszał znowu głos Marianny.

- Och, Kurcie - rzekła miękko. - Och, Kurcie... Och, Kurcie...

- Gdzie jest Ewelina? - krzyczał Droste. Wszystko to było tak bezsensowne - wikłało się i przerażało go.

- Och, Kurcie... Och, Kurcie - rzekła Marianna znowu... Och, Kurcie.

Sędzia zaczął drzeć. To było znacznie więcej, niż drzenie; trząśnięcie, zęby mu szczękały, palce z trudem tylko potrafiły utrzymać słuchawkę. Kolana uginały się pod nim; szybko schwycił się krzesła przy biurku i upadł na nie. Przez parę minut, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność, nie było nic, tylko mgła, zawrót głowy, strach, groza, szaleństwo.

To jest szaleństwo - pomyślał. - Jestem szalony.

Było to tak, jak gdyby Düsseldorfstrasse zapadła się w trzęsieniu ziemi, wyleciała w powietrze w eksplozji, zniknęła w pustce. Szaleństwem było wyobrazić sobie, że Ewelina wyszła na spacer w Geltow, a jednocześnie zginęła w katastrofie samolotowej na granicy francuskiej. Wszystko podzieliło się i rozdziwiło; piętrzyło się szklanymi warstwami jedno nad drugim; jakiś kalejdoskop straszliwych obrazów przesuwał się przed zamkniętymi oczami Drosteego. Chwycił

się za brodę, na której zbierały się kropelki potu - tak, jak widział często u oskarżonych, składających zeznania w momencie ich załamania się. Zdawało mu się, że w czasie jego pracują równocześnie dwa mózgi: jeden rozbity, chaotyczny i mętny, szalejący - mózg obłąkańca, i drugi krytyczny, wyciągający jasne i logiczne wnioski.

Więc Ewelina nie żyje - myślał ten mózg jasny, a myśl ta nie była bólem, ale tępym ciosem. - A więc była w Paryżu, podczas gdy ja sądziłem, że znajduje się w Geltow! - Myśl ta paliła go i dręczyła bardziej, aniżeli świadomość jej śmierci. - Co robiła w Paryżu? Jak to się stało, że nic nie zauważyłem?

Czy żyłem w kłamstwie, na cienkim lodzie, zamiast w domu? - myślał, albo raczej nie on myślał, ale coś w nim myślało - dręcząco i nie do wytrzymania.

Patrzył na ściany, na podłogę; wszystko chwiało się; nic nie stało mocno. Ależ ona baja się jechać sama - nawet kolejką podziemną... jakże mogła doznać wypadku w samolocie? - pomyślał - i to zabolowało go bardzo.

Nie była sama - przyszła chłodna, nieubłagana odpowiedź z dna jego niespoczywającego mózgu, który ciągle myślał i pracował.

Przez cały ten czas trzęsącą ręką trzymał słuchawkę przyciśniętą do ucha, ale nie słyszał nic, prócz szumu; może nic w ogóle nie mówiono do niego. - Bądź spokojny, póki nie przyjadę do ciebie za chwilę - mówił teraz głos Marianny. Dochodził on z daleka, z innej planety, albo z jakiegoś okropnego snu.

Nastąpiła przerwa, o której nie wiedział nic, jakkolwiek nie dowiedział się nigdy, czy nie stracił przytomności. Potem zadzwonił telefon i usłyszał, iż jakaś panna pytała z irytacją: - Rozmawia pan jeszcze? Nie? W takim razie niech pan odłoży słuchawkę.

Droste odłożył słuchawkę, którą znalazł na biurku i powiesił ją na aparacie. Patrzył na leżącą przed nim bibułę;

oczy jego powoli, z niesłychaną dokładnością śledziły zarysy kilku plam z atramentu. Potem wziął ołówek i dodał jeszcze parę gron winogron do tych, które były już narysowane na bibule. Odczytał wiersz, na którym zatrzymał się akurat jego palec wskazujący... tak jak marzenie alchemików wszystkich wieków było bezsensowne i nie-logiczne. Gdyby można -wyrabiać złoto, straciłoby ono od razu i automatycznie swoją wartość i znaczenie, jako... Odczytał ten wiersz kilkakrotnie, nie mogąc uchwycić jego znaczenia. W sąsiednim pokoju Barchen płakał, a Clarchen śpiewała swym surowym głębokim głosikiem małej dziewczynki. Droste chciał iść do pokoju dzieci, ale bał się. Wydawało mu się, że najslabszy ruch może rozbić tę skorupę bez czucia, w której był bezpiecznie zamknięty. Próbował również myśleć o Ewelinie, ale myśl ta rozpraszała się bezkształtnie. Ewelina leżała z zaróżowionymi policzkami w łóżku w Geltow i spała zbyt długo... Ta Ewelina, która podróżowała po świecie w samolotach i spadła, to była kobieta, której Droste ani nie znał, ani nie mógł sobie wyobrazić. Ale i w procesach również zdarzały się niespodzianki, które usuwały człowiekowi ziemię spod jego stóp. Delikatne kobiety popełniały z zimną krwią morderstwa z premedytacją, ćwiartowały trupy, chowały je do kufrów i tej samej nocy jeszcze szły tańczyć. Bandyci uwielbiali dzieci i kanarki. Jakaś staruszka znana z tego, że wszystkim świadczyła dobrodziejstwa skazana została za podpalenie. Dwunastoletni jasny aniołeczek doprowadził do więzienia ojca rodziny przez nieprawdopodobne krzywoprzysięskie oskarżenia. Człowiek zrobiony jest z nieprzezroczystej materii -pomyślał Droste. Przyszła mu do głowy Ruppowa, jak mokre stały się jej włosy w chwili, gdy usłyszała o sekretach swego męża... Jego włosy również były teraz mokre. On także nie wiedział o niczym. Było pięć minut przed trzecią. Clarchen przestała śpiewać. Ewelina nie żyła... Wstał i cho-

dził tam i z powrotem po pokoju, póki nie przyszła Marianna.

Marianna była zupełnie biała. Droste nie wyobrażał sobie nigdy, że twarz Marianny może być taka biała. Przyszła w czapce i palcie, nie podała mu ręki, lecz wzięła go za ramiona.

- Zimno jest - rzekła - musisz także wziąć palto. Spojrzał na nią, a ona dodała: - mam na dole samochód. Rozmawiałam z Lufthansą. Mają dla nas gotowy samolot. Musisz zabrać z sobą paszport. To jest po tamtej stronie granicy.

Wydało się Drostemu, że aż do tej chwili miał nadzieję, że mu się to tylko śni, albo że utracił zmysły i może jeszcze obudzić się do dawnej rzeczywistości, w której chodziła bezradna, niepraktyczna i niesamodzielna Ewelina, przysparzając mu wiele kłopotów i dając trochę delikatnej i czulej radości. Teraz stało się to nieodwołalne. Usunął z ramion ręce Marianny.

- Była w Paryżu? - zapytał - z kim?

Marianna nie odpowiedziała. Patrzyła na niego tylko z dziwnym przejęciem.

- A tyś wiedziała... Razem z nią spiskowałaś - rzekł Droste - Marianna uniosła ramiona niewyraźnym gestem; wydało mu się nawet, że po ustach jej przemknął cień uśmiechu. Nagle zobaczył, że ręka jego przesuwając się przez powietrze i uderza Mariannę w twarz. Marianna przyjęła to uderzenie tępo, nie poruszając się. Po prostu, gdy to nastąpiło - odsunęła tylko nieco w tył włosy.

- Czemu pozwoliłaś na to, Marianno? - zapytał.

- Żaden człowiek na świecie nie mógłby Eweliny powstrzymać - odpowiedziała. Dziwną wydawała się myśl o Ewelinie jako o istocie posiadającej własną wolę i własną siłę. Stał tam jeszcze z pytającą twarzą i z tępo zamysłonymi oczami, gdy Marianna wyszła z pokoju. Wróciła natychmiast, przynosząc mu kapelusz i palto. Ubrała go w nie, jak gdyby był dzieckiem.

- Chodź, Puszel, musimy się spieszyć - rzekła miękko.

- Dzieci - powiedział.

- Z dziećmi jest wszystko w porządku, chodź - rzekła Marianna.

Nie zamienili już ani słowa więcej; pojechali samochodem, zatrzymali się przy stacji benzynowej, pojechali dalej, przybyli na lotnisko w Tempelhofie.

- Nie mogę z nimi mówić - rzekł Droste.

- Nie, Puszel, nie trzeba - rzekła Marianna uspokajająco. Stała, jak mur, między nim a urzędnikami z Lufthansy. Pilot, który zaprowadził ich do samolotu, był to milczący człowiek o chudej twarzy.

- Zgłosiłem się sam, by zawieźć tam państwa - rzekł, gdy szli po asfalcie, prowadzącym na pole startu. - Trump, który prowadził ten samolot paryski, był moim najlepszym przyjacielem. To już trzeci z moich przyjaciół, który ginie. Za każdym razem mam wrażenie, jakby mi odcinano rękę, albo nogę... Gorzej.

Droste zrozumiał, że słowa te miały wyrażać współczucie i pociechę - i do pewnego stopnia to mu pomogło.

Przyjaciel - pomyślał - to proste. Ale żona, która umiera i o której wiedziało się mniej, niż o pierwszym lepszym nieznanym, siedzącym obok w autobusie.

Marianna wskazała na mały stopień, za pomocą którego miał dostać się do samolotu - i pomogła mu wejść. Żałował, że ją uderzył. Marianna była dobra...

- Jesteś dobra - powiedział jej. Ruszyli. Nad Berlinem wisały czerwone opary, ale wyżej było zupełnie słonecznie.

Droste próbował zanalizować sprawę swojej żony. A więc nie była z nim szczęśliwa i nie kochała go. Kochała kogo innego. Zastanawiał się, czemu nie powiedziała mu o tym nigdy - i wydało mu się, że mu jej ogromnie żał... Zawsze była w domu, gdy wracał wieczorami; każdej nocy leżała koło niego; kłamała mu i była wobec niego cierpliwa i wy-

twarzała zbyt wiele białych ciałek krwi. Ale w jakimś kąciku przeżywała swoje własne życie potężnie i silnie. - „Nikt na świecie nie mógłby jej powstrzymać” - powiedziała Marianna. I odeszła, aby umrzeć gdzieś swoją własną śmiercią. Nie gniewał się na nią.

Potem zaczął rozmyślać, kim mógł być człowiek, dla którego pojechała do Paryża. Szukał logicznie i systematycznie, jak w procesie sądowym, ale nie udało mu się znaleźć wśród znanych mu mężczyzn nikogo, kto mógłby nim być. Przyszła mu do głowy myśl, która przeniknęła go gorącym, barbarzyńskim zadowoleniem - i zwrócił się szybko ku Mariannie, która nieruchomo patrzyła przez okno. Potrząsnęła głową, nie rozumiejąc jego pytania z powodu hałasu motoru. Wyjął swoje pióro wieczne i napisał na kartce notatnika: „Czy on także został zabity?” Marianna powoli odczytywała słowa, napisane krzywymi literami. Odwróciła się i znowu wyjrzała przez okno, zastanawiając się. Potem wzięła mu z ręki pióro i napisała pod pytaniem: „Nie wiem więcej, niż ty”. Marianna miała piękny, zdecydowany, prosty charakter pisma. Dziwne, że coś w rodzaju ukojenia spłynęło na niego z tych równych, silnych liter. Jak gdyby nie wszystko już było tak beznadziejne. Lecieli dalej i przestrzeń dokoła aeroplanu stawała się bielsza i mniej słoneczna. Droste stracił wszelkie poczucie czasu i przestrzeni. Bynajmniej nie myślał cały czas o Ewelinie, o jej straszliwej zdradzie i zagadkowym nieszczęściu. Albowiem duch ludzki posiada sam w sobie moc kojącą i zdolność nie tylko przeżywania bólu, ale również unikania najgorszego bólu i zapominania o nim. Droste spoglądał w dół na krajobraz; myślał o motyłu, który tego ranka przysiadł na chwilę z drgającymi skrzydełkami na kwiatkach z bufetu. Sprawa Hoffmana zaprzętała także w dużym stopniu jego myśli, gdy tak lecieli coraz dalej i dalej i o zmroku zbliżyli się do granicy.

Tak bardzo zaabsorbowany był sprawą Hoffmana, z której głównymi zarysami zapoznał się ze sprawozdań w gazetach, że gdy mieli lądować, Marianna musiała położyć rękę na jego ramieniu. Motor zamilkł, ale Droste wciąż był jeszcze na pół ogłuszony, choć już wylądowali i wysiedli z samolotu.

Znacznie ciemniej było na ziemi, niż w górze - wieczór wiejski z zapachem palącego się drzewa i pól. Nawet lotnisko, na którym wylądowali, wyglądało jak zaorane pole. Byli tam dwaj mężczyźni, którzy powitali ich monosylabami. Obaj byli Francuzami, ale jeden z nich zdołał powiedzieć parę niezdarnych słów w alzacko-niemieckim narzeczu. Mieli z sobą samochód - zieloną, wysoką, staromodną maszynę. Droste wszedł i znowu siedział obok Marianny, nie mówiąc ani słowa. Pilot usiadł po drugiej stronie; on także nie mówił nic. Samochód pachniał wilgotnym sianem. Jechali po bardzo złej drodze wśród pól, przez małą wioskę. W kilku domach paliły się już lampy. Pozostawili za sobą wieś i zatrzymali się przy jakimś drogowskazie. Jeden z Francuzów wysiadł i wskazując przed siebie, poszedł naprzód. Drugi został w samochodzie.

- Nie macie państwo nic przeciwko temu, bym poszedł także? - zapytał pilot. Droste przypomniał sobie, że człowiek ten stracił swego najlepszego przyjaciela - i potrzęsął głową. Pilot poszedł długimi krokami obok Francuza. Czuć było zapach spalenizny i ziemi. Droste zaczął marznąć. Czuł strach. Teraz szli prosto przez bruzdy, które zapadały się miękko pod ich stopami. Pilot odwrócił się ku nim i powiedział: - Wszystko pozostawiono tak jak było, ze względu na śledztwo. Gdy Droste szedł tak przez zaorane pole, potykając się i zapadając od czasu do czasu, z uczuciem zimnego lęku przed tym, co miało jeszcze nadejść - doznał nagle uczucia, że śni. Podniósł głowę tak raptownie, że Marianna stanęła. - Po drugiej stronie pola są trzy topole i ścieżka



między krzakami tarniny - pomyślał. - Byłem tu już raz przed tym. Gdy z mroku rzeczywiście wyłoniły się trzy topole i gdy Droste skreślił na ścieżkę między krzakami, ogarnęła go niesamowita groza. Teraz usłyszał także rechot żab - tak samo rechotały zawsze w małym potoku na skraju zarośli - ale zarośli tam już nie było, ani nie było już wieży kościelnej. Zestrzeliliśmy ją - pomyślał Droste. Znowu był żołnierzem, młodym żołnierzem, posuwającym się z trudem i ze strachem po francuskiej ziemi.

- Jak się nazywa ta wieś? - zapytał. Pilot odwrócił się.

- Arraumiere - powiedział. Nazwa ta była obca dla Drostego.

Wszędzie tu rosły topole po obu stronach drogi - pomyślał, wciąż jeszcze zatopiony w przeszłości. - Wszędzie tutaj walczone i wszędzie wyrasta dziś z ziemi zboże ponad trupami ludzkimi.

Swąd spalenizny stał się silny i ostry. Grupka ludzi stała z latarniami wokół olbrzymiego, pokręconego szkieletu. Metal czarny i pogięty i parę łachmanów, które poruszały się w powietrzu, jak gdyby miały w sobie życie.

Marianna wzięła rękę Drostego i trzymała ją mocno. Mówiła po francusku do stojących tam ludzi; on nie rozumiał nic po francusku.

Ludzie usunęli się na bok; jeden z nich nawet zaszutował. Rozstąpili się, aby przepuścić ich do miejsca, gdzie na wypalanej ziemi znajdowało się ciemne wzniesienie, przykryte płótnem.

Lęk Drostego zamienił się w grozę tak jak wówczas, kiedy widział swego kaprała, biegnącego już bez tyłu czaszki, jedynie ze skrwawioną korą mózgową, rozlupaną przez odłamek pocisku. Z tym samym uczuciem zgrozy zobaczył teraz, że pilot schyla się i podnosi róg płótna. Przyłgnął ręką do ręki Marianny, ale ona drżała także. Przemógł się i postąpił bliżej

W słabym świetle latarki, którą jeden z obecnych trzymał w wyciągniętej ręce.

Zebrał się w sobie, aby spojrzeć na Ewelinę. Była to obca, niezrozumiała Ewelina - poraniona, zmiażdżona, ohydnie zniekształcona - ale tym niemniej Ewelina. Stapał po mgle; wszędzie dokoła niego była mgła, tylko ręka Marianny była jeszcze przy nim, chociaż Marianna sama zniknęła.

Zmusił się do patrzenia - i znowu zaczął oddychać, gdyż nie zobaczył nic okropnego. Garstka spalonych kości, ciemnych jak sama ziemia, błyszczących tu i ówdzie, delikatnie sklepionych, bezcielesnych i lekkich. Nie było w tym śmierci - tak samo, jak nie mają w sobie śmierci kamienie i drzewo, i ziemia. Nie miało to nic wspólnego z Eweliną.

Ewelina nie może nawet zostać pochowana - pomyślał.

Najgorsze minęło. Pilot naciągnął z powrotem płótno na te niematerialne szczątki. Te, kości były takie delikatne. Mogła to być Ewelina, mógł to być również jakiś wielki ptak, albo delikatne zwierzę, sarna albo dopiero co narodzone źrebiątko; Mężczyźni wszyscy stali w milczeniu z pochylonymi głowami; potem jeden z nich opuścił latarkę i Droste odwrócił się i skierował z powrotem do samochodu. Teraz nie tylko ręka Marianny była przy nim, ale również 'i sama Marianna, wnosząca ciepło w tę lodowatą grozę.

- Ilu spaliło się? - zapytał po chwili Droste pilota, który kieszonkową latarką świecił ponad bruzdą.

- Jeszcze cztery osoby - rzekł pilot. - Mój przyjaciel Trump, jakieś małżeństwo czeskie i fabrykant z Kolonii dr von Gebhardt - znałem go także... często podróżował samolotem.

- Gebhardt?? - zapytał sędzia - dr von Gebhardt?

- Niestety. Miał czworo dzieci - raz pokazywał mi ich fotografię. Dwoje z nich jest już wprawdzie dorosłych. Czy pan ma dzieci? - zapytał pilot.

- Tak - odpowiedział Droste bezmyślnie - Tak, ja także mam dzieci - dodał po chwili. Musiał z początku przypo-

mnieć sobie o ich istnieniu - i na twarzy jego ukazał się uśmiech. One przynajmniej były czymś rzeczywistym i dotykającym w całej tej widmowej niesamowitości.

- Rzeczy pańskiej żony zostały złożone u mera; są jeszcze jakieś formalności do załatwienia. Otrzyma je pan później - rzekł pilot.

Wrócili już do samochodu i człowiek, który tam czekał na nich, chwycił rękę Drostego, uściskał ją i powiedział coś po francusku.

- Dziękuję - rzekł Droste. - Dziękuję. Merci. - Teraz było już zupełnie ciemno.

- Czy państwo chcecie wracać zaraz w nocy, czy też wolicie zostać tu na noc i wyruszyć wczesnym rankiem? - zapytał pilot - poradziłbym panu przespać się - dodał rzuciwszy okiem na twarz Drostego.

- Zostaniemy na noc - odpowiedziała za niego Marianna. Mała, ciemna, szemrząca grupka ludzi stała przed małym

zajazdem. Rozstąpili się, tworząc przejście dla Drostego. Jakaś młoda kobieta przeprowadziła jego i Mariannę przez korytarz do dużego pokoju. Była w nim alkowa i kilka mebli z mahoniem. Na kredensie stały słoiki z przetworami owocowymi. Kobieta zostawiła na chwilę Mariannę samą z Drostem, a potem wróciła i zapukawszy, weszła do pokoju. Przyniosła z sobą glinianą butelkę z gorącą wodą i położyła ją w nogach łóżka.

Zamieniła kilka słów z Marianną po francusku, podała w milczeniu rękę Drostemu i wyszła. Droste stał pośrodku pokoju i patrzył na kredens.

- Czysty styl cesarstwa - rzekł. - Skąd taka rzecz może znaleźć się na wsi?

Marianna spojrzała na kredens i uśmiechnęła się poważnie.

Uśmiech ten na jej białej twarzy wyglądał jak u widma.

- Teraz musisz spać - rzekła, a on odpowiedział automatycznie.

- Nie mogę spać.

- Chodź - rzekła i zaczęła go rozbierać, jak gdyby był dzieckiem, ale to go podrażniło; odepchnął jej ręce i rozebrał się sam.

- Ile pigułek weronalu bierzesz zwykle? - zapytała Marianna podchodząc do małego stołu między oknami, na którym stała karafka z wodą.

- Nie biorę weronalu - odpowiedział Droste z uporem. - Tylko bardzo rzadko.

Przyniosła mu szklanekę z wodą, w której rozpuściła trzy tabletki. - Wiem - powiedziała.

Wszedł do łóżka, a ona usiadła przy nim na brzegu. - Zamknij oczy - powiedziała. Usłuchał. Zaczęło mu być cieplej i lepiej, i lżej.

- Czy myślisz, że to był ten dr Gebhardt? - zapytał po chwili.

- Nie - powiedziała Marianna. Gładziła rękę Drostego, leżącą na kołdrze, i dodała: - To był jeden z tych Amerykanów.

- Który?

- Tego nie wiem.

Droste usiłował uprzytomnić sobie Amerykanów, którzy przychodzili do klubu, ale nie mógł przypomnieć sobie żadnego. Pamiętał tylko hałas; nieszkodliwy, irytujący trochę hałas, jaki robią rozbawione dzieci.

- Jak się ten człowiek dowie o tym, co się stało? - zapytał. Marianna nie odpowiedziała od razu. - Może nie dowie się wcale - powiedziała w końcu. - Jakież to ma znaczenie? Teraz musisz usnąć.

Droste zamknął oczy. Weronal był dobry. Marianna była dobra. Ewelina także była dobra.

- Bardzo jestem przywiązany do Eweliny - szepnął. Zасыpiając miał wrażenie, że jutro rano Ewelina będzie tu znowu

- Tak, Pusz - powiedziała Marianna.

Rozbudził się znowu. - To nie wyglądało tak strasznie -

rzekł. - Człowiek nie wie wcale, jak to jest, gdy się umiera. Może to bardzo przyjemnie. Może ona i tak umarłaby młodo.

- Tak, Puszel - powiedziała Marianna znowu.

- Najgorzej jest... nie to, że ona nie żyje, ale to, że nie dowiem się nigdy naprawdę, co się z nią stało - powiedział jeszcze i naraz poczuł, jak sen rozpościera swe skrzydła i jak ptaki marzenia krążą pod sklepieniem alkowy.

- O tym także zapomnisz, Puszel. Masz swój zawód i swoje dzieci, i tak dużo innych ważnych rzeczy - usłyszał głos Marianny. Nie spał jeszcze.

- Jeden człowiek nie wie absolutnie nic o drugim, tak to już jest - powiedział.

Otworzył oczy i spojrzał na Mariannę. - Tak to już jest -powtórzył poważnie i skłonił głowę.

- Czy mogę wziąć twoją rękę? - zapytał po chwili. To mu przyniosło ulgę - i zasnął.

Przez chwilę zdawało mu się, że znowu jest na wojnie; czuł zapach francuskiej wsi; na dworze pluskała fontanna. Potem przypomniał sobie, że wojna się skończyła. Wszystko minęło, wszystko minęło. Ręka Marianny leżała na jego czole. Marianna zgasiła światło.

- Dobranoc - powiedziała miękko. Została przy nim.

Nie Ewelina. Marianna.

KONIEC